ROZMOWA „DO RZECZY" O IMIGRACJI W SZWECJI

Jerzy Grunwald: Lewica sprowadziła dzicz, która nienawidzi cywilizacji

Semka: Dlaczego Niemcy nie szanują polskiej wrażliwości?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 33/540 14–20 SIERPNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Pospieszalski: Kiedy rodzice bronią normalności

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

Bill Gates ratuje finanse Watykanu

prasa-pl 68

Bezpieczeństwo **na mistrzowskim** poziomie

Dumny sponsor strategiczny
mistrza Polski Rakowa Częstochowa

zondacrypto × RKS RAKÓW CZĘSTOCHOWA 1921

zondacrypto
Trade tomorrow, today

zondacrypto.com

eprasa.pl 68bd3b792c

W RZECZY SAMEJ

Weber i Wagner po stronie PiS

PAWEŁ LISICKI

Czytając wypowiedzi tuzów myśli opozycyjnej, a także prominentnych myślicieli europejskich, dochodzę do wniosku, że macki PiS oplotły cały świat i nikt nie jest się w stanie z nich wyplątać. Wynika z tego, że moja częsta krytyka polskiej polityki zagranicznej jest całkiem chybiona, bo Warszawa obecnie kontroluje zarówno Niemcy, jak i – uwaga – Rosję. Staliśmy się potęgą wszechświatową, a ściślej nie tyle my, ile prezes Kaczyński. Naprawdę, jeśli ktoś myśli, że padłem ofiarą upałów (których zresztą w dobie globalnego ocieplenia w sierpniu chwilowo nie było), to niech uważnie się zastanowi i przeczyta komentarze specjalistów.

Trudno nie zauważyć, że pierwszym, który ruszył w sukurs partii rządzącej, był nie kto inny jak Manfred Weber, udający przez lata głównego sojusznika Donalda Tuska i zaprzysięgłego krytyka PiS. Tymczasem od kilku tygodni niemiecki polityk, który stoi na czele Europejskiej Partii Ludowej, jakby nie było największego ugrupowania w Parlamencie Europejskim, dwoi się i troi, żeby rzekomo znienawidzona przez niego siła polityczna dostała jak najwięcej głosów w październikowych wyborach do Sejmu. Kilka dni temu postanowił on podzielić się z widzami telewizji ZDF swoimi przemyśleniami na temat PiS. Prawo i Sprawiedliwość znajduje się wśród tych ugrupowań, które EPL „będzie zwalczało" – orzekł. Według niego zarówno PiS, jak i np. niemiecka AfD są zagrożeniem dla Unii Europejskiej. Jeśli chodzi o partię Jarosława Kaczyńskiego, to – według Webera – „systematycznie atakuje ona państwo prawa i wolne media".

Szkoda, że nie bardzo wiadomo, co konkretnie niemiecki polityk miał na myśli, zakładając, że czynność myślenia w ogóle nie jest mu obca. Dodał w każdym razie, że „niemiecka AfD, Le Pen we Francji albo PiS w Polsce są naszymi wrogami i będą przez nas zwalczani". Jak zwykle obrońcy niemieckiego lidera postanowili dowieść, że nie mówił on o wrogach, ale przeciwnikach (słowo „der Gegner" to dosłownie przeciwnik, oponent), tyle że nie ma to wielkiego znaczenia. Jak zwał, tak zwał: PiS jawi się w oczach szefa EPL jako siła niedemokratyczna i taka, którą należy zastąpić opozycją na czele z Tuskiem. Wcześniej ten sam Weber w wywiadzie dla niemieckiej gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung" mówił o budowie „zapory ogniowej przeciwko Prawu i Sprawiedliwości". „Jesteśmy jedyną siłą, która może zastąpić PiS w Polsce i poprowadzić kraj z powrotem do Europy" – ogłosił.

Weber popełnił wszystkie możliwe grzechy polityczne razem. Po pierwsze, postanowił publicznie ingerować w demokratyczne wybory w Polsce, tak jakby uważał ją za państwo wasalne, pozostające pod specjalną kuratelą Niemiec. Po drugie, poparł opozycję, czyli potwierdził główne tezy PiS, zgodnie z którymi Tusk, gdyby wygrał, prowadziłby politykę podległości wobec Berlina. Po trzecie zaś, co w oczach europejskich polityków jest najmniejszym problemem, mówiąc o łamaniu praworządności w Polsce, mijał się z prawdą. Kolejny raz zachodzę w głowę, skąd oni ich wszystkich – panie von der Leyen czy panów Weberów – tam biorą. Negatywna selekcja jest coraz bardziej widoczna. Chyba że się mylę i PiS za wsparcie, którego udziela mu systematycznie Weber, coś mu obiecał. Będzie kapciowym prezesa?

Na ratunek rządowi w kampanii postanowił pospieszyć nie tylko polityk z Niemiec. Jak przeczytałem w najlepiej pod tym względem poinformowanej „GW", która od lat specjalizuje się w walce z kaczyzmem, tajnym zwolennikiem PiS stała się Moskwa, która dlatego właśnie wysłała na granice Białorusi z Polską oddziały wagnerowców. Czytam (kto nie wierzy, niech sam sprawdzi) główną tezę najbardziej zadziornego pióra publicystycznego z Czerskiej: „Rosjanie mają sprawne służby. Jednym ze sposobów wzmocnienia PiS może być kreowanie zagrożenia naszej granicy". I dalej: „Kreml i Łukaszenka podają piłeczkę Kaczyńskiemu […]. Słyszę głosy publicystów, że PiS nie ma pomysłu na kampanię wyborczą. Obawiam się, że ma, a Władimir Putin do spółki z Aleksandrem Łukaszenką dostarczają tej kampanii paliwo". Czyli sprawa jasna. Z jednej strony Manfred Weber, z drugiej grupa Wagnera robią, co mogą, żeby PiS zachował władzę.

Właściwie powinno się pojawić pytanie: „Po co?". Czyżby w ten sposób pojawił się dowód, że Polska jest rosyjsko-niemieckim kondominium, którego zarządcą jest prezes Jarosław Kaczyński? No bo skoro tak Weber, jak Wagner postanowili w kampanii popierać PiS, to taki byłby wniosek. Albo odwrotnie: to PiS kontroluje Webera i Wagnera. Ale zaraz, zaraz, coś tu się nie zgadza. PiS przez te same media przedstawiany jest jako siła antyniemiecka, a sam robi, co może, żeby udowodnić, że zwalcza Putina, a teraz Niemcy z Rosjanami postanowili mu pomóc? Ratunku, strach się bać. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ CHMIELEWSKI
„KOŚCIÓŁ UBOGICH" WSTRZĄSANY SKANDALAMI
Wiara i pieniądze

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
EIN HELLER UND EIN SKANDAL
Pieśń Wehrmachtu na Jarmarku Dominikańskim

22 KAROL GAC
CZYJA PASTA?

24 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
ZAKAMUFLOWANA LEGALIZACJA ABORCJI NA ŻYCZENIE

26 ROZMOWA Z JERZYM GRUNWALDEM
SZWEDZKA PRZESTROGA

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLSKA NA HAJU

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
TREND NA CZAS KRYZYSU. A MOŻE NIE TYLKO?

32 ROZMOWA Z PRZEDSTAWICIELAMI FUNDACJI MAXIMILIANUM
OSKARŻENI O NORMALNOŚĆ

KULTURA

36 ŁUKASZ CZARNECKI
MALARZ HISTORII
Jan Matejko na wystawie w Krakowie

40 PIOTR GOCIEK
POŻEGNANIE CHULIGANA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 JAN PARYS
O POLSKIEJ POLITYCE WSCHODNIEJ
Co po zakończeniu wojny?

50 ŁUKASZ WARZECHA
MĄDROŚĆ ETAPU W SPRAWIE ROSJI

53 BOGUSŁAW ROGALSKI
CZAS NA PATRIOTÓW W POLSKIEJ DYPLOMACJI

56 TOMASZ ROWIŃSKI
ROZDARTA DUSZA PROFESOR DELSOL

HISTORIA

58 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
ŚMIERĆ PREZYDENTA
Sześćdziesiąt lat po zamachu wciąż nie znamy całej prawdy

ŚWIAT

62 WITOLD REPETOWICZ
BOGACTWO I NĘDZA AFRYKI
Ważne pierwiastki na Czarnym Lądzie

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA TĘCZOWEJ UKRAINIE

68 ROZMOWA Z DR. JOHNSONEM VARKEYEM I KAYLĄ TONEY
BIOLOGIA TO HOMOFOBIA?

EKONOMIA

70 TOMASZ CUKIERNIK
DOWNSIZING NASZ POWSZEDNI
Skutki malejącej siły nabywczej

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 RADOSŁAW WOJTAS
PIERWSZA NAJPIĘKNIEJSZA
Polskie ślady na świecie

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 68bd3b792c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Justin Tallis/WPA/Getty Images, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Księstwo Pomorskie Donalda", Sławomir Siwek, „DRz" nr 32/2023

Szanowna Redakcjo!
Znalazłam w ostatnim numerze lekturę obowiązkową dla Polaków interesujących się polityką. Artykuł „Księstwo Pomorskie Donalda" p. red. Sławomira Siwka powinni przede wszystkim przeczytać członkowie PiS i jego wyborcy. Okazuje się, że PO ma program ukryty pod płaszczykiem inwektyw i chamstwa. Lekceważenie przeciwnika i oparcie się tylko na emocjach usypia czujność. Ale lektura może być pouczająca i dla opozycji. Wielu jej członków myśli o Polsce jako państwie, tylko lepiej (według nich) rządzonej. Polska w kawałkach chyba się nie mieści w innych programach. Prawdopodobnie klaszczący zwolennicy PO nie zdają sobie sprawy z jej planów, a przynajmniej niektórzy powinni.

W ten sposób podważane są dążenia całych pokoleń Polaków i ich starania o jednolite państwo. Każda Polska podzielona była słaba i podatna na kolejne rozerwanie. Naiwnie (i nie ja jedna) nie posądzałam Tuska o tak zdradzieckie plany, szczególnie wobec Polski i Polaków. Czy nie czas, aby PR PiS wreszcie odkrył przed społeczeństwem cyniczne zaprzepaszczenie starań i ofiar walki o niepodległość i integralność Polski? Nie wystarczy w dyskusjach w TVP wyliczanka ich zaniechań, a naszych osiągnięć. Terapia szokowa (jak „Reset"?) bardzo by się przydała.

Z wyrazami szacunku
Jolanta Sarosiek

Pozdrowienia z Kanady

Witam,
byłem w Polsce po raz pierwszy od 40 lat niedawno przez kilka dni. Piękny kraj.

Kupuję tu, w Toronto, w każdy czwartek albo środę polskie pisma, gdy przychodzą do polskich księgarń. „Do Rzeczy" mam komplet od pierwszego egzemplarza. Kupuję też regularnie „Gazetę Warszawską", „Sieci", „Gazetę Polską" i wydania „Historii", które każde pismo publikuje.

Muszę przyznać, że „Do Rzeczy" jest najbliższe realizmu w swoich publikacjach. Mówiłem to wszystkim, których spotkałem w Polsce.

Pozdrawiam
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 68bd3b792c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Odejście wojownika

Wiadomości o tej śmierci próżno było szukać czy to w dziennikach TVN, czy na liberalnych portalach newsowych. 1 sierpnia po długiej i ciężkiej chorobie zmarł Krzysztof Wolf, działacz „Solidarności" Walczącej i NSZZ Solidarność Huty Warszawa. We wtorek 8 sierpnia odprowadzili go do grobu na cmentarzu na warszawskiej Wólce Węglowej przyjaciele z podziemia.

Krzysztof Wolf zmarł 1 sierpnia

FOT. STOWARZYSZENIE „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA"

Ja osobiście poznałem go na corocznych demonstracjach w nocy z 12 na 13 grudnia pod willą gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Wtedy, w połowie lat 90., miałem okazję przyjrzeć się, kto najdłużej zachowywał pamięć o ofiarach generała w czarnych okularach, który bardzo skutecznie wtedy udawał eleganckiego dżentelmena ze szlacheckiego dworku. To właśnie tacy działacze jak Krzysztof Wolf czy jego najbliższy przyjaciel Edward Mizikowski pamiętali o tym, aby pojawić się ze świeczką pod płotem willi twórcy stanu wojennego. Takie tuzy jak Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak czy Bogdan Lis jakoś nie znajdowali czasu na takie demonstracje.

Ponieważ lata 80. spędziłem w Gdańsku i Lublinie, to dopiero od przyjaciół z warszawskiego NZS dowiadywałem się, jakim w latach 80. był człowiekiem legendą. Takich wtedy obdarzano ksywką Pistolet. To on organizował straceńczy strajk w pustawych i lodowatych halach Huty Warszawa po wprowadzeniu stanu wojennego. Był rasowym konspiratorem. To dzięki niemu grupy warszawskiego MRKS stały się legendą w stolicy. Pojawiał się wszędzie tam, gdzie było najbardziej niebezpiecznie, gdzie trzeba było wykazać się brawurą i żelaznymi nerwami. To on odpalał z dachów warszawskich gmachów wyrzutnie, z których wylatywały tysiące ulotek, to on uczestniczył w nadawaniu audycji Radia Solidarność, to on potrafił uciekać esbekom w sytuacjach, zdawałoby się, bez szans.

Dla takich ludzi jak on ugoda w Magdalence i okres po 1989 r. były czasem bezbrzeżnej goryczy. Dawni wodzowie podziemnej Solidarności robili kariery w Sejmie i wchodzili w role światowców. Dla ludzi z pierwszej linii walki lat 80. nie było w tym świecie zbyt dużo miejsca. Już od 1988 r. zaczął mieć podejrzenia, że to tacy jak on zostaną spisani na straty w ramach okrągłostołowej ugody. Nikt z czołówki Solidarności nie konsultował z takimi jak on powtarzania wyborów na listę krajową i wyboru Jaruzelskiego na prezydenta. To o takich jak on śpiewała kapela Róże Europy, odnotowując fenomen braterstwa ulicznej walki „studentów uniwersytetu i robotników Huty Warszawa". Gdyby nie ten fragment w niegdysiejszym szlagierze „Stańcie przed lustrami", nie byłoby już żadnego śladu o tamtym fenomenie z lat 1988-1989.

Jakieś fatum prześladuje tego typu ludzi, którzy umierają w stosunkowo młodym wieku wskutek różnych chorób. Tak jakby tamto rozgoryczenie z lat 1989–1995 było jakimś czynnikiem, który skrócił ich życie. Dziś możemy tylko takim ludziom – „bohaterom niepotrzebnym po 1989 r." – poświęcić pomnik naszej pamięci. ©℗

FOT. JAKUB KALCZMARCZYK/PAP

DRUGI POLAK W KOSMOSIE?

Doktor Sławosz Uznański ma wziąć udział w misji na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Minister rozwoju i technologii Waldemar Buda poinformował w ubiegłym tygodniu o podpisaniu porozumienia z Europejską Agencją Kosmiczną oraz z firmą Axiom Space. Jeśli kandydatura Sławosza Uznańskiego zostanie oficjalnie zaakceptowana, to będzie on drugim w historii Polakiem na orbicie Ziemi (pierwszym był w 1978 r. gen. Mirosław Hermaszewski). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

No i kampania rusza. Oficjalnie. A w kampanii wiadomo – liczy się, kto ma lepszego wuja i jakie kompromaty. Krótko mówiąc, nadchodzi czas na wiadomości pościeLOVE. Zapisaliśmy tak owo słowo, gdyż uważamy, że człon LOVE należy podkreślać, ponieważ miłość powinna zawsze triumfować.

I tak oto w ubiegłym tygodniu gruchnęła wieść, jakoby senator Marcin Bosacki opuścił swoją żonę i czworo pociech i wyprowadził się z domu. Ludziska się dziwią, jak to możliwe, że info podała nawet „GazWyb", z której wywodzi się niegdysiejszy rzecznik MSZ i ambasador w Kanadzie. No bo przecież na temat ludzi „GazWyb" dałoby się znaleźć grubsze wiadomości pościeLOVE, ale sama gazeta jednak unikała prania brudów. Już tłumaczymy. Otóż Bosacki nie cieszył się sympatią swoich redakcyjnych kolegów i koleżanek. Powiemy więcej: gdy opuszczał redakcję, jego podwładni otwierali szampany. Podobnie było, gdy opuszczał placówkę w Kanadzie.

Szampany strzelały ostatnio natomiast na Nowogrodzkiej, bo wewnętrzne sondaże okazują się ostatnio nadspodziewanie korzystne. Nie tylko jeśli chodzi o wynik partii matki, lecz także jeśli idzie o szanse Trzeciej Drogi, która ku radości sztabu PiS chce jednak iść jako koalicja i walczyć o próg 8 proc. Przyznajemy – nam wizja parlamentu, w którym jedynymi ludowcami są ci z paktu senackiego, też wydaje się bardzo ekscytująca.

Wracając do sprawy Bosackiego. Najciekawsze są kulisy. Otóż, jak mówią wiewiórki, wieści, że Bosacki ma romans, miał roznosić poseł zwany Misiem. Prywatnie bliski kumpel Romana i Radka Sknerusa Sikorskiego. Niegdyś narodowiec, potem spin doktor PiS. Słyszeliśmy, że to także Misio miał rozpowiadać, iż nową wybranką serca Bosackiego jest pewna posłanka Platformy. W dodatku zasiadająca we władzach krajowych partii. Pikanterii sprawie dodaje, że Bosacki jest senatorem z Poznania. A teraz przypomnijcie nam, gdzie chciał startować Giertych. Zgadliście – z obwarzanka pod Poznaniem, skąd go jednak pogonili. Ale sam Poznań zdecydowanie bardziej wart jest mszy niż jakiś tam obwarzanek.

Najpiękniejszy jest Roman, kiedy się waha. Pod Poznaniem go nie chcieli, na Podkarpaciu nie chciał on, a Olsztyna się wystraszył, gdy Lewica zapowiedziała, że i tak wystawi przeciw niemu kontrkandydata. Ale dalej kombinuje: ostatnio że niby może Warszawa? I wspierają go Radek czy Leszek (Miller), a Szymon Płaczliwy Hołownia stoi za nim murem. Dla czytelników naszej rubryki nie może być to zaskoczeniem. Wszak od dawna piszemy, że Giertych dla Polski 2050 jest mniej więcej tym, kim gen. Dukaczewski dla Platformy.

Skoro kampania, to każdy dzień będzie przynosił info o kandydatach egzotycznych i cyrkowych. No i mamy: pisarz Jacek Dehnel ma być rodzynką na truskawce, na torcie warszawskiej listy Lewicy. Lewica w Polsce zawsze ceniła ludzi kultury. I zawsze przyda się jej jakiś nowy Janusz Przymanowski. Choć Jacek wolałby na pewno: „nowy Iwaszkiewicz".

W związku z kandydowaniem Dehnela mamy głupie pytanie. Do księgarzy. Otóż kiedy Paweł Kukiz ogłosił, że kandyduje, stacje radiowe przestały grać jego piosenki, żeby nie przekraczać granicy między muzyką a polityką. Czy to znaczy, że teraz księgarnie przestaną sprzedawać książki Dehnela, aby nie przekraczać granicy między polityką a literaturą? Książek Hołowni nie przestały, wiemy, ale bądźmy szczerzy – to akurat nie była żadna literatura.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

À propos kandydatów egzotycznych: Zły Donald z Sopotu namówił do kandydowania z list Eine Totalopposition zapomnianą gwiazdę trenerki skoków, czyli Apoloniusza Tajnera. Który od razu oświadczył, że „dla mnie już na politykę, w pełnym słowa znaczeniu, jest za późno". Proszę się nie przejmować, panie Apoloniuszu, dla Donalda też.

Oczywiście, jak zawsze przy układaniu list, najciekawszy jest salon odrzuconych. Rósł będzie z każdym tygodniem, podobnie jak frustracja wielu bojowników o wolność i demokrację. KOD-uch pułkownik Mazguła już rozpacza, że go nie chcą: „Widać są na Opolszczyźnie bardziej aktywni, merytoryczni, narażający się na represje, ale walczący 8 lat na ulicach i w sieci z PiS". Mamy dla niego słynny cytat z „Psów", też na temat weteranów dawnego ustroju: „Policję polityczną to oni między sobą wybiorą. Nas co najwyżej na stójkowych wezmą". W przypadku Mazguły nie chodziło o stójkowych, lecz o marszowych.

Żegnamy Adama Niedzielskiego. Dymisja ministra zdrowia budzi jednak pewne obawy w PiS. Nie dlatego, że był kochany, ale dlatego, że poleciał za prostowanie kłamstw tefauenów, a to niedobry sygnał dla innych oddających się temu zbożnemu dziełu. Przy okazji – nie jest prawdą, jakoby Niedzielskiemu naczelnik obiecywał jakąś jedynkę na listach. Być może Mateusz, ale naczelnik nigdy.

Reżim szaleje. Prześladowania dziennikarzy tefauenów ciąg dalszy. Tydzień temu informowaliśmy, że LOT złośliwie nie zawrócił w burzę samolotu do Szczecina, którym leciała Kolenda-Zaleska, więc nieźle ją wytrzęsło i nastraszyło. Teraz okazuje się, że i na ziemi PiS szykuje ludziom piekło: Kuźniar Jarosław spędził parę godzin w pendolino bez prądu, w polu pod Krakowem. Co dalej? Może paraliż dróg w miastach, żeby żurnaliści Eine Totalopposition nie mogli dojechać do pracy? W sumie w Warszawie można by zapytać. Na pewno rządzi tam PiS. ©℗

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niemieckie bratanki

Tylko w jednym, pierwszym kwartale bieżącego roku Niemcy wyeksportowały na Węgry broń za prawie 3,5 mld zł – poinformowały branżowe serwisy. A bynajmniej nie był to kwartał wyjątkowy. Węgry już od pewnego czasu są największym odbiorcą niemieckiej broni (tak, największym; tak, tej broni, której Niemcy nie mają dla Ukrainy, choć eksport do innych krajów zwiększyły w tym roku rekordowo). Tak wielkim, że niemiecki Rheinmetall dla przyoszczędzenia na transporcie buduje fabryki czołgów i innych wozów bojowych oraz amunicji na miejscu, w joint venture z oligarchami Orbána. Tak, tego strasznego Orbána, co ponoć tak bardzo zagraża demokracji i praworządności w UE, że bardziej od niego tylko Kaczyński. I tego, któremu USA odmówiły sprzedaży systemów Himmars, uznając, że państwo prowadzące politykę bardzo życzliwą wobec Rosji, nie daje gwarancji, iż przodująca technologia wojskowa nie wyląduje gdzieś, gdzie nie powinna. Niemcy albo tych obaw nie mają, albo nie mają nic przeciwko temu, żeby tam trafiła.

Tak jak Polska obstawiła – zresztą bez żadnego planu B – że Ukraina musi wojnę z Rosją wygrać, tak Węgry obstawiły wariant przeciwny. Zresztą nie jest to wybór taktyczny – częścią ideologii Orbána od dawna jest postulat „wspólnoty ludów turańskich", wskazujący przyszłość Węgier w związku z Rosją i Turcją, a nie z Zachodem. Proste: w związku z Zachodem nie można by roić o odtworzeniu w przyszłości „wielkich Węgier", czyli odebraniu terenów, które zabrał Węgrom traktat w Trianon z 1920 r., w sojuszu „turańskim" można.

Proszę nie sądzić, że Niemcy tak po cichu futrują głośno potępianego „populistę", ściągając na siebie przy tym gniew USA, pomimo jego niebezpiecznych haseł, zaślepione żądzą zysku (nawiasem: eksport broni każdorazowo wymaga w Niemczech zgody rządu). Idę o zakład, że robią to one właśnie dlatego, iż takie hasła głosi. Po prostu wojna kiedyś się skończy – Niemcy, choć mówią co innego, obstawiają tak samo jak Węgry – i już warto trzymać nogę w „turańskich" drzwiach. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

O otwartości 3.0

Jacek Podsiadło, felietonista publikujący w „Tygodniku Powszechnym" 3.0, opublikował w „Gazecie Wyborczej" długą krytykę wprowadzenia do lektur szkolnych „Błogosławionej winy". Cóż go tak poruszyło w znakomitej powieści Zofii Kossak-Szczuckiej? Szczególnie to, że słowa „Bóg", „Kościół", „Ojciec Święty" autorka „Pożogi" pisze dużymi literami. No i sam fakt, że taka książka trafia do lektur szkolnych. Dość zaskakująca reakcja katolickiego felietonisty! Bo chyba Jacek Podsiadło nie będzie się zżymał na tę kwalifikację. Wydaje się właściwa, skoro jego organu nie krępuje podtytuł „katolickie pismo społeczno-kulturalne", skoro zachowanie tej podtytulatury jest dla „Tygodnika" 3.0 źrenicą wolności, skoro każdy zamach Metropolii Krakowskiej na to czcigodne samookreślenie „Tygodnik" traktowałby zapewne jako dewastację wolności słowa, praw człowieka i koniec dialogu Kościoła ze światem.

Zróbmy tu małe zastrzeżenie. Skoro „Tygodnik" to pismo oddane wspomnianemu przed chwilą dialogowi, to może nie wszystkich jego autorów trzeba traktować jako katolickich, choć i te wyjątki to w sposób oczywisty publicyści prokatoliccy lub filokatoliccy, w sumie więc – katoliccy. Bo jak się często w „Tygodniku" podkreśla – katolicki znaczy powszechny, wszystko jest katolickie, w każdym razie wszystko na łamach „Tygodnika Powszechnego" 3.0.

Wyjaśnię jeszcze określenie, którego użyłem przed chwilą i na początku. „Tygodnik Powszechny" ma długą historię. Modnej i powszechnie przyjętej numeracji używam tak, jak się ją dziś stosuje, np. w odniesieniu do ministerstwa rekomendującego lektury, bez żadnej złośliwości oczywiście. Po prostu dla odróżnienia inicjatywy księcia kardynała Sapiehy od antyintegryzmu totalnego Jerzego Turowicza oraz jego obecnych następców, których pewnie sam Turowicz by już nie poznał. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O triumfalnym marszu głupoty

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Janis Danner ma 29 lat. Na Instagramie pręży muskuły, pokazuje się w modnych fatałaszkach i zamieszcza filmiki. Śledzi go półtora miliona entuzjastów, co przekłada się na imponujące zarobki. Janis wraz z 17 rodakami, podobnie jak ich przodkowie Wandalowie, przybyli do Italii. Co prawda na wakacje, ale z identycznym skutkiem.

Wynajęli zabytkową willę Alcea w Viggiù w Lombardii. Na potrzeby Instagrama, rechocąc i rejestrując akcję, rozbili stojący w ogrodzie piękny posąg „Domina" znanego rzeźbiarza Enrico Buttiego (1847–1932). Gdy zarządca willi dość ostro wyraził pretensje, usłyszał od wandali, że „to tylko nic niewart piasek". Natomiast Danner, nie wiadomo, czy z powodu głupoty czy przysłowiowej germańskiej arogancji, zaoferował 200 euro zadośćuczynienia. Pomylił się srodze. Dzieło Buttiego wyceniane było na 200 tys. euro, które prędzej czy później Danner i współplemieńcy będą musieli zapłacić.

Rozjuszyło to również superpostępową gwiazdę włoskiego dziennikarstwa Concitę De Gregorio (była naczelną komunistycznej „L'Unita"). Napisała w lewicowej „La Repubblica", że tacy odmóżdżeni młodzi ludzie, z deficytem poznawczym, niedawno temu chodziliby w szkole do klas specjalnych i mieliby specjalnych nauczycieli, pomagających im sylabizować. Co więcej, suplikowała, by rodzice tych i innych wandali przykładnie ich karali. Ostrzegała, że jeśli tak dalej pójdzie, to jakaś banda instagramowych czy tiktokowych idiotów w pogoni za lajkami, popularnością i związanymi z nimi zarobkami rzuci się na rzeźby Michała Anioła.

I rozpętało się piekło. Ale nie z powodu Dannera. Na Concitę spadła lawina krytyki ze strony rodziców upośledzonych dzieci i ich nauczycieli. Zaatakowali ją również współwyznawcy: apostołowie postępu społecznego i bojówkarze politycznej poprawności. Poszło nie tylko o stygmatyzowanie niepełnosprawnych umysłowo. Zarzucili jej też... propagowanie represyjnej rodziny, w której rodzice karzą dzieci. Boimy się świata sztucznej inteligencji. Świat idiotów jest równie przerażający. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 68bd3b792c

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ZDZIWIENIOM NIE BYŁO KOŃCA

W Lizbonie zakończyły się niedawno Światowe Dni Młodzieży, czyli spotkanie młodych katolików z całego świata z papieżem. W wydarzeniu wzięła udział liczna grupa polskich pielgrzymów. Do stolicy Portugalii wybrała się też w tym samym czasie prezenterka Agata Młynarska, choć nie celowała wcale w ŚDM. Na Instagramie umieściła kilka filmików, na których pokazywała, co dzieje się na ulicach miasta. Przyznała, że dała się ponieść atmosferze oczekiwania na Franciszka, co wywołało w niej niespodziewane poczucie wspólnoty. – Postanowiłam pójść za jego głosem, a właściwie za głosem ludzi, którzy są zgromadzeni w Lizbonie [...]. Możemy być różnej wiary, tak jak tutaj są ludzie. Potrzeba duchowości, zjednoczenia i bycia razem, ilość tej siły, energii

FOT. MICHAŁ ŻEBROWSKI/DDTVN/FAST NEWS

i medytacji, która tutaj jest obecna, jest porażająca. Chcę wam to pokazać, ponieważ to jest coś niezwykłego – komentowała poruszona atmosferą panującą w mieście dzięki młodym katolikom.
To jednak nie koniec zdziwień dziennikarki. Okazuje się, że w samolocie, którym leciała do Portugalii, zauważyła pierwszą damę, Agatę Kornhauser-Dudę. – A tak w ogóle, to lecieliśmy samolotem z panią prezydentową, która leciała w klasie ekonomicznej tanich linii lotniczych. Czujecie sprawę? Też byliśmy tym zdziwieni – przyznała Młynarska. Czyli i Kościół wcale nie jest taki zły, a i przedstawiciele władzy nie zawsze oderwani od rzeczywistości. Jak to się mówi – podróże kształcą.

TĘSKNOTY MAŁE I DUŻE

Jedni odkrywają świat, inni ten świat porządkują. Od dłuższego czasu do drugiej grupy należy Edward Miszczak, który jako dyrektor programowy Polsatu (poprzednio TVN) nieustannie wprowadza kolejne zmiany. Tym razem zasugerował, że chciałby wrócić do współpracy z Kingą Rusin. – Ja generalnie tęsknię za Kingą Rusin. Trudno tak powiedzieć, czy byłoby dla niej miejsce w Polsacie, gdyby była na to otwarta. Z drugiej strony nikt nie myślał, że Michał Figurski będzie u nas prowadził program – powiedział Miszczak serwisowi Plotek. Tego rodzaju wypowiedzi rozchodzą się błyskawicznie, a więc dostaliśmy szybką odpowiedź Kingi. „Przeczytałam, że tęskni za mną dyrektor Miszczak. To bardzo miłe. Pozdrawiam go serdecznie z Alaski!" – napisała dziennikarka, która od dłuższego czasu zajmuje się podróżowaniem w najdalsze zakątki świata. Edward będzie niepocieszony.

MISZCZAK JAK SŁOŃ

Miszczak nie jest tak łaskawy wobec innej gwiazdy swojego byłego pracodawcy, czyli Małgorzaty Rozenek-Majdan. Generalnie Edward jest jak słoń – jest człowiekiem pamiętliwym. Nie ma, że ktoś postąpi inaczej, niż by sobie życzył, i on o tym zapomni. Co to, to nie. No i właśnie ze względu na tę świetną pamięć Miszczaka kariery – przynajmniej za jego kadencji – w Polsacie nie zrobi „perfekcyjna pani domu". – Małgorzata Rozenek miała zatańczyć w „Tańcu z gwiazdami" w Polsacie. Ja jeszcze wtedy byłem w TVN i zostawiła ten Polsat w ciągu dwóch minut. Wybrała inną karierę, która nigdzie jej nie zaprowadziła. Myślę sobie, że zakupy gwiazd to jest bardzo duża ostateczność. Każda telewizja ma swojego ducha i swoje twarze. W Polsacie jest od groma gwiazd, które z radością poprowadzą poranny program, więc nie ma potrzeby zakupów ani rozmów – powiedział stanowczo Edward Miszczak w rozmowie z „Super Expressem". – Nie chcę kupować gwiazd, bo te mamy w Polsacie, ale szukamy nowych. Będziemy się bawili z nowymi. Będziemy je puszczać na głębsze lub płytsze wody, aż nabiorą skrzydeł – dodał. Widzisz, Goniu, było tańczyć z gwiazdami. A tak to klops.

MANIFEST KRYSZAKA

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Za nami nie tylko ŚDM, lecz także „najfajniejszy festiwal świata" – jak twierdzą jego sympatycy lub – jak wyzłośliwiają się krytycy – „najbardziej upolityczniony festiwal świata", czyli impreza Jurka Owsiaka – Pol'and'Rock. Dwudziestą dziewiątą edycję imprezy „uświetnił" satyryk Jerzy Kryszak. Występ Kryszaka zapowiedział publiczności sam Juras. – To osoba, na której wręcz się wychowałem. To osoba, która potrafi mówić o tym, byśmy wrócili do normalności, a nasz kraj był krajem normalnym – przekonywał organizator festiwalu. Na początku Kryszak zastrzegł, że nie lubi być nazywany satyrykiem. Dlaczego? – W Polsce wszyscy są satyrykami. A zwłaszcza grupa rządząca – stwierdził złośliwie. Dalej kabareciarz nie szczędził gorzkich słów polskiej władzy i Kościołowi (ziew). Najwięcej cytowań zyskał jego apel, aby... Polki nie rodziły dzieci. – Kobiety w Polsce są traktowane przez facetów w sposób obrzydliwy. Nie wiem, z czego to się mogło wziąć. Ten pie.....ny patriarchat! Matriarchat zresztą też. Ludzkość gdzieś popełniła błąd i nie ma równości między kobietami i mężczyznami. Mam ochotę powiedzieć: nie róćdźcie tych dzieci! Niech sobie je ku..a sami urodzą! – grzmiał oburzony Kryszak, a publiczność nagrodziła tyradę burzą oklasków. Aby dopełnić obrazu tej sympatycznej imprezki, można tylko dodać, iż Owsiak zagroził uczestnikom festiwalu, że jeżeli jesienią nie wygra opozycja, to za rok wydarzenie się nie odbędzie. Niby groźba, ale jakby obietnica. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, dobra wiadomość. Podobno od września zabraknie w szkołach nauczycieli. Jak się doskonale orientujecie, my akurat jesteśmy bardzo krytycznie nastawieni wobec idei przymusowej edukacji i to jeszcze w wydaniu pisowsko-czarnkowo-roszkowskim.

Naszym zdaniem szkoła powinna być świecka, neutralna, przyjazna osobom dyslektycznym i równościowa, bez oceniania, wartościowania i tego chorego systemu promocji do kolejnych klas. Niech jeszcze jakieś spadki i awanse wprowadzą i zrobią z edukacji jakąś Ligę Mistrzów, no nie ma co.

W każdym razie widzimy tutaj dwie szanse związane z brakiem osób nauczycielskich. Pierwsza z nich to przejęcie środków produkcji, tzn. środków prowadzenia działalności edukacyjnej przez uczniów. Sami mogliby decydować o tym, czego i kiedy się chcą uczyć albo czy w ogóle. I zajęcia z montowania filmików na TikToka czy analiza składu ekipy Fritza dałyby im zdecydowanie więcej wiedzy na temat współczesności niż budowa geologiczna Gór Opawskich czy historia ruchu ludowego pod koniec XIX w. – i nawet nie mówcie, że jest inaczej.

Druga szansa to zawłaszczenie, tzn. zagospodarowanie kadr. Skoro nie ma nauczycieli, to pewnie trzeba by skądś wziąć nowych. I tutaj mamy plan, iżby w sposób tajny przeszkolić kilkuset edukatorów seksualnych i działaczy lewicowych, którzy następnie zostaliby skierowani do prac w szkołach, podszywając się pod nauczycieli angielskiego, matematyki czy innej fizyki.

I zanim dyrekcje szkół czy PiS-owskie kuratoria by się zorientowały w podstępie, w dziesiątkach polskich szkół odbywałyby się takie nowoczesne „tajne komplety" xD, które skutecznie odwróciłyby uwagę młodzieży od nauk ścisłych.

Wiemy, że wakacje, a my tu znów wam będziemy ględzić o wyborach jak jakiś ksiądz proboszcz z cerkwi na Roztoczu, ale nie możemy wyjść z podziwu, jak blisko ludzi starają się być politycy zjednoczonej opozycji.

Sami wiecie, jacy są ludzie, więc doceńcie.

Otósh jedna z posłanek zakomunikowała w Internecie, iż podczas tych wyborów będziemy głosować m.in. za zieloną gminą, zielonym domem czy zieloną firmą. Serio, jesteśmy pod wrażeniem, jak trafnie opozycja potrafi rozpoznać to, co w tej chwili dla potencjalnego elektoratu może być najważniejsze.

Albo raczej: jak próbuje kreować takie odpowiedzialne postawy, iż – jak wiadomo – przewoźnicy w transporcie zbiorowym, którzy zapewniają po jednym kursie z jakiejś podkarpackiej wsi do Rzeszowa, użytkują na razie stare zaropiałe diesle, ale jak przyjdzie zielona rewolucja, to z pewnością rozbudują swoje floty o samochody z ogniwami wodorowymi. A jedyna fabryka na terenie powiatu co prawda nadal będzie płacić godzinowe pensje minimalne na umowie-zleceniu, ale za to zamontuje sobie panel fotowoltaiczny na dachu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to długo przed 2035 r. janusze będą masowo złomować swoje polonezy na gaz i przesmażony olej, jednocześnie rejestrując się w kolejce po nowego elektryka z salonu, a węgiel posłuży już tylko do letniej edycji bitwy na śnieżki. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Byle niczego nie zepsuć

Mateusz, ale co ja mam robić właściwie w tym ministerstwie? Bo trochę mnie to wszystko zaskoczyło...
Nie martw się, Kasia, do wyborów dwa miesiące. W tym czasie nawet się nie zorientują, że nic nie zrobiłaś. Byle niczego nie zepsuć za bardzo.

No a jak ktoś przyjdzie w jakiejś sprawie? Na przykład żeby jakiś lek finansować – albo nie?
Nie pamiętam, jak tam jest w tym waszym ministerstwie. Byłaś już w gabinecie?

Byłam.
Masz tam własną toaletę?

No mam.
No i super. Ktoś przychodzi, sekretariat go wpuszcza, ty się wcześniej chowasz w ubikacji i przeczekujesz. Tylko cicho. Posiedzi, poczeka, zgłupieje i sobie pójdzie.

Ty to masz głowę!
No ba! Sam tak robię od dawna.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Najważniejsze jest bowiem pokonanie PiS, a nie osobiste ambicje".

ROMAN GIERTYCH, *polityk, na Facebooku, na temat swojej decyzji o starcie w wyborach parlamentarnych*

eprasa.pl 68bd3b792c

Powierzchnia lasów w Polsce rośnie

– Jesteśmy zbulwersowani krzywdzącą opinią, która w sposób kłamliwy pokazuje nieprawdziwy obraz polskich leśników i Lasów Państwowych – mówił na konferencji prasowej dyrektor generalny Lasów Państwowych, Józef Kubica. Podczas spotkania z dziennikarzami zaprezentowano dane, które obalają ostatnie kłamstwa polityków opozycji na temat rzekomej wyprzedaży terenów leśnych przez LP

W ostatnich dniach politycy opozycji oraz sprzyjające jej media zaatakowały Lasy Państwowe oraz rząd Zjednoczonej Prawicy za rzekomą wyprzedaż polskich lasów. „Kompletne samozaoranie PiS-u w sprawie sprzedaży polskich lasów. Za PiS-u cudzoziemcy kupują lasy jak nigdy dotąd" – napisał na Twitterze rzecznik PO Jan Grabiec, komentując wpis, z którego wynikało, że „to ponad 12 razy więcej niż w 2015 roku". Na rozpowszechniane kłamstwa szybko zareagowały Lasy Państwowe, które opublikowały zestawienie danych. „Ordynarne kłamstwo! Lasy Państwowe nie sprzedają lasów obcokrajowcom!" – zaznaczył rzecznik LP Michał Gzowski.

DANE WSTYDU PO

Z danych wynika, że w latach 2022–2023 sprzedano zaledwie 18,5 ha gruntów, głównie dróg i terenów niezalesionych gminom. W tym samym okresie Lasy Państwowe kupiły za to aż 6892 ha gruntów pod nowe lasy za ok. 170 mln zł.

Wyraźną różnicę widać również w innych przypadkach. Porównanie dwóch kadencji rządów PO-PSL i Zjednoczonej Prawicy w tym zakresie wypada drugocąco dla formacji kierowanej przez Donalda Tuska. Przykładowo w 2008 r. sprzedano 122,35 ha, a kupiono zaledwie 3,7. Rok później było to odpowiednio 68,55 i 16,46 ha. Łącznie w latach 2008–2015 sprzedano 697 ha, a kupiono 500 ha. To oznacza, że sprzedano o 197 ha więcej, niż kupiono.

Jak zatem wygląda rzekome wyprzedawanie lasów za czasów Zjednoczonej Prawicy? W latach 2016–2023 sprzedano zaledwie 202 ha, podczas gdy kupiono aż 11 283, czyli o ponad 2 tys. proc. więcej niż w czasach rządów PO-PSL. Tylko w tym roku (niepełnym zresztą) kupiono aż 2385 ha, podczas gdy sprzedano zaledwie... 3 ha. W ub. roku było to analogicznie 4692 ha i 15,4 ha.

Nic dziwnego, że w związku z kolejnymi atakami ze strony polityków opozycji przed siedzibą Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych zorganizowano konferencję prasową, na której odniesiono się do nieprawdziwych zarzutów. – Jesteśmy zbulwersowani krzywdzącą opinią, która w sposób kłamliwy pokazuje nieprawdziwy obraz polskich leśników i Lasów Państwowych. Dane pokazują, że przez ostatnie dwa lata sprzedaliśmy niespełna 18 ha. Co to jest w porównaniu do liczb z czasów rządów PO-PSL, gdy sprzedawano po kilkaset hektarów? Ostatnie dwa lata to również zakup blisko 7 tys. ha – wskazywał dyrektor generalny Lasów Państwowych, Józef Kubica. – Nie będzie też zgody na to, by Polacy nie mogli korzystać z lasów. Mamy szereg programów, które są skierowane do Polaków. Będziemy odpowiadać na ataki, które są

eprasa.pl 68bd3b792c

skierowane wobec Lasów Państwowych – dodał.

W OBRONIE POLSKICH LASÓW

Z kolei Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska, podkreślił, że rząd Zjednoczonej Prawicy nie zgodzi się również na żadne działania, które mogą doprowadzić do prywatyzacji polskich lasów. – Sejm przyjął uchwałę, która odnosi się do tej kwestii. Wyraźnie wskazaliśmy, że nie zgadzamy się na ten kierunek i działania podejmowane także na poziomie unijnym. Rząd zdecydowanie popiera obywatelski projekt ustawy, który procedowany jest w Sejmie, by znalazły się tam zapisy uniemożliwiające prywatyzację polskich lasów – mówił.

Wiceminister ocenił także, że Platforma Obywatelska „przybiera płaszcz ochrony lasów, ale gdy rządziła, to podejmowała działania, które miały doprowadzić do ich prywatyzacji". – Chodzi m.in. o próbę zmiany konstytucji w 2014 r., która miała doprowadzić do tego, że Lasy Państwowe stałyby się spółką prawa handlowego z możliwością sprzedaży dóbr. Dzięki śp. prof. Janowi Szyszko udało się nam zjednoczyć społeczeństwo wokół idei obrony polskich lasów. Dzisiaj stoimy przed kolejnymi wyzwaniami dotyczącymi ochrony tych lasów. Siedemdziesiąt trzy procent społeczeństwa nie zgadza się na działania, które prowadziłyby do prywatyzacji – zaznaczał.

Polityk nawiązał tym samym do pamiętnego głosowania z 18 grudnia 2014 r., gdy tuż po północy koalicji PO-PSL-SLD zabrakło zaledwie pięć głosów, by zmienić konstytucję i umożliwić wyprzedaż majątku narodowego, w tym lasów. Teoretycznie chodziło o zabezpieczenie lasów przed prywatyzacją, ale przygotowane zapisy de facto otwierały drogę do takiego stanu rzeczy. Pomysł zakładał bowiem dodanie do ustawy zasadniczej punktu 74a w brzmieniu: „Lasy stanowiące własność Skarbu Państwa nie podlegają przekształceniom własnościowym, z wyjątkiem przypadków określonych w ustawie". W której ustawie? W tej, która dopiero miała powstać i sprywatyzować lasy.

Warto przy tej okazji pamiętać, że była to już kolejna próba, ponieważ w 2010 r. powstał pomysł, aby Lasy Państwowe włączyć do sektora finansów publicznych, co miało je zdestabilizować i uczynić

Jesteśmy zbulwersowani krzywdzącą opinią, która w sposób kłamliwy pokazuje nieprawdziwy obraz polskich leśników i Lasów Państwowych

niewydolną organizacją. Jeśli zaś chodzi o nocne głosowanie z 2014 r., to kilka miesięcy wcześniej w Sejmie przeszła nowelizacja ustawy o lasach, która ściągała z Lasów Państwowych jednorazowo haracz na łączną kwotę 1,6 mld zł – 800 mln w 2014 r. i 800 mln zł w 2015 r., a następnie nakazywała im przekazywanie od 2016 r. 2 proc. od wartości sprzedaży drewna. Jednak zarówno w 2010 r., jak i w 2014 r. leśników wspierał nieodżałowany prof. Jan Szyszko, który zmobilizował środowisko do sprzeciwu oraz rozpoczął zbiórkę podpisów wśród Polaków. Po roku podpisów było pół miliona.

DOBRO NARODOWE

Podczas konferencji prasowej wiceminister klimatu i środowiska Edward Siarka odniósł się także do zaprezentowanych przez Lasy Państwowe danych, z których wynika, że za rządów Zjednoczonej Prawicy zwiększa się powierzchnia lasów w Polsce. – To polityka, która ma poszerzać nasze zasoby i bogactwo. Tratujemy to jako szansę rozwoju Polski. Wszystkie działania, które miałyby ograniczyć swobody Polaków, jak np. zbieranie grzybów, są przez nas odrzucane. Lasy Państwowe oraz rząd będą stali na straży dostępności do lasów oraz ich suwerenności. Polska należy w Europie do czołówki państw, które mają najwięcej form ochrony. W 80 proc. mieszczą się one na gruntach Lasów Państwowych – wskazywał.

Leśnictwo to kluczowa działalność państwa polskiego. Lasy zajmują jedną trzecią powierzchni kraju (ok. 9 mln ha) i w 80 proc. są państwowe, co jest niespotykane w UE. Tylko 19 proc. powierzchni lasów jest w rękach prywatnych. Pod względem powierzchni Polska znajduje się na szóstym miejscu, natomiast pod względem wielkości zasobów drzewnych na czwartym miejscu wśród krajów UE. Powierzchnia lasów na jednego mieszkańca w Polsce to 0,24 ha. Dla porównania w Holandii to zaledwie 0,02 ha, a w Wielkiej Brytanii – 0,05 ha.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 68bd3b792c

„Kościół ubogich” wstrząsany skandalami

Paweł Chmielewski

Ubogi Kościół – to hasło wypisane na sztandarach pontyfikatu Franciszka. Dziesięcioletni okres panowania papieża Bergoglia został jednak naznaczony aferami, które stawiają pod dużym znakiem zapytania skuteczność osiągania tego „ubóstwa”

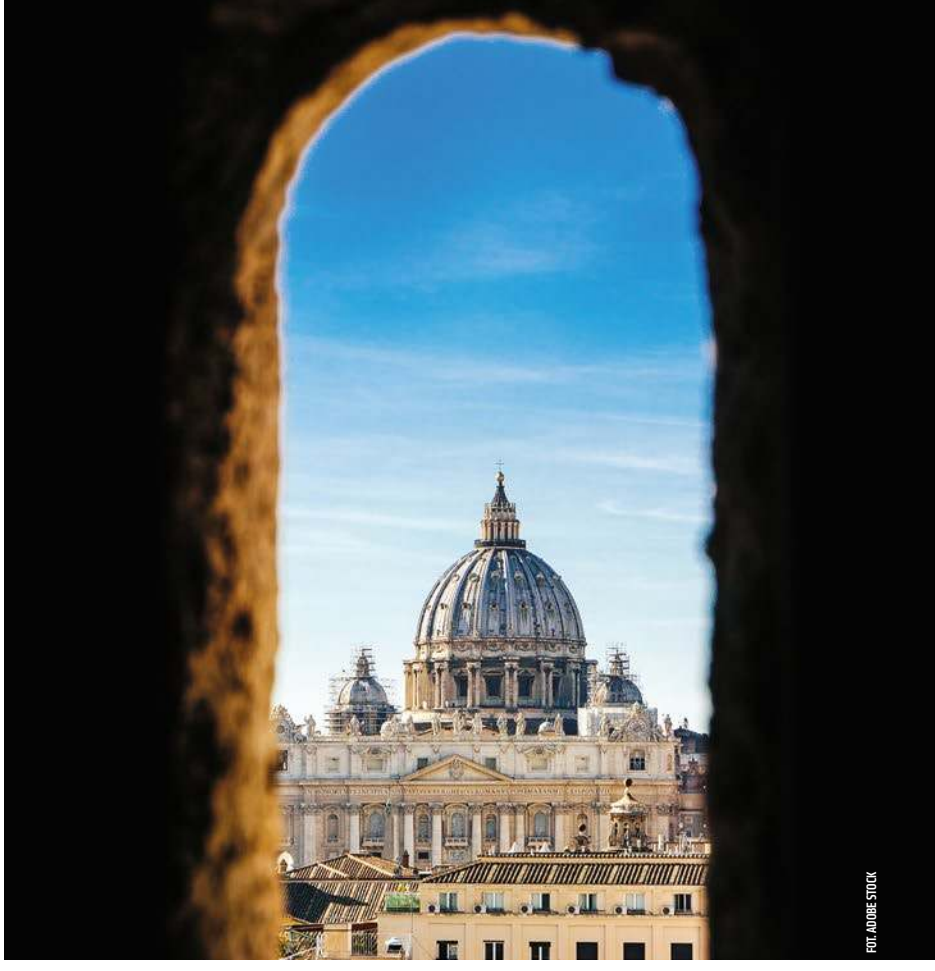

FOT. ADOBE STOCK

W ostatnich miesiącach kolejny cień na powodzenie budowy „ubogiego Kościoła” rzuciły zaaprobowane przez Franciszka decyzje Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie. To zgromadzenie podległe bezpośrednio Ojcu Świętemu; nie może podjąć żadnych strategicznych decyzji bez jego wiedzy. Na skutek działań Zakonu w bezpośredniej bliskości Watykanu zadomowi się wkrótce proaborcyjny i progejowski „filantrop” Bill Gates – i prawdopodobnie dobrze na tym zarobi. 10 marca 2023 r. Zakon podpisał porozumienie z firmą deweloperską Fort Partners, decydując się na powierzenie jej renowacji części historycznego Palazzo della Rovere, gdzie Rycerze mają swoją siedzibę. Decyzje potwierdzono w połowie maja. Pałac znajduje się tuż obok bazyliki św. Piotra, przy Via della Conciliazione 33. Po remoncie, który zakończony zostanie w 2025 r., część budynku będzie przez 30 lat leasingowana grupie hotelarskiej Four Seasons. Kontroluje ją właśnie Gates, w dodatku z niemałym udziałem… saudyjskiego księcia Al-Walida ibn Talala.

Skąd taki pomysł? Kierownictwo Zakonu podało, że było zmuszone do przeprowadzenia renowacji pałacu, na co jednak nie miało pieniędzy. W budynku już wcześniej prowadzono hotel, ale mało intratnie. Stąd zapadła decyzja o znalezieniu partnera, który zrobi to lepiej – i odnowi nieruchomość. Pozostaje zagadką, dlaczego na całym świecie nie znaleźli się lepsi kandydaci do wypełnienia tego zdania niż Bill Gates oraz islamski książę. Co więcej, nie tylko osoby inwestorów wzbudzają kontrowersje: sama grupa Four Seasons jest znana ze wspierania środowisk LGBT. Hotele grupy w San Francisco czy w Meksyku promowały w przeszłości różne tęczowe inicjatywy.

Koszt renowacji budynku wyniesie 54 mln dol. Powstanie 60 pokoi, które w teorii nie mają być „ekskluzywne”. Cóż, praktyka pokaże, jak będzie: w hotelu tej samej grupy we Florencji doba w najtańszym dwuosobowym pokoju w połowie lipca kosztowała ponad 7 tys. zł. W najdroższym: ponad 122 tys. zł. Ubodzy raczej nie skorzystają z noclegu w pałacu Gatesa i Saudyjczyka.

Być może nie powinno to nikogo dziwić – w końcu w październiku 2014 r.

eprasa.pl 68bd3b792c

nowe władze Watykanu zdecydowały się wynająć kaplicę Sykstyńską członkom klubu marki samochodowej Porsche. Klubowicze zapłacili za czterodniową wycieczkę do Rzymu po 5 tys. euro każdy. Nie wiadomo, ile pieniędzy otrzymała Stolica Apostolska. Fanom Porsche zaoferowano jednak ekskluzywny koncert w kaplicy. Urzędnicy watykańscy przekonywali, że cały zysk zostanie przekazany na cele charytatywne, i deklarowali, że liczą na zainteresowanie kolejnych wielkich firm. W końcu kto nie chciałby sowicie zapłacić za prywatne chwile w miejscu, w którym w otoczeniu fresków Michała Anioła kardynałowie zebrani na konklawe wybierają nowego papieża?

PRZEŚLADOWANIE TRADYCYJNYCH ZAKONNIC

Skandal z pałacem czy próba komercjalizacji kaplicy Sykstyńskiej bledną w obliczu innych wydarzeń, których jesteśmy świadkami w ostatnich miesiącach. Szczególnie bulwersujący bój o pieniądze prowadzony jest przez Stolicę Apostolską w toskańskiej Pienzy. W centrum znajdują się benedyktyńskie zakonnice, które „grzeszą" m.in. tym, że kultywują tradycyjną pobożność. Jak ujawnił niedawno abp Carlo Maria Viganò, mają one na sumieniu jeszcze poważniejszą „zbrodnię": zajmują budynek o dużym potencjale turystycznym.

Mniszki trafiły do Pienzy w 2019 r. Są Włoszkami, ale przebywały wcześniej w Holandii. Powróciwszy do ojczyzny, szukały przez pewien czas nowego domu – nie mogły wrócić do klasztoru w Pontano, skąd się wywodzą, bo został zniszczony w trzęsieniu ziemi. Wreszcie przyjął je w swojej diecezji bp Stefano Manetti. Pozwolił im zamieszkać w budynku seminarium letniego, które od dawna nie jest używane. Papież postanowił jednak osadzić w diecezji swojego przyjaciela, kard. Augusta Paola Lojudice. Lojudice pozostaje w dobrych stosunkach z Brazylijczykiem kard. João Braz de Avizem, prefektem Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekrowanego, znanym z bezlitosnego tępienia zakonnych zgromadzeń tradycyjnych.

Koszmar benedyktynek rozpoczął się w 2022 r. Ustępujący bp Manetti powiadomił siostry, że jego następca zechce „odzyskać" seminarium letnie, dlatego będą musiały się z niego wynieść. Benedyktynki nie miałyby gdzie się podziać. Niestety, nie były to czcze groźby. Po objęciu diecezji Lojudice próbował wyrzucić siostry z seminarium, wzywając na pomoc karabinierów (wbrew konkordatowi). Wreszcie wpadł na szczególny pomysł: postanowił zamienić seminarium na ośrodek dla uchodźców. Mniszki dostały konkretną ofertę – mogą zostać, jeżeli zajmą się uchodźcami. Jest to nie tylko całkowicie niezgodne z charyzmatem benedyktyńskim, lecz także po prostu niebezpieczne. Zakonnice to relatywnie młode kobiety. Zmuszenie ich do „opieki" nad migrantami z Afryki i Bliskiego Wschodu mogłoby skończyć się tragicznie. Sprawa jest wciąż w toku, ale wola władz kościelnych wyrzucenia zakonnic z atrakcyjnego budynku seminarium wydaje się niezłomna.

POCZĄTEK EPOPEI KARD. BECCIU

Niestety, obie opisane wyżej historie nie są incydentami. Za pontyfikatu Franciszka Stolica Apostolska aż kipi od niezwykle poważnych skandali na tle finansowym, nierzadko podlanych sosem ideologii. Do rangi symbolu urosła postać kard. Giovanniego Angelo Becciu, doświadczonego watykańskiego dyplomaty. Dobrze oceniany przez papieży, w 2011 r. został substytutem w Sekretariacie Stanu, czyli numerem dwa w najważniejszym urzędzie Kurii Rzymskiej. Tym samym otrzymał ogromną władzę administracyjną i rozpoczął ścisłą współpracę z papieżem. Sekretariatowi Stanu podlegał wówczas jeszcze niesławny Instytut Dzieł Religijnych, tzw. Bank Watykański (IOR). Pomimo pobożnej nazwy jest to de facto instytucja stricte finansowa, tyle że zakotwiczona w Watykanie – i stąd niepodlegająca niektórym zwykłym zasadom nadzoru nad bankami. Wiążą się z tym oczywiste „możliwości" – wykorzystywane od lat. Tak było choćby w latach 80., kiedy wybuchła gigantyczna afera z upadkiem Banco Ambrosiano kierowanym przez Roberta Calviego, członka mafijno-masońskiej loży Propagande Due. Watykański IOR był głównym udziałowcem Banco Ambrosiano. Pomimo upływu kilku dekad sytuacja z przejrzystością funkcjonowania banku bynajmniej się nie poprawiła. W styczniu 2021 r. sąd w Watykanie skazał na prawie dziewięć lat więzienia byłego szefa IOR, 81-letniego Angelo Caloię. Miał sprzedawać nieruchomości należące do banku sobie samemu i swoim wspólnikom po zaniżonych cenach. Caloia kierował IOR do 2009 r. Problemy z bankiem stanowiły jedną z głównych bolączek pontyfikatu Benedykta XVI.

FRANCISZEK „WSZYSTKO OCZYŚCI"

Rozpocząwszy pontyfikat, Franciszek deklarował intencję „oczyszczenia" finansów Watykanu, zarówno samego IOR, jak i innych watykańskich instytucji finansowych. Papież postanowił zmniejszyć rolę banku, starając się scentralizować nadzór nad pieniędzmi Stolicy Apostolskiej i Państwa Watykańskiego w jednym z ekonomicznych urzędów Kurii Rzymskiej, Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej (APSA). Powołał zupełnie nową instytucję: Sekretariat ds. Gospodarczych. Na jego czele postawił australijskiego kardynała George'a Pella. I tu właśnie rozpoczyna się największy skandal.

Pell zaczął pracę w 2014 r. Już w styczniu 2015 r. weszły w życie wytyczne kardynała, zatwierdzone przez Franciszka, które miały rozpocząć długotrwały proces poprawy funkcjonowania finansów watykańskich. Kluczowym elementem tego procesu miał stać się profesjonalny audyt. Wstępne ustalenia Pella wykazały ogromne „luki", w grę wchodziło ok. 1 mld euro. W 2015 r. w porozumieniu z Franciszkiem Australijczyk powołał audytora generalnego finansów watykańskich, cieszącego się międzynarodową renomą eksperta Libero Milone. Ten otrzymał szerokie uprawnienia; miał odpowiadać jedynie przed papieżem. Tak jak wcześniej Pell, wraz ze swoimi współpracownikami szybko rozpoznał potężne nieprawidłowości. Na rok 2016 przewidziano przeprowadzenie gruntownego audytu przez renomowaną firmę audytorską PriceWaterhouseCoopers.

ZNISZCZENIE AUDYTORÓW

Praca ta została jednak zablokowana. Substytut w Sekretariacie Stanu, wówczas jeszcze arcybiskup Becciu, podjął decyzję o anulowaniu audytu. Rozesłał stosowną informację do wszystkich urzędów kurialnych, choć nie miał do tego żadnego formalnego mandatu. Oskarżył Milonego o „szpiegowanie" siebie i swoich współpracowników. Becciu zatrudnił w Sekretariacie Stanu niejaką Cecilię Marognę,

eprasa.pl 68bd3b792c

którą według włoskich mediów obarczył zadaniem „rozpracowania" Milonego. W konflikcie papież stanął po stronie Becciu. Zgodził się ex post na odwołanie audytu PriceWaterhouseCoopers. Milone, choć podlegał tylko Franciszkowi, nie miał możliwości spotkania się z papieżem: otrzymał propozycję rozmowy za pośrednictwem Sekretariatu Stanu, którą odrzucił. Wkrótce, w związku z oskarżeniami, jakie formułował pod jego adresem Becciu, został zmuszony do rezygnacji.

INWESTYCJA W GEJOWSKĄ PROPAGANDĘ

Wreszcie storpedowano do końca misję kard. Pella. Hierarcha został oskarżony o czyny pedofilskie, jakich miałby dopuścić się jako arcybiskup Melbourne w Australii. W 2017 r. musiał wziąć urlop i pojechać do swojej ojczyzny w celach procesowych. Wypłynięcie tych oskarżeń to materiał na osobną historię; w mediach wielokrotnie opisywano, jak australijska policja prowadziła przeciwko kardynałowi nagonkę, szukając kogoś, kto mógłby go oskarżyć. Pell został uznany za winnego i w 2019 r. trafił za kratki. Proces kardynała był ostro krytykowany przez niezależnych dziennikarzy wskazujących na całkowitą niewiarygodność oskarżycieli. Rzeczywiście, po roku australijski Sąd Najwyższy uniewinnił Pella i kardynał mógł wyjść z więzienia. Ze zniszczonym zdrowiem: purpurat nie wrócił do swojej funkcji w Sekretariacie ds. Ekonomii, a na początku 2023 r. zmarł po operacji uda. W teorii skazanie i uwięzienie Pella mogą nie mieć nic wspólnego z jego pracą w Watykanie. Sam kardynał jednak w to nie wierzył, sądząc, że przeprowadzono przeciwko niemu operację sterowaną bezpośrednio z Kurii Rzymskiej. W okresie trwania jego sprawy właśnie z Sekretariatu Stanu płynęły do Australii regularne przelewy o niejasnym przeznaczeniu.

Dlaczego Pell i Milone spotkali się z tak gwałtownym sprzeciwem? Sekretariat Stanu starał się ukryć przed audytorami interesy, które prowadził m.in. z włoskim przedsiębiorcą Raffaele Mincione, w dużej mierze za pośrednictwem instytucji finansowych ulokowanych w Szwajcarii.

Mincione nawiązał współpracę z ludźmi Sekretariatu Stanu za pośrednictwem bankiera Enrica Crasso pracującego wtedy dla Credit Suisse. Za namową Mincione Sekretariat Stanu zaczął podejmować różne inwestycje. Jedną z najbardziej skandalicznych była ta dokonana w propagandowy gejowski film „Rocketman" opowiadający o Eltonie Johnie. Sekretariat zrobił to za pośrednictwem firmy Centurion Global Fund założonej przez Crassa po jego odejściu z Credit Suisse. Według „Corriere della Sera" Sekretariat zainwestował w różne filmy ok. 70 mln euro, w „Rocketmana" – ok. miliona. Pikanterii dodaje to, że pieniądze pochodziły w części ze świętopietrza. Sam Elton John wyśmiewał się z Watykanu w 2021 r., kiedy Kuria Rzymska wydała dokument zakazujący błogosławienia par jednopłciowych. „Jak to możliwe, że Watykan odmawia błogosławienia małżeństw gejowskich, bo »są grzeszne«, chociaż z wielką radością zarabiał dzięki zainwestowaniu milionów w »Rocketmana« – film, który opowiada o tym, jak znalazłem szczęście, wychodząc za Davida?" – pisał na Twitterze.

Ta milionowa inwestycja to „drobiazg" przy innych działaniach Sekretariatu Stanu. Mincione namówił Sekretariat do wykupu 45 proc. udziałów w ekskluzywnej nieruchomości położonej w Londynie. Budynek należał do samego Mincionego. Watykan wydał na inwestycję 180 mln euro – więcej, niż Mincione dał za całość (sic!) zaledwie dwa lata wcześniej. W ocenie Sekretariatu ds. Gospodarczych Watykanu ta inwestycja miała tak naprawdę pomóc Mincionemu „wyzerować" kredyty zaciągnięte na zakup budynku w szwajcarskich bankach. Z perspektywy interesów Watykanu nie miała większego sensu.

NIERUCHOMOŚĆ W LONDYNIE I UPADEK KARDYNAŁA

Przez pewien czas wydawało się, że Becciu triumfuje. Jego „inwestycje" pozostały niezagrożone, w 2018 r. został prefektem Kongregacji ds. Kanonizacyjnych; Franciszek kreował go kardynałem. Jego pozycja była niezwykle silna. Marzył nawet o papiestwie. Nad substytutem zaczęły się jednak zbierać czarne chmury.

Jesienią 2020 r. papież otrzymał dossier, które obciążało kardynała. Chodziło nie tylko o nieruchomość w Londynie, lecz także o wiele innych spraw, w tym związanych z interesami rodziny Becciu na Sardynii. Nastąpił natychmiastowy i spektakularny upadek. Becciu został wyrzucony z Kongregacji ds. Kanonizacyjnych, a przede wszystkim stracił wszystkie przywileje związane z godnością kardynalską. To oznacza, że nie weźmie udziału w konklawe. Zdegradowany kurialista oskarżył włoską prasę, która pisała o jego poczynaniach, o to, że utracił możliwość zostania papieżem – i zażądał 10 mln euro odszkodowania. W 2021 r. rozpoczął się (i trwa do tej pory) proces związany przede wszystkim z inwestycją w londyńską nieruchomość. Samej nieruchomości Watykan już nie posiada. Stolica Apostolska zdążyła wykupić wszystkie udziały, by wreszcie w roku 2022 budynek sprzedać. Strata: ok. 100 mln euro.

Warte odnotowania są też relacje Becciu z byłym kard. Theodore'em McCarrickiem, który wykorzystywał seksualnie seminarzystów w USA, współpracował ze służbami specjalnymi – a zarazem zbierał w Ameryce pieniądze, które następnie transferował do Watykanu, zyskując dzięki temu silne wsparcie.

McCarrick odegrał pewną rolę w głośnej sprawie przejęcia rzymskiego szpitala Istituto Dermopatico dell'Immacolata przez Watykan w 2015 r., w której początkach uczestniczył też Becciu. W momencie zakupu szpital znajdował się w stanie bankructwa; transakcję sfinansowano z poważnym naruszeniem reguł finansowych watykańskich instytucji. Skompromitowany Amerykanin starał się pozyskać finansowanie rzekomo na odbudowę funkcjonalności placówki od bogatych darczyńców z USA, ale ostatecznie pieniądze były jednak przeznaczone na pokrywanie wielomilionowych długów.

Becciu brał też udział w głośnej operacji „przejmowania" przez Franciszka niezwykle wpływowej, majętnej i kontrowersyjnej organizacji religijnej – Zakonu Maltańskiego. Z rażącym pogwałceniem jego suwerenności papież zmusił zakon do przeprowadzenia głębokich zmian. W teorii chodziło o unowocześnienie, w praktyce w tle całej historii stały potężne pieniądze, m.in. tajemnicze datki wpływające na konto Zakonu ze Szwajcarii. Wskutek papieskiej „rozprawy" z Zakonem zniweczona została próba usunięcia z jego władz Albrechta

eprasa.pl 68bd3b792c

von Boeselagera, oskarżanego o rozdawanie prezerwatyw w ramach „akcji charytatywnych" w ubogich krajach. Wyrzucony ze swoich funkcji Boeselager dzięki wsparciu ekipy Franciszka powrócił w chwale, by do 2022 r. pełnić urząd Wielkiego Kanclerza zakonu.

LATYNOAMERYKAŃSCY PRZYJACIELE FRANCISZKA

Także Ameryka Południowa jest dziś matecznikiem wielu skandali w otoczeniu Franciszka. Jedną z jego pierwszych decyzji personalnych jako papieża było obsadzenie argentyńskiej diecezji Oran swoim przyjacielem, bp. Gustavo Oscarem Zanchettą. Biskup rozpoczął rządy w „hucznym" stylu. Do Watykanu szybko zaczęły napływać skargi w związku z domniemanymi nadużyciami finansowymi i seksualnymi. Papież nie reagował. Przełom nastąpił dopiero w 2017 r., kiedy wypłynęły zdjęcia przedstawiające Zanchettę w negliżu z młodymi mężczyznami. Trudno było negować istnienie problemu. Franciszek zamiast odsunąć Zanchettę, zaprosił go do Watykanu. Pozwolił mu mieszkać w tym samym Domu św. Marty, w którym mieszka sam, i zaoferował posadę asesora w APSA (sic!). Ostatecznie Zanchetta został skazany na więzienie w marcu 2022 r. to, że wykorzystywał seksualnie swoich seminarzystów, których obdarowywał drogimi prezentami. Malwersacje finansowe i homoerotyczne skandale, jak się okazuje, nie były dla watykańskiego układu władzy większym problemem. Mimo skazania krzywda mu się nie dzieje. Po krótkim czasie karę więzienia zamieniono na areszt domowy – i to w domu emerytowanych księży. Ofiary Zanchetty uważają, że to skutek dalszego wsparcia ze strony wpływowych przyjaciół.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się też prawdy o poczynaniach wpływowego kard. Oscara Rodrigueza Maradiagi. Dobry znajomy Franciszka w 2013 r. otrzymał funkcję koordynatora elitarnej watykańskiej Rady Kardynałów. Ściśle współpracował z papieżem w dziele reformy Kurii Rzymskiej. Wkrótce pojawiły się jednak doniesienia o podejrzanych inwestycjach w instytucje finansowe w Londynie realizowanych ze środków należących do archidiecezji Maradiagi, Tegucigalpy w Hondurasie.

W 2017 r. z inicjatywy samego Franciszka śledztwo w tej sprawie przeprowadził emerytowany argentyński biskup Jorge Casaretta. Jak donosił dziennik „L'Espresso", śledztwo wykazało możliwość popełnienia poważnych nieprawidłowości. W centrum znalazły się pieniądze należące do diecezjalnej gazety i telewizji. Co więcej, Maradiaga miał też otrzymywać rocznie 600 tys. dol. z Uniwersytetu Katolickiego w Tegucigalpie. Formalnie to żadne przestępstwo, ale trudno mówić w tej sytuacji o „ubogim Kościele". Tymczasem jedynym „ukaranym" w całej sprawie został biskup pomocniczy Tegucigalpy, Juan José Pineda. Miał przelewać kościelne pieniądze przyjaciołom, kupować znajomym różne dobra. Został też oskarżony o wykorzystywanie seminarzystów. Na tym się skończyło.

Maradiaga dopiero w tym roku – w wieku 80 lat – przeszedł na emeryturę jako arcybiskup Tegicugalpy; odszedł też z Rady Kardynałów – bez szwanku. Papież nadal go ceni. Uczynił go jednym z uczestników październikowego Synodu o synodalności.

Część pałacu położonego tuż obok bazyliki św. Piotra stanie się hotelem grupy kontrolowanej przez Gatesa i saudyjskiego księcia

STRUKTURALNY „SKANDAL NIEMIECKI"

We współczesnym Kościele katolickim jest też pewien skandal finansowy, który ma charakter strukturalny. To funkcjonowanie katolicyzmu w Niemczech, gdzie biskupi dopasowują katolicką doktrynę do wymogów liberalnego państwa, byle tylko nie zrazić do siebie władzy świeckiej i zachować gwarantowane przez nią wysokie wpływy finansowe. Za Odrą to rząd federalny ściąga w imieniu Kościoła tzw. Kirchensteuer od wszystkich zarejestrowanych katolików. Ci, którzy nie chcieliby płacić pod przymusem, muszą „wypisać się" z Kościoła. Biskupi – wbrew wielokrotnym napomnieniom św. Jana Pawła II i Benedykta XVI – uznają ich wówczas za „ekskomunikowanych" i odmawiają sakramentów. Otrzymując z Kirchensteuer miliony euro, są w stanie utrzymywać gigantyczny aparat biurokratyczno-socjalny: nominalnie katolickie przedszkola i szkoły, przychodnie i szpitale, biblioteki i ośrodki kultury. Nominalnie, bo kto płaci, ten wymaga i w katolickim przedszkolu za Odrą może dziś pracować jako opiekun np. transseksualny mężczyzna żyjący w niesakramentalnym związku z innym mężczyzną. Biskupów to nie gorszy – pieniądze są najważniejsze.

Niestety, Rzym przestał protestować wobec Kirchensteuer. Nie bez powodu. Niemiecka teologia stanowi zaplecze intelektualne pontyfikatu Franciszka, a ponadto Kościół w RFN poprzez organizacje charytatywne Misereor i Adveniat transferuje duże pieniądze do diecezji w Ameryce Łacińskiej. Bez Kirchensteuer rewolucyjna maszyna nie szłaby już tak sprawnie naprzód.

FIASKO KOŚCIOŁA UBOGICH?

To tylko kilka obrazków z rzeczywistości, jaka – pomimo szermowania pięknymi hasłami – rozkwita pod władzą Franciszka i jego najbliższych współpracowników. Aby dopełnić obrazu, musielibyśmy jeszcze opisać zaangażowanie Jorge Mario Bergoglia we współpracę z lady Lynn Forester de Rotschild w ramach Rady na rzecz Inkluzywnego Kapitalizmu; budowę synkretycznego kompleksu świątynnego w Abu Zabi z miliarderem szejkiem Muhammadem ibn Zajidem Al Nahajjanem; intensywną współpracę z szefami największych światowych koncernów farmaceutycznych; gorliwe wpisywanie się przez urzędy kurialne w cele wyznaczane przez Światowe Forum Ekonomiczne Klausa Schwaba… Opisane wyżej skandale finansowe jawią się na tym tle jako ledwie element całego systemu, w którym biedni – jak można mieć wrażenie – liczą się głównie jako propagandowy zasób uwiarygadniający „inkluzywną" narrację. W projekcie „Kościoła ubogich", o którym słyszymy od ponad 10 lat, coś zdecydowanie poszło nie tak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 68bd3b792c

Ein Heller und ein

Piotr Semka

Występ niemieckiego zespołu, który odśpiewał w Gdańsku pieśń kojarzącą się Polakom z niemiecką okupacją, to kolejna okazja do postawienia pytań, jak Niemcy powinni podchodzić do wrażliwości innych i w jakim stopniu tę wrażliwość są w stanie uszanować

Niemiecka orkiestra dęta Zeitvertreib z miejscowości Ulsenheim zaproszona na Jarmark Dominikański w Gdańsku odśpiewała niemiecką pieśń „Ein Heller und ein Batzen". Występ nagrano i zrobił dużo zamieszania w sieci. Wybuchł skandal. Niemiecki zespół przeprosił, tłumacząc, że nie miał świadomości, iż pieśń ta znana jest w Polsce pod zdeformowaną nazwą „Heili, Heilo, Heila" i kojarzy się z niemiecką okupacją.

Co pewien czas Niemcy odkrywają, jak niezwiązana wprost z nazizmem tradycja postrzegana jest przez inne narody jako nawiązywanie do epoki Hitlera. Trudno, żeby tak się nie działo w sytuacji, gdy Hitler w myśl zasad nazizmu stawiał na propagowanie ludowości w miejsce elitarnej sztuki. Cała sprawa to kolejna okazja do pytań, jak Niemcy powinni podchodzić do wrażliwości innych i w jakim stopniu tę wrażliwość są w stanie uszanować.

INCYDENT Z SENNEGO NIEDZIELNEGO POPOŁUDNIA

Jarmark Dominikański to coroczna trzytygodniowa impreza nastawiona na szczyt sezonu urlopowego w Gdańsku. Z tej okazji, szczególnie w weekendy, na wielu gdańskich placach montowane są sceny do występów zespołów muzycznych i folklorystycznych. Taką scenę zbudowano nieopodal pomnika Świętopełka II, niedaleko bazyliki św. Mikołaja.

Zbudowano parenaście stoisk, na których można było kupić regionalną żywność z całej Europy, m.in. produkty żywnościowe z niemieckiej Frankonii. Dlatego jednym z zespołów folklorystycznych występującym 6 sierpnia br. był zespół właśnie z tej niemieckiej krainy. Akurat padał deszcz i stosunkowo niewielu zwiedzających zatrzymało się przy drewnianej scenie. Traf chciał, że był między nimi reporter informacyjnego portalu Gdańsk Strefa Prestiżu, który nagle ze zdumieniem zobaczył, jak członkowie zespołu, wsparci ramionami w okrąg, zaczynają na głos śpiewać pieśń, która wielu Polakom kojarzy się bardzo źle i obiegowo, choć nie ściśle, nazywana jest od słów refrenu „Heili, Heilo, Heila".

Filmik z tego dziwacznego występu bardzo szybko wywołał falę oburzenia i ta skandalizująca migawka z jarmarku pojawiła się w „Wiadomościach" TVP, Polsacie i w wielu innych mediach. W tej sytuacji do sprawy odniosły się władze miasta i organizator Jarmarku Dominikańskiego. Miasto Gdańsk i spółka Międzynarodowe Targi Gdańskie S.A., która odpowiada za wszystkie elementy jarmarku, ogłosiły, że przyjmują przeprosiny wystosowane przez niemiecką

eprasa.pl 68bd3b792c

Gdy większość zespołu z Frankonii śpiewa kontrowersyjną pieśń, jeden z członków zespołu wyraźnie odwraca się plecami od reszty kolegów, wzrusza ramionami i kręci głową na znak zażenowania i poczucia niestosowności sytuacji FOT. STREFA TV - GDAŃSK STREFA PRESTIŻU/YOUTUBE

Skandal

delegację po występie ludowego zespołu reprezentującego okręg środkowej Frankonii. Jak wyjaśnił Daniel Stenzel, rzecznik prasowy prezydent miasta Aleksandry Dulkiewicz, zespół wykonywał piosenkę poza oficjalnym programem i w oryginalnej ludowej wersji z 1830 r. Poinformowano, że niemiecki zespół prosi o przyjęcie ubolewania z powodu zaistniałej sytuacji i tłumaczy, iż „w żaden sposób nie chciał nikogo urazić".

Ze swej strony organizatorzy jarmarku przypomnieli, że w trakcie jego trwania ma miejsce ponad 60 wydarzeń artystycznych i organizatorzy uwzględniają jedynie występy na scenie głównej, natomiast nie mają wpływu na przyśpiewki w różnych przestrzeniach jarmarku, tak jak to było w powyższym wypadku – tłumaczył rzecznik Stenzel.

Osobne oświadczenie wydał okręg środkowej Frankonii. Czytamy w nim: „Okręg środkowej Frankonii bardzo ubolewa z powodu zaistniałej sytuacji. Muzycy nie byli świadomi skojarzeń z tą pieśnią ludową i w żaden sposób nie chcieli nikogo urazić. Jeśli powstały tu fałszywe wrażenia i czyjeś uczucia zostały zranione, to grupa i okręg Środkowej Frankonii wyraźnie za to przepraszają". W oświadczeniu podpisanym przez Wolfa Dietera Ensera podkreślono, że zespół zaśpiewał oryginalną wersję „Ein Heller und ein Batzen" z refrenem „Heidi, Heido, Heida".

STARA PIEŚŃ I ŚWIEŻE URAZY

Aby zrozumieć zastrzeżenie pana Wolfa Dietera Ensera, trzeba się cofnąć do historii pieśni, która tak fatalnie brzmi w uszach Polaków. Tekst powstał na bazie wiersza niemieckiego poety Alberta von Schlippenbacha (1800–1886). Była to typowa pieśń, którą Niemcy zaliczają do gatunku „Wanderlied", czyli piosenka marszowa, piosenka studencka. Przez Niemcy przelewały się wówczas grupy studentów brzdąkających na mandolinach, chłonących piękno niemieckich krajobrazów i stylizujących się na spadkobierców staroniemieckich minstreli.

Piosenka powstała dzięki skojarzeniu pieśni berlińskiego studenta Franza Kuglera z dość pogodnym utworem Schlippenbacha. Oryginalna nazwa piosenki „Ein Heller und ein Batzen" oznacza dwie drobne monety, którym można nadawać nazwę jeden halerz i jeden dziesiątak – popularne monety, którymi płacono za szklanicę wina i kubek wody. Podmiot literacki opisuje siebie jako człowieka niezamożnego, ale lubiącego wypić, nielubianego przez karczmarzy jako naciągacz darmowych kolejek, ale na tyle uroczego i urodziwego, że jest on kochany przez wszystkie dziewczyny.

Piosenka szybko stała się przebojem. Szczególnie upodobali ją sobie studenci zachwyceni etosem hultaja, który robi w konia karczmarzy, nie płacąc za trunki, a na dodatek ma tak duże wzięcie u dziewczyn, że wybaczają mu wszystkie grzeszki. Stara melodia była dosyć staroświecką brzdąkaniną, która ginęła w tle ryku podochoconych winem studentów.

W połowie XIX w. zastąpiono ją muzyką, którą w Niemczech nazywa się „Blasmusik" i która jest pseudoludowym brzmieniem, w którym dominują tuby. Ten styl nawiązujący do folkloru, choć będący faktycznie kiczem na bazie muzyki ludowej, stał się najbardziej popularny wraz epoką powstania zjednoczonych Niemiec i wybuchem samozadowolenia ze zwycięstw Prus nad Danią w 1864 r., nad Austrią w 1866 r. i wreszcie nad Francją w 1870 r.

Już wcześniej zresztą maniera niemieckich burszów chóralnego śpiewania, zazwyczaj w stanie solidnego wstawienia, wywoływała u przyjezdnych z zagranicy bardzo mieszane uczucia. W pamiętnikach Brytyjczyków, którzy podróżowali po Nadrenii i Hesji, znaleźć można kąśliwe uwagi, że nocując w karczmach, zmuszani byli do wcześniejszego pójścia spać lub wieczornego spaceru, byleby tylko nie słyszeć ryczących pieśni akcentowanych rytualnym waleniem kuflem o kufel.

To zderzenie skojarzeń obcokrajowców między hałaśliwym stylem zachowania młodych Niemców i rauszu pewności siebie po trzech wygranych wojnach Prus w XIX w. było na tyle silne, że znalazło swe odbicie w „Biesach" Dostojewskiego. Rosyjski pisarz opowiada w tej książce o sztuczce fortepianowej genialnie oddającej porażkę dumnej Francji z mniej wyrafinowaną, ale znacznie skuteczniejszą armią Prus. Dostojewski pisał: „Sztuczka w rzeczy samej była zabawna i nosiła śmieszną nazwę »Wojna francusko-pruska«. Zaczynała się groźnymi dźwiękami »Marsylianki«: Qu'un sang impur abreuve nos sillons. Słychać tu było napuszone wezwania,

eprasa.pl 68bd3b792c

upojenie przyszłymi zwycięstwami. Ale raptem z mistrzowsko skomponowanymi wariacjami hymnu, gdzieś z boku, z dołu, z kącika, ale z bardzo bliska odzywają się plugawiutkie dźwięki: Mein lieber Augustin.

Marsylianka nie słyszy tych dźwięków, Marsylianka jest w zenicie upojenia własną wielkością; ale Augustyn wzmacnia się. Augustyn bezczelnieje i oto takty Augustyna zaczynają zbiegać się z taktami Marsylianki, która w końcu zaczyna się gniewać. Marsylianka nareszcie dostrzega Augustyna i chce go odegnać od siebie jak muchę nieznośną, ale Mein lieber Augustin trzyma się już mocno. Jest wesoły i pewny siebie. Jest radosny i arogancki, a Marsylianka jakoś nagle głupieje. Już się przyznaje, że jest krzywdzona. To krzyk oburzenia, to łzy, zaklęcia z wyciągniętymi do opatrzności rękami [...]. Ale teraz sierdzi się już Augustyn. Słychać głos zachrypnięty, mnóstwo wypitego piwa, szaleństwo samochwalstwa, żądania miliardów subtelnych cygar, szampana i zakładników, Augustyn zmienia się w ryk. Francusko-pruska wojna jest skończona".

Dostojewski nie był jakimś specjalnym germanofobem, a jednak, jak się okazuje, doskonale wyczuwał, w jaki sposób sąsiedzi Niemiec – a tym bardziej ofiary niemieckiego szowinizmu – reagują na te elementy ludowej formalnie obyczajowości, które budzą niepokój.

Dokładnie 67 lat później Ludwik Sempoliński zaproponował inną, tym razem wokalną sztuczkę, w której pokazał, jak Niemcy, którzy w latach 20. XX w. potrafili ryczeć ze śmiechu, oglądając nieme komedie Charliego Chaplina, w ciągu dosłownie paru lat zamienili się w masę wrzeszczącą na stadionach, na których przemawiał Hitler. Opowiadały o tym słowa kabaretowego kupletu, którego bohater, występując jako Charlie Chaplin, przerażony tą zmianą wyznaje publiczności: „Przed wojną na mój skromny tron zazdrosny rywal się wysuwa, kandydat nowy, groźny On, milczenie me zastąpił wrzaskiem, mój śmiech przemienić pragnął w strach, melonik mój mianował kaskiem, policja także za nim ach, mój wąs, rekwizyt mój, mój trik, wziął, wypiął go, a wszyscy w ryk".

Po dojściu Hitlera do władzy jego paladyni z NSDAP zaczęli kształtować tryb wychowywania rekrutów w nowej armii z bardzo wyraźnym zaleceniem włączania młodych żołnierzy zarówno z elit, jak i z dołów społecznych w budowanie zbiorowej świadomości przynależności do Volksgemeinschaft, czyli wspólnoty ludowej. To spowodowało, że śpiewniki żołnierskie wcześniej zdominowane przez pruskie marsze i pieśni kombatanckie wyposażono dodatkowo w pieśni ludowe.

I dlatego „Ein Heller und ein Batzen" zyskała ogromną popularność żołnierzy Wehrmachtu. Dlatego też w epoce nazistowskiej oryginalny refren „Heidi, Heido, Heida" – odnoszący się do żeńskiego zdrobnienia imienia Adelheide – śpiewano bardzo często w nowym brzmieniu „Heili, Heilo, Heila", co było

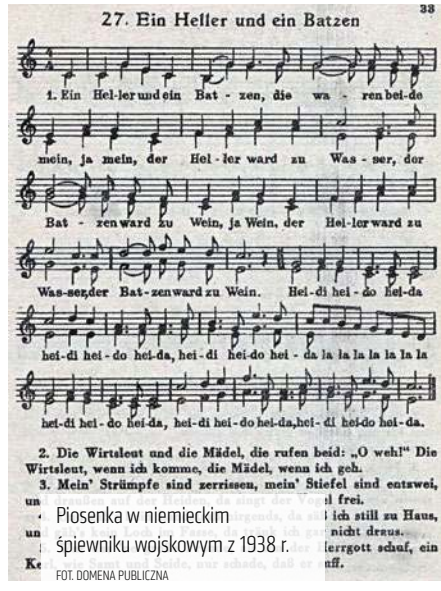
27. Ein Heller und ein Batzen

33

1. Ein Hel-ler und ein Bat - zen, die wa - ren bei-de mein, ja mein, der Hel - ler ward zu Was - ser, der Bat - zen ward zu Wein, ja Wein, der Hel-ler ward zu Was-ser, der Bat-zen ward zu Wein. Hei-di hei - do hei-da hei-di hei - do hei-da, hei - di hei-do hei - da la la la la la la la hei-di hei - do hei-da, hei-di hei-do hei-da, hei- di hei-do hei-da.

2. Die Wirtsleut und die Mädel, die rufen beid: „O weh!" Die Wirtsleut, wenn ich komme, die Mädel, wenn ich geh.

3. Mein' Strümpfe sind zerrissen, mein' Stiefel sind entzwei, ich still zu Haus, nicht draus. lerrgott schaf, ein

Piosenka w niemieckim śpiewniku wojskowym z 1938 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

pośrednim nawiązaniem do nazistowskiego pozdrowienia „Heil Hitler". Pieśni te, śpiewane z ogromną dawką pewności siebie przez niemieckich żołnierzy maszerujących przez ulice okupowanych miast europejskich, stały się symbolem niemieckiej agresji.

Jednak czym innym była recepcja tej pieśni za granicą, a czym innym stosunek do niej Niemców zachodnich. I dlatego w RFN pieśń trafiła do repertuaru wielu wykonawców tzw. Volksmusik. Być może był w tym pewien sentyment za dawną epoką, ale trudny do udowodnienia, bo gdy tylko ktoś próbował kwestionować śpiewanie tej pieśni, natychmiast przypominano, że powstała ona 100 lat przed pojawieniem się na niemieckiej scenie politycznej Hitlera.

OBRONA MIMO WSZYSTKO

Lokalny portal „Gazety Wyborczej" w Gdańsku całą awanturę o niemiecką pieśń na Jarmarku Dominikańskim opisał w tytule w następujący sposób: „Na Jarmarku Dominikańskim Niemcy zaśpiewali ludową pieśń o winie i kobietach. Prawica usłyszała »hymn Wehrmachtu«". W notatce autor Paweł Wojciechowski przypomniał całą historię pieśni, podkreślając jej ludowy i popularny charakter, choć zaznaczając, że była popularna wśród żołnierzy III Rzeszy.

Wyraźnym przesłaniem tekstu była teza, że goście z Frankonii nie mieli żadnych powodów do podejrzeń, iż pieśń może być w Polsce przyjęta jako skandal. Można by było przyjąć taką tezę, gdyby nie to, że przykładowo niemiecka Wikipedia w pierwszych trzech zdaniach definicji tego hasła ostrzega: „W czasie drugiej wojny światowej utwór ten był postrzegany jako wyraz pychy narodowo-socjalistycznej na terenach okupowanych przez niemiecki Wehrmacht". W przypisie tej opinii cytowane jest zdanie z jednej z francuskich publikacji, która zauważała: „Cała Europa drży na dźwięk tej radosnej pieśni, która towarzyszy najazdom i paradom jak zapowiedź terroru".

Także w angielskiej wersji tego hasła wyraźnie podkreślone jest, że: „»Ein Heller und ein Batzen« była popularną pieśnią marszową Wehrmachtu w czasie drugiej wojny światowej". O tym, że można było przewidzieć, iż pieśń nie jest niewinna, szczególnie na terenie polskiego Gdańska, świadczyć też może scena uwieczniona na nagraniu skandalicznego występu. Gdy większość zespołu z Frankonii śpiewa kontrowersyjną pieśń, jeden z członków zespołu wyraźnie odwraca się plecami od reszty kolegów, wzrusza ramionami i kręci głową na znak zażenowania i poczucia niestosowności sytuacji.

Skąd więc biorą się tak uparte próby wmawiania czytelnikom „Gazety Wyborczej" w Gdańsku, że to z powodu polskiego przewrażliwienia zdemonizowano niewinną studencką pieśń biesiadną? I to właśnie ten element – obok wątpliwości, że zespół z Frankonii naprawdę nie wiedział, jaki efekt wywoła kontrowersyjna pieśń – jest w całej tej sprawie najbardziej zajmujący.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ŚREDNIOWIECZE ODKŁAMANE

Wspaniałe dziedzictwo chrześcijańskiej Europy

Jasne wieki zamiast „mroków średniowiecza" – wyobrażenie o zacofaniu Europy to efekt propagandowej wojny z chrześcijaństwem

Kulisy jałtańskich targów – dlaczego Franklin D. Roosevelt wierzył, że uda mu się „oczarować" Stalina?

Ostatnia misja czarnego samuraja – jak były niewolnik stał się przybocznym jednego z najpotężniejszych Japończyków

Nieznane ludobójstwo – na przełomie XX i XXI w. w sercu Afryki zginęło ok. 6 mln ludzi

Krew czterech cesarzy – lata 68–69 n.e. były przełomowym i bardzo brutalnym okresem w historii Imperium Rzymskiego

Inflanckie triumfy husarii – nie miała znaczenia dysproporcja sił, atak naszej ciężkiej jazdy przełamywał szyki, co decydowało o losach bitew

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 68bd3b792c

Karol Gac

Czyja PASTA?

Czy Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris straci swoją dotychczasową siedzibę w historycznym budynku PAST-y w samym centrum Warszawy?

Z każdym dniem zaostrza się spór pomiędzy Instytutem Ordo Iuris a Fundacją Polskiego Państwa Podziemnego (FPPP), organizacją powołaną przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej (ŚZŻAK), która w jego imieniu zarządza budynkiem Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, potocznie zwanym PAST-ą, położonym w centrum Warszawy przy ul. Zielnej 39. Jak to się jednak stało, że nad Instytutem zawisły ciemne chmury i groźba opuszczenia wynajmowanego lokalu?

O sprawie stało się głośno, gdy 1 sierpnia prezes Instytutu Ordo Iuris, adwokat Jerzy Kwaśniewski, poinformował w wieczornym newsletterze, że organizacja kilka godzin wcześniej otrzymała pismo wzywające do niezwłocznego opuszczenia budynku PAST-y. „W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego zarządzająca tym historycznym miejscem Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego postanowiła bezprawnie, sprzecznie z zawartymi umowami, usunąć nas ze względu na dbałość »o swój wizerunek, również poprzez odpowiedni nabór najemców«" – napisał Kwaśniewski i zaapelował do sympatyków, by dzwonili i pisali „w celu wywarcia presji na władzach FPPP i ŚZŻAK". To się udało. Telefonów było tak dużo, że – jak podała „Gazeta Wyborcza" – w siedzibie Fundacji trzeba było odłączyć telefony.

„Otrzymaliśmy od FPPP nakaz opuszczenia lokalu, choć mamy obowiązującą umowę, świeżo podpisany aneks w grudniu ub. roku na dziesięć lat, dokładnie do 2035 roku. Negocjacje trwały bardzo długo. Zgodziliśmy się na podwyżkę czynszu i coroczne waloryzacje" – tłumaczył Kwaśniewski dzień później w wywiadzie dla portalu DoRzeczy.pl, zaznaczając jednocześnie, że Instytut Ordo Iuris na

Budynek Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej w Warszawie, którym zarządza Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 68bd3b792c

bieżąco reguluje wszystkie swoje zobowiązania. O co więc poszło?

WINNA POLITYKA?

Nowe stawki czynszu oraz inna polityka najmu to efekt m.in. zmiany władz w ŚZŻAK w 2022 r., a w ślad za nim w FPPP, oraz sądowych zmian w statucie. Na czele Rady FPPP stanął były poseł Unii Wolności Jacek Taylor, który szybko zabrał się do działania. „Jeszcze niedawno porównywał obecną sytuację w Polsce… z czasami totalitarnych praktyk PRL. Teraz rozpoczął usilne działania zmierzające do usunięcia z historycznego budynku kolejnych patriotycznych organizacji. Nawet tych, które – tak jak Ordo Iuris – niedawno zgodziły się na podwyżkę czynszu, zawarły nowe długoletnie umowy najmu i zawsze terminowo wywiązują się ze wszelkich płatności" – podkreślił Kwaśniewski na stronie Ordo Iuris.

Zwróciliśmy się do władz FPPP z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie oraz komentarz do zarzutów, jakie podnosi Kwaśniewski. W odpowiedzi przesłanej „Do Rzeczy" podkreślono m.in., że 18 lipca na portalu Polskiego Radia 24 pojawił się „nieprawdziwy materiał na temat funkcjonowania budynku PAST-y", w którym wypowiadał się Jerzy Kwaśniewski, oraz przesłano nam treść sprostowania, które FPPP przesłała do PR24. Chodzi o audycję, którą prowadził Tadeusz Płużański z Fundacji Łączka, która także ma swoje biuro w budynku PAST-y. Prezes Ordo Iuris wskazywał w niej m.in., że Instytut otrzymuje „sygnały od najemców PAST-y, którzy często zajmują w budynku pojedyncze pokoje, o wypowiadaniu czynszów i ich podwyżkach o 50, 100, nawet o 200 proc.". Zdaniem Kwaśniewskiego przynajmniej w kilku przypadkach ma dochodzić do naruszenia prawa cywilnego. „Tego typu biurowce w centrum Warszawy są niezwykle atrakcyjnym kąskiem dla funduszy inwestycyjnych. Dla ludzi, którzy nie czują charakteru tego miejsca, może to być łatwa i atrakcyjna metoda pozyskania finansowania" – oceniał Kwaśniewski w PR24. Jednocześnie przypomniał, że jego organizacja zainwestowała w remont setki tysięcy złotych. „Środki naszych darczyńców doprowadziły do tego, że przynajmniej jedno piętro odzyskało właściwy blask ładnego biurowca przedwojennego" – mówił.

FPPP odesłała nas także do swojego oświadczenia, w którym możemy przeczytać m.in., że „jednym z priorytetów, jakie nowa Rada Fundacji PPP wyznaczyła Zarządowi Fundacji PPP, była weryfikacja i efektywna komercjalizacja pomieszczeń PAST-y, w tym pustych pomieszczeń, aby dochody z najmu rzeczywiście służyły weteranom Polski Podziemnej, ich rodzinom oraz aby możliwe było prowadzenie bieżących prac remontowo-naprawczych w historycznym budynku wzniesionym w 1908 roku". Jednocześnie zaznaczono, że „zmiana stawek czynszu nie dotyczy żadnej z organizacji kombatanckich". W oświadczeniu czytamy też, że „spośród 26 najemców pomieszczeń w budynku PAST-y 14 to właśnie organizacje tego typu, które nie ponoszą kosztów najmu, dlatego właśnie, że budynek PAST-y ma służyć ich działalności".

Kością niezgody okazała się więc audycja w Polskim Radiu 24. W piśmie do Ordo Iuris FPPP podkreśliła za to, że: „jest zobowiązana dbać o swój wizerunek również poprzez odpowiedni dobór najemców lokali w historycznym budynku PAST-y [...]. Musimy więc unikać najemców, którzy publicznie szkalują i zniesławiają FPPP, rzucając na nią kłamliwe oskarżenia". Według Instytutu prawdziwe powody takiej decyzji są inne. „To nasza wspólna audycja w Polskim Radiu 24, gdzie ujawniliśmy bezprawne praktyki nowych władz Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego, stała się pretekstem do ostatecznej eskalacji bezprawia i próby pozbawienia nas siedziby w PAST" – ocenił Kwaśniewski.

Instytut Ordo Iuris nie zamierza składać broni. Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego cały czas domaga się, by opuścił lokal

EKSMISJA CZY NIE?

Choć początkowo wydawało się, że FPPP dąży do wyrzucenia Ordo Iuris z lokalu w budynku PAST-y, to niedługo później skorygowała ona swoje stanowisko. „Zwracamy uwagę, że Ordo Iuris wynajęła lokal na czas określony, to jest do listopada 2028 r. z możliwością przedłużenia o kolejne pięć lat, zatem wcześniej nie jest zasadniczo możliwe wypowiedzenie tej umowy. Dlatego umowa najmu nie została wypowiedziana, a Fundacja PPP jedynie wezwała, by zniesławiający ją najemca opuścił budynek PAST-y" – poinformowała „Do Rzeczy" FPPP.

Tyle tylko, że obecne stanowisko FPPP zakłada dosyć osobliwą konstrukcję – z jednej strony wskazuje się, że umowy nie można wypowiedzieć wcześniej, a z drugiej podkreśla, że wezwano najemcę do opuszczenia budynku. Nieco złośliwie można zauważyć, że zapewne najlepiej byłoby, gdyby Instytut opuścił budynek, ale płacił czynsz za lokal. „W świetle obowiązującego prawa oraz zdrowego rozsądku nie jest możliwe jednoczesne utrzymanie w mocy umowy najmu (czyli oddania lokalu w używanie) oraz żądanie opuszczenia lokalu przez najemcę" – wskazuje mecenas Kwaśniewski, który zaznacza jednocześnie, że ocena wypowiedzi w PR24 „nie uprawnia wynajmującego do wypowiedzenia umowy najmu, a tym bardziej do bezprawnego żądania natychmiastowego opuszczenia wynajmowanych pomieszczeń".

Widać wyraźnie, że spór z FPPP się zaostrza. Co dalej? Instytut Ordo Iuris nie zamierza składać broni oraz podkreśla, że niepokoi go podtrzymanie stanowiska FPPP, która cały czas domaga się opuszczenia wynajmowanego lokalu. Jak wskazuje Kwaśniewski, na razie lokal pilnowany jest 24 godziny na dobę, a Instytut czeka instalacja dodatkowego monitoringu. „Musimy pamiętać, że ten budynek może niebawem przynosić ogromne straty, co może skończyć się zlicytowaniem majątku. Rozpoczynamy również postępowania sądowe z wnioskami o zabezpieczenie, ponieważ z takim bezprawiem nie będziemy się godzić. My na walce z bezprawiem się trochę znamy" – puentuje adwokat Jerzy Kwaśniewski w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Zakamuflowana legalizacja aborcji na życzenie

Agnieszka Golańska-Bault

W poczuciu bezkarności kolejne szpitale przyznają się do praktykowania aborcji ze względu na „psychiczny dobrostan matki". Czy nowa minister zdrowia zmieni tę politykę?

Śmierć młodej kobiety, która będąc w piątym miesiącu ciąży, zmarła w maju na skutek wstrząsu septycznego w szpitalu w Nowym Targu, podobnie jak historia z września 2021 r., która miała miejsce w szpitalu w Pszczynie, stały się dla środowisk dążących do liberalizacji przepisów aborcyjnych pretekstem do ataku na obowiązujący stan prawny. Zgodnie z narracją tych środowisk zmarłe w wyniku zaniedbań lekarzy kobiety mają być ofiarami tegoż represyjnego wobec kobiet systemu, a w szczególności wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej, choć ten nie dotyczył sytuacji zagrożenia życia i zdrowia matki. Zdrowie i życie matki jest w polskim prawie regulującym dopuszczalność aborcji w sytuacji zagrożenia życia traktowane priorytetowo, chyba że sama matka postanowi inaczej i bez względu na zdrowotne skutki dla siebie zdecyduje się na ratowanie kosztem samej siebie życia własnego dziecka.

Wykorzystywanie indywidualnych dramatów kobiet, które nie uzyskały kompetentnej pomocy medycznej i zmarły w wyniku – jak twierdzą proaborcyjni aktywiści – nieprzerwania ciąży, nie jest taktyką nową i świetnie sprawdziło się np. w Irlandii, gdzie śmierć niejakiej Savity Halappannavar w 2012 r. w okolicznościach przypominających te z polskich szpitali została skutecznie zinstrumentalizowana i bez wątpienia przyczyniła się do legalizacji w drodze referendum w 2018 r. aborcji na życzenie do 12. tygodnia życia.

LIST RPO

Jakkolwiek nie mogą budzić zdumienia postulaty i działania proaborcyjnego lobby, które korzysta z doświadczeń krajów Zachodu w tej materii, narracja, którą słychać w mediach po tragicznych wydarzeniach w Nowym Targu, a którą tworzą m.in. najwyżsi urzędnicy państwowi, z byłym już ministrem zdrowia Adamem Niedzielskim (w ubiegłym tygodniu premier zaproponował objęcie tego stanowiska Katarzynie Sójce) czy rzecznikiem praw obywatelskich Marcinem Wiąckiem na czele, musi wprawiać w konsternację wszystkich tych, dla których prawna ochrona życia poczętego jest kwestią ważną i którzy za gwaranta tej ochrony postrzegają aktualnie rządzących w Polsce konserwatystów z PiS. Oto bowiem RPO, po spotkaniu z przedstawicielkami Zespołu Praw Kobiet Inicjatywy „Nasz Rzecznik" i na skutek skarg nadsyłanych przez Fundację na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny FEDERA, skierował do ministra Adama Niedzielskiego list, w którym pisze o „trudnościach w dostępie do legalnych zabiegów terminacji ciąży, z którymi mierzą się kobiety, dla których ciąża stanowi zagrożenie dla życia psychicznego".

W piśmie z 11 lipca br. czytamy m.in.: „Wskazuje to, że istnieje potrzeba upowszechnienia wiedzy wśród personelu medycznego o przesłankach pozwalających na skorzystanie przez kobietę z zabiegu legalnej aborcji. […] choć po wejściu w życie wyroku TK […] nie jest dopuszczalne w Polsce dokonanie terminacji ciąży z powołaniem się na przesłankę embriopatologiczną, to wciąż zgodne z prawem jest wykonywanie aborcji w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia pacjentki. Trudno […] zaakceptować pogląd, zgodnie z którym zagrożenie dla zdrowia psychicznego matki w żadnym przypadku, niezależnie od okoliczności, nie może zostać uznane za stanowiące zagrożenie dla zdrowia kobiety uzasadniające legalne przerwanie ciąży".

Nie jest to pierwsza tego rodzaju wypowiedź RPO, gdyż już w grudniu 2021 r. zwrócił się on do marszałek Sejmu Elżbiety Witek o doprecyzowanie przesłanek umożliwiających legalną aborcję. Wskazując w swoim piśmie, ze wszech miar słusznie, na obowiązek udzielenia pomocy matce upośledzonego lub nieuleczalnie chorego dziecka, który ciąży na władzach publicznych i społeczeństwie, stwierdza, że „gdy ciąża obarczona jest wadami letalnymi, zmuszanie kobiet do jej donoszenia może powodować zagrożenie dla ich życia, zdrowia i godności […]. W takim przypadku aborcja nie ma w żadnym razie charakteru »eugenicznego«, ale pozwala na wyeliminowanie sytuacji, którą można określić jako nieludzkie traktowanie kobiety".

W publicznych wypowiedziach Adama Niedzielskiego wybrzmiewa ta sama logika. Dobrostan psychiczny kobiety powinien, jego zdaniem, być przesłanką do legalnej aborcji. „Prawo do aborcji działa zarówno w przypadku zagrożenia

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. ADOBE STOCK

życia, jak i zdrowia, a oba te warunki traktowane są rozłącznie. Oznacza to, że ciążę można przerwać w przypadku, gdy zachodzi nawet jedna z tych przesłanek […]. To nie są tylko przesłanki związane z zdrowiem fizycznym, ale także psychicznym". Mówiąc to, zapowiedział powołanie zespołu do spraw opracowania wytycznych dla podmiotów leczniczych w zakresie procedur związanych z zakończeniem ciąży.

WYROK TK BEZ ZNACZENIA?

Opinie obu panów, choć stoją w sprzeczności z dotychczasowym orzecznictwem TK w tej materii, który kwestie zagrożenia dla życia i zdrowia matki interpretował dotąd „wąsko" i wykluczał z nich schorzenia psychiczne matki, zdają się nie tylko podważać pewien społeczny i prawny konsensus w tej sprawie, nie tylko są próbą usankcjonowania coraz częstszej praktyki uznawania np. depresji potwierdzonej przez specjalistę za legalny powód przerwania ciąży, lecz także mogą mieć daleko idące konsekwencje dla całego systemu ochrony prawnej życia poczętego w Polsce: mogą doprowadzić de facto do sytuacji, gdzie każdą ciążę będzie można przerwać „na życzenie", jeśli przekona się lekarzy, że jest ona dla kobiety źródłem psychicznego cierpienia, z którym ta sobie nie radzi.

Decydenci zdają się tego nie rozumieć albo po prostu widzieć tego nie chcą. Zaniepokojone wypowiedziami wysokich urzędników państwowych środowiska pro-life postanowiły zainteresować nimi prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, widząc w nim naturalnego sprzymierzeńca swojej sprawy. Autorzy petycji „Skandaliczna wypowiedź Adama Niedzielskiego" domagali się m.in. odwołania ministra zdrowia, który podważa fundamenty prawnej ochrony życia nienarodzonych w Polsce.

Mimo że Niedzielski nie jest już ministrem, to czy aby nie jest to jednak „pisanie na Berdyczów"? Wszak w dużym wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Wprost" 23 maja 2021 r. pytany o wyrok TK prezes PiS powiedział: „Wśród możliwości dopuszczania aborcji jest furtka w postaci zdrowia psychicznego. Dla jednych jest to być może nie do przyjęcia, ale można z tego skorzystać". W innym miejscu stwierdza natomiast: „Wiem, że są ogłoszenia w prasie, które każdy średnio rozgarnięty człowiek rozumie i może sobie taką aborcję za granicą załatwić, taniej lub drożej". Dla prezesa partii rządzącej, deklarującego się co prawda prywatnie jako zdecydowany przeciwnik aborcji, temat ten nie jest – jak widać – społecznie czy etycznie ważny, a wyrok TK miał znaczenie głównie „prawne i symboliczne" i – jak sam sugeruje – prawdopodobnie bez większego znaczenia dla praktyki.

Tymczasem wystarczy przyjrzeć się kazusowi Hiszpanii, by zrozumieć, jaką drogą od kilku tygodni podąża Polska. Do 2010 r. aborcja była tam legalna tylko w trzech przypadkach: ciąży będącej następstwem gwałtu (do 12. tygodnia ciąży), poważnych wad płodu (do 22. tygodnia) oraz zagrożenia dla zdrowia fizycznego lub psychicznego matki (co ciekawe, prawodawca nie przewidział tu żadnych czasowych ograniczeń). Ta ostatnia przesłanka uczyniła z Hiszpanii kraj o najbardziej liberalnym podejściu do aborcji. Na tzw. zabieg przyjeżdżały tu kobiety z całej Europy, nawet w bardzo zaawansowanej ciąży. Do 2010 r. ok. 95 proc. ze 100 tys. aborcji rocznie było motywowanych przesłanką zdrowia psychicznego matki. Hiszpańska lewica pod rządami Zapatero wykorzystała chaos, nadużycia oraz skandale z tym związane i motywując swoje działania chęcią „uporządkowania" stanu prawnego, zalegalizowała aborcję na życzenie, bez jakiejkolwiek dodatkowej przesłanki, do 14. tygodnia ciąży, ograniczając możliwość powołania się na przesłankę „zdrowia psychicznego matki" do 22. tygodnia ciąży. W roku ubiegłym legalnie przeprowadzono w Hiszpanii ok. 90 tys. aborcji, z czego aż 90 proc. motywowana była po prostu „niechęcią do bycia matką".

Aborcja na życzenie z wykorzystaniem przesłanki „zdrowia psychicznego matki" została de facto zalegalizowana również w Wielkiej Brytanii już w 1967 r. Poprawka wprowadzona wówczas do ustawy zakazującej aborcji otwierała możliwość przerwania ciąży w przypadku, gdy dwóch lekarzy orzeka, że ciąża jest zbyt dużym zagrożeniem dla zdrowia psychicznego lub fizycznego matki. Przepisy te obowiązują do dziś i są w swej istocie „aborcją na życzenie" legalną do 24. tygodnia ciąży. W kraju, który teoretycznie nie uznaje aborcji za „prawo" i legalnie ją ogranicza, przeprowadza się rocznie ponad 200 tys. aborcji (z czego 98 proc. z przesłanki zagrożenia zdrowia psychicznego kobiety).

POLSKA CELEM TURYSTYKI ABORCYJNEJ?

Sytuacja wygląda zatem bardzo poważnie, gdyż – jak trafnie zauważa Instytut Ordo Iuris w swoim newsletterze z 30 lipca br. – minister zdrowia z całkowitym pominięciem procedur parlamentarnych i konstytucji, poprzez swoje wytyczne ogłoszone na konferencji prasowej z dnia na dzień, może chcieć pozbawić ochrony prawnej setki tysięcy nienarodzonych dzieci. Już teraz, w poczuciu bezkarności, kolejne szpitale przyznają się do praktykowania aborcji ze względu na „psychiczny dobrostan matki". Tymczasem prawnicy Ordo Iuris przypominają, że zagrożenie dla stanu psychicznego matki nie jest pretekstem do zabicia dziecka, a wyłącznie do uruchomienia wszelkiej pomocy dla mamy i całej rodziny.

Niestety, zarówno kolejne zarówno kontrole NIK, jak i doświadczenie osób zajmujących się opieką perinatalną i hospicyjną nad rodziną letalnie chorego dziecka pokazują ogrom zaniedbań, zaniechań, hipokryzji i po prostu złej woli w tym zakresie. Sytuacja ta – piszą dalej prawnicy z Ordo Iuris – zagraża wielkiemu polskiemu sukcesowi praw człowieka, którym był wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. i objęcie ochroną życia także nienarodzonych dzieci niepełnosprawnych. Niestety, proces ten zdaje się dokonywać na naszych oczach za przyzwoleniem rzekomo konserwatywnych polityków i przy braku publicznej debaty w mediach. Oby ta swoista zmowa milczenia nie przyczyniła się do przekształcenia Polski w kraj aborcyjnej turystyki, w którym prawo w zakresie obrony nienarodzonych będzie tylko „moralno-prawną" fikcją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Z Jerzym Grunwaldem, wokalistą, kompozytorem i producentem muzycznym
rozmawia Ryszard Gromadzki

Szwedzka przestroga

FOT. JUSTYNA ROJEK/DOTYM/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Podoba się panu pomysł Stanów Zjednoczonych Europy? Jedno superpaństwo, silne bogactwem tworzących je narodów, otwarte na przybyszów z Azji i Afryki. Wzorcowa struktura multi-kulti. Pytam pana o to dlatego, że żyjąc wiele lat w Szwecji, miał pan okazję z bliska obserwować eksperyment społeczny, który teraz chce nam zafundować Unia Europejska. Była lewicowa premier Szwecji Magdalena Andersson, zagorzała promotorka ideologii multi-kulti, przyznała, że w tym kraju, który od dziesięcioleci prowadził politykę otwartych drzwi wobec imigrantów, doprowadziło to do powstania dwóch równoległych społeczeństw.

JERZY GRUNWALD: Po pierwsze, to pani, która wypowiedziała te słowa, i podobni jej politycy są twórcami tej patologii, która ma miejsce w Szwecji. Pamiętam ten kraj zupełnie inny. Sam byłem uchodźcą, ale jednocześnie byłem człowiekiem, który integrował się z tym społeczeństwem. Płacił podatki, nauczył się języka, założył rodzinę. Fanatyczna polityka imigracyjna, którą kreuje szwedzki rząd, ciągle zapraszając imigrantów, prowadzi do tego, że ci, korzystając z demokratycznych swobód, po cichu narzucają szwedzkiemu państwu swój porządek. Lewicowo-liberalni funkcjonariusze, nie konsultując tego ze społeczeństwem, sprowadzili do Szwecji dzicz, która nienawidzi naszej cywilizacji. Nie boję się użyć tego określenia, bo takie mam zdanie na ten temat. Jak powiedziałem, sam byłem uchodźcą w latach 70. i to była zupełnie inna rzeczywistość. Dziś w Szwecji widzimy narastającą przestępczość, widzimy gwałty, morderstwa, podpalenia i grabieże. Niedawno w Malmö czy Halmstad miała miejsce wielka strzelanina dwóch gangów, szyitów z sunnitami. To jest rywalizacja obłąkanych fanatyzmem religijnym ludzi, którzy najechali Szwecję, korzystając z jej dyktowanej poprawnością polityczną polityki. Szwedzi na własne życzenie zaimportowali sobie wojnę religijną. Z perspektywy dojrzałego człowieka, który spędził wiele lat w Szwecji, mogę jednoznacznie powiedzieć, że tam, gdzie bezrozumnie dekretuje się wielokulturowość, sprowadza się konflikty. Uważam, że to realizowany z premedytacją proces niszczenia Europy z jej unikalnym dziedzictwem. Powinniśmy się przed tym ze wszystkich sił bronić.

Czy rosnąca przemoc ze strony imigrantów, próby narzucenia przez nich szwedzkiemu państwu swojego porządku wywołują opór ze strony rodowitych Szwedów? Czy widać jakieś oznaki przebudzenia?

W mojej ocenie polityka prowadzona przez kolejne rządy Szwecji doprowadziła do tego, że Szwedzi stali się w swoim kraju obywatelami drugiej kategorii. Mało tego, rak poprawności politycznej toczący Szwecję paraliżuje ludzi, którzy chcieliby wypowiadać swoje sądy w sposób, który ja wypowiadam. Nigdy się tego nie bałem, staram się zawsze nazywać sprawy po imieniu. Szwedzi podobnie jak inne społeczeństwa zachodnie byli formatowani przez całe lata. Doprowadziło to do sytuacji, w której ludzie stali się bezbronni. Nie wiedzą, jak się bronić przed wciskaną im z każdej strony ideologią. Kiedyś zagadnąłem swojego kolegę Szweda: „Słuchaj, Klas, gdzie się podziali prawdziwi wikingowie?", a on na to: „W klubach gejowskich". Społeczeństwo szwedzkie jest bardzo zastraszone. Wszystko, co nie jest poprawnością polityczną, jest nazywane faszyzmem, rasizmem czy ksenofobią, nietolerancją czy mową nienawiści i tego rodzaju bełkotem.

eprasa.pl 68bd3b792c

Czy to oznacza, że na szwedzkiej scenie politycznej nie ma dziś miejsca dla ugrupowań, które chciałyby rewizji polityki zdominowanej przez poprawność polityczną?

Mimo że ostatnie wybory w Szwecji wygrała partia nominalnie prawicowa – Szwedzcy Demokraci – nie wydaje się, żeby paradygmat szwedzkiej polityki uległ zmianie. Wszystko, co narodowe, nadal nazywa się faszyzmem i ksenofobią. To ten sam bełkot, który „zarezerwowały sobie" partie liberalno-lewicowe. Poprawność polityczna króluje, skutecznie paraliżując szwedzkie społeczeństwo, aby to nie mogło działać. A czym jest poprawność polityczna? Przecież to w prostej linii spuścizna po ideologiach totalitarnych, jak komunizm i faszyzm. Moim zdaniem do tego zestawu trzeba też dodać islam, który nie jest religią, lecz właśnie ideologią. Wszystkie te ideologie łączy to, że poprzez propagandę narzuca się społeczeństwom określoną retorykę, którą to społeczeństwo ma obowiązek zaakceptować. Szwedzi nigdy nie doznali tego, czego doświadczyło nasze społeczeństwo, moi rodzice, moi dziadkowie. Nie wiedzą, co to są głód, bieda i cierpienie. Dziś mamy walkę z islamem, chorą ideologią, która bardzo przypomina inną chorą ideologię, którą wpajano w Hitlerjugend w latach 30. Wtedy też panowała tylko jedna narracja. I do tego dążą dzisiejsi komunistyczni funkcjonariusze także w Brukseli. Obecna generacja polityków na Zachodzie to sukcesorzy tych ideologii, którzy chcą zamienić nasz kontynent w obóz koncentracyjny. Wpuszczenie imigrantów i islamizacja Europy, która moim zdaniem jest celowa, ma wymieszać społeczeństwa, wprowadzić chaos, by zarządzać ludzkim strachem, a później ułatwić wprowadzenie nowego porządku. Jestem prawie pewien, że Szwecja będzie pierwszym państwem islamskim w Europie. Stanie się tak za sprawą takiej właśnie polityki i politycznym fanatykom ubogacania kulturowego, jakimi są Andersson, Löfwen, Johansson i inni. To oni, nie konsultując z własnym społeczeństwem, narzucili Szwedom kulturę opóźnioną w rozwoju, która nienawidzi naszej cywilizacji.

Mówił pan o wieloletnim formatowaniu, którego celem byli Szwedzi. Czy w szwedzkich mediach obecna jest choćby śladowa debata dotycząca procesów i zagrożeń, o których rozmawiamy?

W tej chwili mamy w Szwecji patową sytuację. Na scenie politycznej panuje obstrukcja, bo pomimo tego, że prawica wygrała wybory, żadne z pozostałych ugrupowań nie wejdzie z nią w koalicję. Faszyzm, ksenofobia, rasizm – tak w mediach mówi się o zwycięskiej prawicy. Tymczasem to socjaldemokraci przez lata rządzący Szwecją poprzez swoją kryminogenną politykę doprowadzili państwo do ruiny. Ten kraj się już nie podniesie. Wielu ludzi to widzi i wyjeżdża. Ale wciąż boi się o tym mówić w otwarty sposób. W mediach ma prawo bytu tylko jedna liberalno-lewicowa narracja, inne niezgodne z polityczną poprawnością nie mają prawa do istnienia. Ludzie, także młodzi, są tą obowiązującą narracją sterroryzowani. Być może muszą doświadczyć jakiejś historycznej traumy, żeby zrozumieć coś i docenić smak wolności, tak jak w Europie Wschodniej czy w Polsce, które mają za sobą koszmar drugiej wojny światowej, komunizmu i obozów koncentracyjnych.

Dobrobyt, oszczędzenie im wojen znieczuliły Szwedów? Pozbawiły ich instynktu walki?

Na pewno ich uśpiły. Oni wręcz udławili się swoim systemem socjalnym, tak rozreklamowanym na świecie. Szwedzi przez lata wychowywani byli w duchu pacyfizmu, przekonywani, że utrzyma ich państwo, że alkoholicy to ludzie chorzy, którym trzeba dać pieniądze na alkohol i odwozić taksówkami do domu. Szwedki były przekonywane, że mogą rodzić dzieci, mając nie jednego, lecz wielu partnerów, a państwo je wychowa i utrzyma itd. Znam dobrze szwedzką mentalność, obserwuję to społeczeństwo od wielu lat i dochodzę do wniosku, że ci ludzie nie są w stanie nic zrobić. Jeżeli w Szwecji ma się coś zmienić, to musi tam dojść do przesilenia. Ludzie muszą zacząć się bronić. Na razie politycy robią swoje, a życie toczy się obok. W mojej ocenie państwo szwedzkie jest w stanie upadłości. W tej sytuacji symboliczną wymowę ma zapaść szwedzkiej waluty, która ma teraz miejsce.

Do realnej zmiany mogą doprowadzić zdeterminowani, pewni swych racji ludzie, tych – jak pan mówi – w Szwecji dziś bardzo brakuje...

Formatowanie, o którym mówiłem, spowodowało, że ludzie dają sobą łatwo manipulować. Tymczasem w Europie mamy do czynienia z narodowym socjalizmem pod auspicjami Brukseli. Uważam, że dzisiejsza Unia Europejska jest nowym wcieleniem narodowego socjalizmu, którego wyznawcą był Hitler. W Szwecji, wskutek prowadzonej od dekad szaleńczej polityki imigracyjnej, ten proces doszedł do punktu krytycznego. Albo nastąpi tam jakieś pospolite ruszenie, albo Szwecja zostanie zdominowana przez islam. A islam ma to do siebie, że toleruje inne religie dopóty, dopóki jest w mniejszości. Indianie północnej Ameryki byli gospodarzami swojej ziemi, kiedy przyjęli na niej przybyszów z Europy. Skończyło się tak, że zostali zamknięci w rezerwatach. Jeśli Szwedzi nie chcą skończyć w rezerwatach jak Indianie, to muszą chyba chwycić za broń. Nienawidzę przemocy, ale nie widzę innego wyjścia.

Jak w Szwecji odbierane są obrazy z polskiej granicy wschodniej? Konsekwentnie stawiamy tamę imigrantom z Azji i Afryki nasyłanym przez reżimy Putina i Łukaszenki. Zdecydowana większość Polaków popiera taką politykę.

Trzydzieści–czterdzieści lat temu obraz Polski i Polaków w Szwecji był bardzo zniekształcony. Dziś na internetowych forach wielu Szwedów jest pełnych podziwu wobec Polski, piszą, że chcą przeprowadzić się do naszego kraju. Użytkownicy portalu pod nazwą „Zatrzymać islamizację Szwecji", który ma ponad pół miliona subskrybentów, byli zachwyceni twardym odporem, który Polska dała imigrantom na swojej wschodniej granicy. Ludzie pisali prawdziwe hymny pochwalne wobec Polaków. W wielu wpisach podkreślano, że Polacy wiele przeszli w swojej historii. Wiedzą, co to zabory, nazizm i komunizm, dlatego dobrze rozumieją, co znaczy bronić swojej ojczyzny. Oczywiście zupełnie inne stanowisko zajmują obłąkany poprawnością polityczną szwedzki rząd i klasa polityczna, które krytykują Polskę i uważają, że powinna otworzyć granice i wpuścić imigrantów. Polska już nie będzie dzielić się chorymi niemieckimi pomysłami.

Islamizacja Europy staje jest faktem. Mam nadzieję, że Polska nigdy się jej nie podda. Wierzę, że pomimo podziałów, jakie u nas mamy, Polska musi pozostać ostatnim bastionem prawdziwej Europy, ze swoimi wartościami, nawet za cenę ewakuacji z Brukseli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Polska na haju

Łukasz Zboralski

Teleporady i recepty przez Internet spowodowały, że każdy bez problemu może kupić sobie marihuanę jako lek. W ten sposób w Polsce w zasadzie zalegalizowano sprzedaż narkotyków. Co z tym zrobi rząd?

Gdy w Polsce w 2017 r. forsowano nowelizację autorstwa Kukiz'15, dopuszczającą legalizację marihuany jako leku, pojawiały się ostrzeżenia. Sceptyczny był m.in. minister Zbigniew Ziobro, który jako jeden z dwóch posłów w Sejmie nie podniósł ręki za tym projektem (przeciw głosowała też Beata Kempa). Ziobro wskazywał wówczas, że „marihuana – podobnie jak morfina – może być używana do celów medycznych, ale generalnie to jest narkotyk, który szkodzi. To jest trucizna i o tym trzeba głośno mówić". Zaznaczał też, że jest w stanie, rozumiejąc potrzeby części pacjentów, poprzeć taki projekt, jednak z zastrzeżeniem, iż żaden minister zdrowia nie będzie poszerzał dostępu do tego narkotyku poza osoby, które bezwzględnie go potrzebują do celów leczniczych. Okazało się, że minister nie musiał nic luzować. Polski nieszczelny system poluzował się sam. I teraz mamy poważny problem do rozwiązania.

RECEPTA NA LEK I NA BIZNES

Marihuana na receptę zaczęła być dostępna od stycznia 2019 r. Pod koniec tamtego roku na posiedzeniu parlamentarnego Zespołu ds. marihuany medycznej martwiono się, że Urząd Rejestracji Leków dopuścił przez rok tylko jeden specyfik o dużej zawartości THC [składnik psychoaktywny uzyskiwany z konopi indyjskich – przyp. red.] i pacjenci nie mają dostępu do terapii, bo w części aptek nie sposób go dostać. Rozwijał się wówczas drugi rynek – właściwie paramedyczny – i ludzie na własną rękę kupowali rozmaite olejki itd.

Dziś specyfików, które mają narkotyczną zawartość THC, jest wiele. Są wśród nich takie, które mają nawet zawartość THC na poziomie 20 proc., gdy w naturze, czyli narkotyku uzyskiwanym z konopi, zawartość składnika psychoaktywnego waha się przeciętnie od 10 do 30 proc.

Lecznicza marihuana z taką zawartością substancji odurzającej nie trafia jednak do pacjentów. Trafia dziś do każdego, kto chce ją spożyć. I rzeczywiście coraz więcej osób sięga po te specyfiki. Jak to się stało?

Wszystko zaczęło się od stron internetowych, dzięki którym pacjenci potrzebujący jednie kolejnej recepty na lek przy długotrwałej terapii nie musieli tracić czasu na osobiste wizyty w przychodniach. To wciąż dobre dla wielu osób rozwiązanie z biegiem czasu zaczęło się wynaturzać. Po pierwsze, jeszcze w czasach przed pandemią okazało się, że przez Internet bardzo łatwo otrzymać… lekarskie zwolnienie z pracy. W niektórych serwisach wystarczyło opłacić „poradę", by zostać „chorym".

Po pandemii, gdy na olbrzymią skalę zaczął działać system medycznych teleporad, ktoś zrozumiał, że wystawianie recept on-line na medyczną marihuanę to prawdziwa kopalnia złota. Powstało wiele serwisów, które nawet nazwami i reklamami w social mediach dają do zrozumienia, że wcale nie chodzi im o leki, a o rozrywkę, czyli używanie marihuany jako narkotyku. Wystarczy zapłacić, podać swoje dane, PESEL i już – recepta na marihuanę gotowa.

Jak bardzo rozrósł się ten biznes, widać w danych Ministerstwa Zdrowia, które opublikował portal Interia.pl. W 2020 r. recepty na medyczną marihuanę zrealizowało niecałe 5 tys. pacjentów. Rok później już blisko 10 tys. Tu warto jednak wspomnieć, że jeszcze w 2021 r. susz medycznej marihuany nie był po prostu tak łatwo dostępny. Grupa posłów, wśród których byli m.in. Marcelina Zawisza i Paweł Szramka, interpelowała do resortu zdrowia, wskazując, że polski model uzależniający wszystko od dostaw surowca z zagranicy powoduje, iż są ciągłe braki medycznej marihuany w aptekach.

Ten problem zdaje się zmniejszać. W ubiegłym roku recepty na medyczną marihuanę zrealizowało… ponad 30 tys. pacjentów. Jak wielki to skok, widać też w danych dotyczących krajowego zużycia medycznej marihuany w kilogramach. W 2020 r. zużyto jej według Głównego Inspektora Farmaceutycznego ok. 100 kg, w 2021 r. – 250 kg, a w 2022 r. blisko 800 kg!

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. ADOBE STOCK

– To jest zalegalizowanie ćpania w Polsce – mówi wprost Jakub Kosikowski, lekarz onkolog, który sam przepisuje medyczną marihuanę pacjentom w poradni bólu, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej. – Jak ktoś chce się zabawić, to nawet ma lepiej niż u dilera narkotyków. Bo jak dostanie marihuanę na receptę, to ma pewność odsetka THC w niej zawartego i nie musi się obawiać, że do suszu ktoś dodał jakichś szkodliwych substancji – wskazuje. I dodaje: – Zupełnie legalne jest więc dziś w Polsce otwarcie coffee shopu, w którym będzie się paliło zioło. Mógłbym taki sam otworzyć, gdyby nie etyka i funkcja, którą pełnię.

MINISTERSTWO SPÓŹNIONE I ZE ZŁYM POMYSŁEM

Oczywiście ta patologia nie byłaby możliwa bez udziału lekarzy. Strony internetowe nie generują recept automatycznie – ktoś musi je wystawiać. Znalazło się jednak grono takich medyków, które zdecydowało się z tego czerpać korzyści.

Środowisko lekarskie zareagowało. Pod koniec ubiegłego roku lekarze alarmowali NIL, że widać patologię w wystawianiu takich recept i zwolnień z pracy. Ministerstwo Zdrowia uznawało wówczas jednak, że problemu nie ma. Nikt nie mógł nic zrobić, bo w polskim systemie wgląd w to, ile recept wystawił jakiś lekarz, mają wyłącznie resort i NFZ. Naczelna Izba Lekarska dostępu do takich danych nie ma.

Gdy w prowokacji dziennikarka „DGP" kupiła zwolnienie przez Internet bez teleporady, resort się przełamał i zaczął przysyłać do NIL listy lekarzy masowo wystawiających recepty. – Zajmujemy się takimi sprawami. Obecnie mamy przekazaną listę 43 lekarzy wystawiających masowo recepty przez Internet, w tym część dotyczy medycznej marihuany – mówi „Do Rzeczy" Kosikowski. – Są to jednak rzeczy, które trwają. Nie można z dnia na dzień odebrać takim ludziom uprawnień. Jednak pierwsze wnioski o ukaranie do sądów zostały już skierowane – ujawnia.

To jednak nie rozwiązuje całego problemu z systemem. Bo, owszem, lekarzy można pociągnąć do odpowiedzialności z Kodeksu etyki, jednak w świetle pozostałego prawa ich działania są najzupełniej legalne.

Środowisko lekarskie w rozmowach z resortem zdrowia podsuwało dwa rozwiązania. – Pierwszym jest w ogóle delegalizacja takich działalności, które nie mają wizyt stacjonarnych – objaśnia Jakub Kosikowski. – Przy tym należałoby oczywiście ustalić odsetek minimalnych wizyt na żywo w takiej przychodni, żeby nie okazało się, że przychodzi jeden pacjent na rok, a produkcja internetowych recept idzie pełną parą.

Drugim pomysłem, który podsuwają lekarze, jest wprowadzenie obowiązku osobistej pierwszej wizyty u lekarza albo podczas wideoporady z jednoczesną transmisją obrazu i dźwięku, aby wykluczyć podszywanie się pod inne osoby. Zdarza się bowiem, że ludzie podają dane innych pacjentów i przez Internet próbują kupować recepty dla siebie na silne leki przeciwbólowe.

Ministerstwo Zdrowia wybrało jednak własne rozwiązanie. Najgorsze z możliwych – ucięło lekarzom możliwość wystawiania wielu recept. W Internecie zaroiło się od wpisów medyków, którzy zaczęli mieć problemy z obsługiwaniem pacjentów, którzy naprawdę potrzebowali pomocy, np. w szpitalach czy hospicjach. Ten zły pomysł doprowadził zresztą do sytuacji, w której ówczesny minister zdrowia Andrzej Niedzielski próbował udowodnić lekarzowi, że jednak mógł wystawić receptę, i podał jego dane oraz lek, który sobie przepisał – i zapłacił za to dymisją ze stanowiska.

Z nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy" wynika, że skala problemów z wystawianiem recept zaczyna się zmniejszać. Problem z wykupowaniem medycznej marihuany do celów rozrywkowych pozostał. I nie chodzi tylko o to, że ktoś ma dostęp do narkotyków zupełnie legalnie. – Internetowe „marihuanomaty" powodują, że leku brakuje dla tych, którzy potrzebują go do leczenia – wskazuje Kosikowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Trend na czas kryzysu.

A może nie tylko?

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska

Trendy prezentowane w sieci przez influencerów zmieniają się szybciej niż kartki w kalendarzu. Jednak w ostatnim czasie pojawił się nowy nurt, w ramach którego jesteśmy przekonywani, że nie potrzebujemy wszystkich reklamowanych gadżetów. Czy deinfluencing to tylko kolejna, chwilowa moda czy nowa filozofia, która zostanie z nami na dłużej?

Dziewczyny, nie idźcie, tylko biegnijcie do…" – i tu pada nazwa sklepu. W ten sposób rozpoczynają się setki nagrań na platformie TikTok lub rolek na Instagramie, w których influencerki informują o kolejnym hicie, np. kosmetycznym, bez którego absolutnie nie można się obejść. W wielu przypadkach jest to po prostu reklama (w Polsce takowa musi być wyraźnie oznaczana, czego pilnuje UOKiK – na szczęście!), choć nie zawsze. Istnieje gros internetowych twórców, których główny content (tworzoną treść) stanowi właśnie testowanie różnych nowinek. Tak czy inaczej efekt jest jeden – użytkownik mediów społecznościowych jest zalewany tzw. polecajkami. W przypadku produktów droższych influencerzy niekoniecznie mówią wprost „Kup to!". Najczęściej odbiorcy internetowych treści po prostu nasiąkają obrazkami czegoś, co akurat jest na topie. Widząc daną rzecz u kolejnej instagramowej lub tiktokowej gwiazdki, zaczynają odczuwać chęć jej posiadania. Nie dlatego, że to produkt najlepszy w swojej kategorii, ale dlatego, że jego zakup przybliża nas do świata, w którym, aby dobrze żyć, nie trzeba ciężko pracować.

Przykładem są słuchawki Apple AirPods Max, które swego czasu prezentował na zdjęciach co drugi influencer. Czy są drogie? Oczywiście. Najpopularniejsza wersja kolorystyczna, czyli „gwiezdna szarość", kosztuje ponad 2 tys. zł. Czy to słuchawki zapewniające najlepszą na tej półce cenowej jakość? Opinie recenzentów są różne, ale większość podkreśla, że za znacznie mniejsze pieniądze znajdziemy lepszy sprzęt. Taki sam schemat dotyczy innych produktów, poczynając od kapci popularnej firmy UGG, poprzez konkretny model specjalnej opaski do włosów, rzekomo niezbędnej w czasie makijażu (aby włosy nie wpadały do oczu – cóż z tego, że taki sam efekt uzyskamy, używając opaski za 5 zł z kiosku?), a kończąc na ciuszkach w krowie łaty, które – modne jeszcze kilka miesięcy temu – dziś są uznawane za totalny kicz.

Influencer marketing to wciąż rosnący rynek. Jak podał brytyjski „Guardian", influencerzy na świecie sprzedali w 2022 r. produkty i usługi o łącznej wartości ok. 3,6 mld dol. (wśród topowych produktów była kosztująca ponad 2 tys. zł

eprasa.pl 68bd3b792c

suszarko-lokówka Dyson Airwrap, promowana na potęgę przez kobiety). Dziennik opisał badania z 2019 r. przeprowadzone przez firmę Meta. Pięćdziesiąt cztery procent pytanych stwierdziło, że dokonało zakupu w chwili lub tuż po zobaczeniu danego produktu na Instagramie. TikTok jest jeszcze skuteczniejszy – tutaj odsetek ten wyniósł 55 proc. Nic więc dziwnego, że powstają kolejne agencje zajmujące się sprzedażą firmom „czasu antenowego" influencerów. Stawki są zróżnicowane. Im większe twórca ma audytorium, tym więcej kasuje. Post sponsorowany u „dużego" influencera może kosztować nawet ok. 50 tys. zł. Inną formą współpracy jest udostępnianie przez internetowe gwiazdy ich fanom kodów rabatowych na dany produkt. Im więcej zakupów zostanie dokonanych z użyciem tego kodu, tym więcej zarabia instagramer lub tiktoker.

NOWE REMEDIUM

Chcąc podążać za zmieniającymi się jak w kalejdoskopie trendami, można popaść w kompleksy i ruinę finansową. „Zwykły" człowiek, zwłaszcza nastolatek będący głównym targetem influencerów, nigdy nie będzie w stanie mieć tego wszystkiego, co widzi na ekranie smartfonu. Remedium na poczucie bycia niewystarczająco cool może być deinfluencing, czyli nurt, zgodnie z którym nie potrzebujesz tych wszystkich rzeczy. Kapcie za 300 zł? Te, które masz z ubiegłego sezonu, wciąż są ok. Kolejny tusz do rzęs, bo jakaś blogerka wypuściła swoją serię? Poprzedni, kupiony miesiąc temu, jest przecież pełen! „Kultowy" nawilżający krem z „japońskim, fioletowym ryżem"? Sprawdź, czy ta amerykańska influencerka, która tak bardzo go zachwala, przypadkiem nie dostała go od producenta za darmo. Nowa, uroczo pastelowa butelka na wodę, idealna na siłownię i spacer? Przecież dopiero co kupiłaś inną, którą w drodze na praktykę jogi niosła pod pachą pewna supermodelka. Będziesz brała ze sobą dwie – czy jak?

– Uwielbiam wiele marek spośród tych, które pokazuję, ale staram się przypomnieć publice, że posiadanie tych produktów nie jest normalne. To luksus i przywilej – podkreśla popularna tiktokerka @Bita, zwracając uwagę na to, że nieposiadanie drogich rzeczy nie oznacza, iż ktoś z nas jest gorszy. Tak brzmi „instrukcja" jednego z twórców, aby nie kupować viralowych produktów, która uzyskała na TikToku 57 tys. serduszek, czyli polubień: „Nie kupuj UGG Minis. Nie kupuj Dyson Airwrap. Nie wydawaj na pędzel do konturowania Charlotte Tilbury. Nie kupuj książek Colleen Hoover. Nie kupuj AirPods Max". @michelleskidelsky, którą obserwuje prawie 80 tys. osób, mówi z kolei: „To może brzmieć kontrowersyjnie, ale uważam, że nie potrzebujesz wielu kompletów markowych ciuchów do chodzenia po domu". W innym nagraniu pyta: „Lodówka do trzymania kosmetyków do pielęgnacji skóry. Dlaczego to kupujesz?". „To, że umieszczasz ładne opakowania na śmieciach, nie oznacza, że nie są śmieciami" – mówi posiadająca 1,4 mln obserwatorów na TikToku @katiehub.org, zniechęcając do kupowania kolejnych kosmetyków.

Na platformach społecznościowych można znaleźć setki nagrań pod hashtagiem #deinfluencing (filmiki o tej tematyce mają kilkaset milionów wyświetleń), także stworzonych przez Polaków. Jedną z rodzimych influencerek podważających sens ślepego podążania za internetowymi trendami jest Basia Sas. Przyznaje, że sama uległa tej modzie. – Mam tendencję do robienia mega impulsywnych zakupów. W przeszłości to był serio problem, do tego stopnia, że pod koniec miesiąca musiałam wyciągać pieniądze z oszczędności, bo moja pensja „przejadała się" w ciągu pierwszych dziesięciu dni. Jak coś zamawiasz, dodajesz do koszyka, czujesz podekscytowanie […]. Gdy klikasz „kup", następuje kolejna fala ekscytacji. Gdy odbierasz paczkę od kuriera, znowu endorfiny. Ostatni raz czujemy endorfiny, gdy pierwszy raz zakładamy daną rzecz. Ale po pierwszym praniu ekscytacja spada, a mózg domaga się tego uczucia. Robimy więc kolejne zakupy. I tak to się zapętla – tłumaczyła w wideo opublikowanym na swoim kanale w serwisie YouTube.

Można uznać, że deinfluencing jest to jedno z najzdrowszych zjawisk, jakie pojawiły się w ostatnim czasie. Z jednej strony należy je potraktować jako odpowiedź na globalny wzrost inflacji i kryzys, który dotyka przecież nie tylko kraje europejskie. Kolejną przyczyną jest utrata zaufania do influencerów po tym, jak wielu z nich reklamowało scam (internetowe oszustwo), czyli np. chińskie podróbki czy produkty niespełniające swojej roli – głośno było o aferze ze słuchawkami sprzedawanymi po wielokrotnie zawyżonej cenie, w których dźwięk był po prostu fatalny. Podobnie było ze specyfikiem polecanym przez największych rodzimych twórców jako środek do szybkiego i taniego wybielania zębów, który według dentystów niszczy szkliwo. Niejednokrotnie ktoś zamówił gadżet, zapłacił, ale nigdy go nie zobaczył. Firma, która sprzedała sprzęt, nagle likwidowała swoją stronę internetową. Z reklamacją można było pisać na Berdyczów.

NOWA MODA

Odejście od trendu konsumpcjonizmu na rzecz bardziej świadomych wyborów zakupowych jest także samo w sobie trendem, wcale nienowym i dodatkowo przybierającym na sile. Chodzi o bycie bardziej „eko". Jedna z polskich instagramerek, Paulina Górska (119 tys. obserwujących na Instagramie), od dawna tworzy treści na temat „less waste" (ograniczenia marnowania jedzenia i innych zasobów), ekologii, klimatu oraz bezmięsnej diety. Prowadzi również podcast „Lepszy klimat". Tematyką „zrównoważonego" stylu życia zajmuje się też Jagna Niedzielska (39 tys. obserwatorów).

Dość często kwestie „eko" łączą się z treściami feministycznymi, a szukając głębiej, także z szeroko pojętym nurtem „woke" (choć to wychwycą bardziej uważni obserwatorzy). Można więc wywnioskować, że deinfluencing mający być pójściem w poprzek modzie sam stał się modą.

Stąd kolejna refleksja – to nie tylko trend wykreowany na czas inflacji, lecz także swego rodzaju życiowa filozofia, która będzie przybierała na sile. Dlatego coraz częściej można zaobserwować, jak influencerzy, chcąc być na topie, przestawiają się z reklamowania rzeczy materialnych na reklamowanie idei. Hitem jest pisanie e-booków, czyli internetowych książek poświęconych najczęściej samorozwojowi (choć można znaleźć wiele innych tematów – tanie podróże, kuchnia). Warto więc pamiętać, że influencerzy promujący deinfluencing (który ma bezsprzecznie wiele zalet), nadal pozostają influencerami. W wielu przypadkach dostosowują jedynie ofertę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Z przedstawicielami Fundacji Maximilianum
rozmawia Jan Pospieszalski

Oskarżeni o normalność

eprasa.pl 68bd3b792c

Na zdjęciu (od lewej): Jan Pospieszalski, Paulina Sawicka, Jakub Sawicki, Katarzyna Kozerska, Michał Kozerski, Agata Rybczyk FOT. KRZYSZTOF LUKS

JAN POSPIESZALSKI: Na początku lipca ukazał się w Internecie materiał Pawła Kostowskiego – człowieka, który kilka lat funkcjonował w waszym środowisku – w którym, mówiąc skrótem, ukazani jesteście jako groźna sekta. Wobec waszych duszpasterzy autor formułuje wiele zarzutów, w tym insynuuje nadużycia seksualne. O co chodzi?

MICHAŁ KOZERSKI: Nie wiemy. Możemy się tylko domyślać.

Gdyby chodziło tylko o oszczerstwa Kostowskiego, to pół biedy. Ale to, co on podaje, zostało niejako uwiarygodnione przez oświadczenie kurii. Potem ruszyła lawina publikacji w poważnych ogólnopolskich mediach.

W oświadczeniu archidiecezji warszawskiej opublikowanym 11 lipca czytamy, że kuria „rozpoczęła dochodzenie dotyczące działalności księży Łukasza Kadzińskiego i Jacka Gomulskiego" [...], że chce „raz jeszcze skrupulatnie zbadać prawidłowość ich działania i zweryfikować stawiane zarzuty". Kuria też prosi o kontakt „wszystkie osoby uznające się za pokrzywdzone"...

JAKUB SAWICKI: Użycie sformułowania „pokrzywdzone", choć nie wprost, zakłada jednak, że jest „krzywda". Jeżeli do tego dodamy, że Katolicka Agencja Informacyjna przy oświadczeniu kurii daje nagłówek „Księża oskarżeni o działalność sekciarską", to uwiarygodnia rewelacje Kostowskiego.

Czy ktoś z kurii, z KAI kontaktował się z wami przed publikacją oświadczenia?

M.K.: Nikt. Natomiast po przeczytaniu tego oświadczenia zwróciliśmy się do kurii z prośbą o spotkanie. Minęły trzy tygodnie i nic. Nikt z nami nie rozmawiał, nikt też nie spotkał się z księżmi.

J.S.: Ten zwrot „prosimy wszystkich pokrzywdzonych" i nagłówek KAI to jak wydanie wyroku. Tym bardziej że kuria poniżej powtarza oskarżenia Kostowskiego, że w naszej grupie mają miejsce „praktyki manipulacyjne, poniżanie wiernych, a nawet nocowanie z kapłanem traktowane jako nagroda dla członków wspólnoty". Gdzie zasada domniemania niewinności? Tylko dlatego, że jakiś autor publikujący wcześniej ataki na egzorcystów teraz zrobił materiał, w którym hejtuje nas?

Kuria jednak pisze, by „raz jeszcze skrupulatnie zbadać". Czyli były jakieś poprzednie postępowania kurii wobec Maximilianum?

J.S.: Kilkanaście lat temu spotykaliśmy się wielokrotnie z księżmi z kurii, z biskupami i z kard. Nyczem. Kardynał odwiedził nas tu, gdzie jesteśmy. Chodziło o wyjaśnienie statusu naszej grupy. Początkiem problemów było pytanie, czy jesteśmy Ruchem Światło-Życie (Oazą) czy nie. My chcieliśmy pozostać w Ruchu Światło-Życie, ale nie wszędzie byliśmy mile widziani. Tworzyło to tyle trudności i napięć, że odpuściliśmy. Nasz charyzmat nie mieścił się w ramach popularnie zwanej Oazy. Poszliśmy swoją droga i tak staliśmy się grupą przyjaciół.

Zetknąłem się z ruchem oazowym i wiem, że we wspólnotach jest przepływ ludzi. W części grup następuje wymiana pokoleniowa, inne się rozpadają. Wy przetrwaliście i po 20 latach nadal żyjecie jako spójne środowisko. Na czym polega trwałość waszych relacji?

J.S.: Znamy się od ponad 20 lat i każdy w jakiś sposób dziś żyje życiem własnej rodziny, dziećmi i swoimi sprawami. Oczywiście część z nas mieszka w sąsiedztwie, ale nasze środowisko obejmuje osoby z różnych stron Polski, mamy przyjaciół również w górach czy na Podlasiu i w Szczecinie. A jak pytasz o trwałość, to jest to właśnie modlitwa, wspólne rozważanie Słowa Bożego i rola duszpasterzy. Od początku dla nas ważne było budowanie relacji przyjaźni z myślą o tym, że to coś trwałego, a nie na chwilę.

Podobno do kurii wpływały też skargi rodziców?

J.S.: Owszem, początkowo były niepokoje rodziców, że dzieci znikały z domu i zaczynały prowadzić inne własne, samodzielne życie. Część z nas pochodzi z trudnych domów. Są u nas synowie alkoholików, ofiary przemocy domowej, dzieci z rozbitych rodzin, jedynacy wychowani tylko przez matkę. Dla wielu grupa stała się prawdziwą oazą, gdzie mogliśmy wreszcie się poskładać, opowiedzieć o problemach i uzyskać wsparcie – przyjaciół i duszpasterza. Niektórzy z nas – także ci, którzy nas dziś oskarżają – właśnie za radą spowiedników korzystali z pomocy psychologa. To były konkretne terapie. Przecież gdyby tu się działy jakieś straszne rzeczy, to terapeuta pierwszy rozpoznałby problem.

eprasa.pl 68bd3b792c

Czy oprócz Pawła Kostowskiego są inne osoby, które formują wobec was zarzuty? Czy spotkaliście się wcześniej z jakąś formą krytyki ze strony byłych członków grupy?

PAULINA SAWICKA: Tak naprawdę o zarzutach dotyczących naszego środowiska dowiedzieliśmy się z mediów.

Skąd się biorą oskarżenia o konspiracje, działalność podziemną?

M.K.: Wbrew temu, co nam się zarzuca, nie byliśmy jakąś zamkniętą grupą. W różnych latach ludzie przychodzili i odchodzili. Tych, którzy odeszli, pewnie będzie więcej niż tych, którzy zostali. Przez lata nikt publicznie niczego nam nie zarzucał, choć wiemy, że jakieś pojedyncze osoby były w kurii. Jednych zniechęcał „zbytni radykalizm", inni skarżyli się na zwrot w stronę tradycji. W pierwszym okresie pojawiały się napięcia w rodzinach. Teraz, po publikacjach, sporo osób hejtuje nas, ukrywając się pod nickami w sieci lub podszywa się pod bliskich przyjaciół, a z tych wpisów wynika, że znają nasze życie, więc musiały być nam kiedyś bliskie lub coś o nas wiedzieć.

O co chodzi Kostowskiemu?

M.K.: Kostowski odszedł od nas 12 lat temu. Napisał wtedy ostry list, w którym wyjaśnił, co mu się nie podoba, i zniknął. Nie mieliśmy do niego żalu. I choć będąc u nas, robił różne dziwne akcje, nikt z nas nie powiedziałby o nim złego słowa. Owszem, słyszałem, że robi filmy atakujące egzorcyzmy. Nagrywał księży w konfesjonale. Zaciekłość, z jaką to robił, wydała się niepokojąca. I po 12 latach milczenia Paweł Kostowski wysyła do nas e-mail, który brzmi jak groźba, a po tygodniu publikuje film i rozpętuje burzę medialną.

J.S.: Tylko zastanawia nas, że atakuje nie tę rzeczywistość, którą znał, ale to, co jest teraz. Odszedł od nas 12 lat temu, kiedy moich czy Michała dzieci nie było jeszcze na świecie. Skąd może wiedzieć, jakimi jesteśmy rodzicami?!

Czy nie dziwi was tak szeroko zakrojona kampania medialna?

P.S.: To zdumiewające. Nagle po oświadczeniu kurii mamy natychmiast wysyp doniesień w mediach, które w większości powtarzają w kółko te same oskarżenia. Tylko na podstawie jednego źródła. W tym kontekście zastanawia też aktywność Tomasza Terlikowskiego i to pisanie o ofiarach.

Ofiarach czego?

AGATA RYBCZYK: Tworzona jest narracja o ofiarach molestowania. Ale muszę coś wyjaśnić, bo to ważne. Po 15 latach małżeństwa mój mąż mnie zostawił. Na fali psychozy pandemicznej, pod pretekstem ryzyka zarażenia, po prostu się wyprowadził. Idąc na pocztę po list z sądu, myślałam, że to jakiś mandat. Gdy w kopercie znalazłam pozew rozwodowy, byłam w szoku. Z dnia na dzień zostałam sama z czworgiem dzieci, praktycznie bez środków do życia. To dzięki przyjaciołom, dzięki Paulinie i Kubie, którzy przyjęli mnie z dziećmi pod dach, dzięki wsparciu kapłanów, ja i moje dzieci przetrwaliśmy te trzy lata. I nagle w maju Kostowski pojawia się jako świadek w moim procesie rozwodowym. Byłam zdumiona. Przecież on o moim małżeństwie nic nie wie. A w lipcu Kostowski odpala kampanię przeciw naszej fundacji Maximilianum, a także wymierzoną osobiście we mnie. W materiałach procesu są jakieś doniesienia o molestowaniu seksualnym. Drugą osobą, która dziś występuje oficjalnie przeciw mnie i naszej grupie, jest mój mąż.

Molestowanie to poważny zarzut

M.K.: Tak. Dlatego księża złożyli doniesienie do prokuratury.

A.R.: Jako pokrzywdzona dołączyłam swoje doniesienie w związku z insynuacją o molestowanie i z upublicznieniem przez Kostowskiego prywatnej korespondencji nieadresowanej do niego.

M.K.: W wywiadzie dla e-Sochaczew.pl Kostowski apeluje, żeby sąsiedzi reagowali, bo krzywdzone są dzieci. Zagrożenie według niego jest tak poważne, że należy uruchomić odpowiednie instytucje państwa.

J.S: Wiemy, że ktoś nachodzi sąsiadów i nagabuje ich, żeby coś na nas znaleźć. Ale w komentarzu pod materiałem też czytamy, że nie ma potrzeby, bo jesteśmy dobrymi sąsiadami.

P.S.: Na szczęście ludzie nas tu znają.

A.R.: Ale jeśli w mediach społecznościowych został ujawniony mój wizerunek, dane adresowe i zdjęcia satelitarne domu, to ja się czuję zagrożona.

M.K.: Ktoś w komentarzach opublikował zdjęcia z ksiąg wieczystych nieruchomości. Zastanawia nas, komu się chce prowadzić operację z taką determinacją?

Jak zmieniło się wasze życie?

A.R.: Mieszkamy w małej miejscowości. Żyjemy w ciągłym napięciu, bo przez ten hejt medialny czujemy się obserwowani. Poziom nacisku i lęku jest nie do zniesienia. Boję się puścić syna na rowerze na ulicę. Wychodzę do sklepu i zaczynam się kontrolować, czy nie odezwałam się zbyt stanowczo do dziecka, czy jak prosi o lizaka, a jak mu odmówię, co powiedzą.

J.S.: Cały czas żyjemy w stresie, co przekłada się na funkcjonowanie rodzin. Gdybyś czytał o sobie w publikacjach i na forach, że jesteśmy sektą, pedofilami, sadystami, a w mediach pojawiają się apele, żeby naszymi rodzinami zajęły się MOPS i prokuratura, to jak byś się czuł?

KATARZYNA KOZERSKA: Jak zmieniło się moje życie? Nie mogę spać w nocy. Dziecko mnie pyta: „Mamo, dlaczego ciągle płaczesz? Nie lubię, gdy płaczesz, uśmiechnij się"...

M.K.: Chronimy nasze dzieci, ale niektóre z nich są już na tyle duże, że widzą, że coś się dzieje. Czują, że coś niedobrego wisi w powietrzu.

P.S.: Nie rozumieją, dlaczego ich szczęśliwe dzieciństwo nagle jest tak zaburzone.

Jednym z dowodów sekciarstwa w tekście Terlikowskiego jest to, że dziewczęta były w spódnicach.

P.S.: Symptomatyczne. Dla katolickiego pisarza jest to dowodem sekciarstwa, a wystarczy wyjść na ulicę w Warszawie, żeby zobaczyć ludzi chodzących półnago w poszarpanych spodniach z włosami koloru, którego natura nie wymyśliła. Mi stawia się zarzut, że noszę spódnice i bluzki z rękawami. To przykład, co się z nami stało? Nastąpiło odwrócenie porządku. Mamy się tłumaczyć z życia normalnej katolickiej rodziny? Że mamy sześcioro dzieci? Że chcemy je wychować po katolicku, więc uznaliśmy, że łatwiej będzie w nauczaniu domowym. Że nie chodzę do pracy, bo chciałam się zająć wychowaniem dzieci. Że mój mąż chodzi w marynarce? I patrząc na tę kampanię

eprasa.pl 68bd3b792c

oszczerstw, odnoszę wrażenie, że o to chodziło. Żeby zakłócić, zniszczyć nasze życie, które było, powtarzam, życiem normalnych, katolickich rodzin.

A.R.: Nie wiem, dlaczego właśnie teraz wraca do mnie takie zdanie s. Łucji – wizjonerki z Fatimy – że ostatnia walka między Bogiem a szatanem będzie walką o rodzinę. Po pierwsze, nie spodziewałam się, że ten front przejdzie przez środek mojej rodziny, a także że rzeczywiście czegoś takiego doświadczymy. W świecie, gdzie tak trudno jest utrzymać spójność rodziny, utrzymać wartości, my w jakiś sposób położyliśmy za to głowę, teraz dostajemy od katolickiego dziennikarza, który widział nas 12 lat temu i zapamiętał, że kobiety były ubrane od stóp do głów, a panowie w garniturach.

J.S.: Uważam, że publikacja Terlikowskiego to stek kłamstw. Mimo że miał telefony do nas, adresy e-mailowe, był kiedyś u nas, nie przyszedł, nie zapytał. To zamyka temat jego rzetelności dziennikarskiej.

K.K.: Był u nas, gdy większości naszych dzieci nie było na świecie, ale dziś mobilizuje odpowiednie służby, bo dzieci są zagrożone…

M.K.: Co gorsza, pisze z pozycji świadka i twierdzi, że są jacyś świadkowie.

K.K.: Katolicki dziennikarz wmawia mi, że ja, która życie poświęciłam dla dobra piątki naszych dzieci, pozwalam je molestować? Ja, która chronię je przed demoralizacją i antykulturą, prowadząc nauczanie domowe, wychowuję bez smartfonów i Facebooka. To rozdziera mi serce!

P.S.: Dodam, choć to bardzo osobista nasza sprawa, że wszystkie dzieci, a mamy ich sześcioro, rodziłam, płacąc krwią. Każda ciąża to ogromne trudności i tygodnie w szpitalu. Każdy poród był z narażeniem życia. Nie sądziłam, że zostanę uderzona takim oszczerstwem. Że moje dzieci, których życie okupiłam krwią, komukolwiek pozwoliłabym skrzywdzić.

Potwierdzeniem rzekomego sekciarstwa jest to, że księża kontrolują wasze życie. Aranżują małżeństwa itd.

J.S.: Aranżowane małżeństwa – kolejny absurd! Oświadczałem się Paulinie w szpitalu, po nagłej siedmiogodzinnej operacji serca, a ślub odbył się w rocznicę operacji. I ktoś nas do tego przymuszał? Absurd. Czy małżeństwa na siłę by przetrwały?

K.K.: Powiem więcej. To dzięki ks. Łukaszowi wyszliśmy z dramatycznego kryzysu i nasza rodzina ocalała. Ksiądz pomógł utrzymać nam trwałość małżeństwa.

Ile rodzin dziś tworzy wasze środowisko?

M.K.: Około 20. Ale są też z nami osoby samotne, a wkrótce dołączają moi teściowie, których ze względu na zły stan zdrowia bierzemy do siebie. A nam się zarzuca rzekome odcięcie się od rodziców, izolację od świata i hermetyczność.

Ile jest dzieci?

M.K.: Łącznie ok. 70. Te, które są w wieku szkolnym, uczą się w systemie edukacji domowej.

Czy nadzór oświatowy formułował jakiekolwiek zarzuty?

J.S.: Nigdy. Dzieci na egzaminach wypadają różnie. Część z nich wypada bardzo dobrze i dobrze. Jak sam wiesz, każde dziecko ma różne predyspozycje i talenty w różnych kierunkach. Mamy prymusów, mamy nygusów. Jak w życiu. To normalne dzieciaki, jedne uczą się chętniej, inne mniej chętnie.

Czego się najbardziej obawiacie?

M.K.: Boimy się o dzieci.

J.S.: Nie wiemy, co przyniesie jutro. Jakie kolejne brednie przeczytamy o sobie? Czy jakieś służby zapukają do drzwi?

K.K.: Ja się łapię na tym, że rozważam, czy mamy się przeprowadzać, zmieniać miejsce zamieszkania, gubić trop, jak przestępcy.

Czy zamierzacie się bronić?

J.S.: Księża i Agata złożyli doniesienia do prokuratury przeciwko Pawłowi Kostowskiemu. Napisaliśmy też pismo jako rodzice do Rzecznika Praw Dziecka. Napisaliśmy do abp. Gądeckiego z prośbą o spotkanie i obronę. Napisaliśmy pismo do kard. Nycza i jego delegata ks. Michała Turkowskiego z prośbą o spotkanie. Gdy przyjdzie odpowiedź z prokuratury, prawdopodobnie wystąpimy z pozwami cywilnymi wobec Kostowskiego i Terlikowskiego.

M.K.: Nie będziemy brać udziału w przepychankach internetowych, ale też nie możemy milczeć. Wygląda na to, że zostaliśmy oskarżeni o wierność Panu Bogu, o wierność małżeńską, o wierność tym ideałom, które wybraliśmy w sposób wolny. Nikt nas do tego nie zmuszał. Wyrok zapadł, zanim oskarżenie zostało sformułowane. Tylko dlatego, że do kurii przychodzi ktoś z ulicy, rozlepia kartki na murze, nagrywa filmy i opowiada nieweryfikowalne rzeczy. Do czego to podobne? To się w głowie nie mieści, że kuria, zamiast nas bronić, ogłasza apel, żeby ofiary działań sekty zgłaszały się do nich i składały zeznania

A.R.: Jako osoby wierzące wiemy, że nic nie dzieje się bez dopustu Boga, więc dużo się modlimy. Także za tych, którzy nas oskarżają.

Gdzie jest źródło ataków? O co w tym wszystkim chodzi?

J.S.: Tak naprawdę nie wiem. Ale wiem, że w tym, co nas spotkało i czego doświadczają nasi duszpasterze, jak w soczewce widać komplet lewicowych oskarżeń wobec kapłanów i Kościoła. Według modernistów kapłaństwo ma w sobie nieusuwalne, strukturalne błędy, prowadzące do przemocy i nadużyć. Hierarchiczność, która zakłada podległość i posłuszeństwo, czyli przemoc. Sakralność kapłaństwa, co sprawia, że księży się mierzy inną, lepszą miarą, i celibat, który według tej narracji jest nie do utrzymania, więc eksploduje nadużyciami.

A.R.: Nadużycia i pedofilia zdarzają się w Kościele, ale też nie jest tajemnicą, że zarzut o molestowanie bywał nieraz użyty niesłusznie i krzywdząco. Wielu starszych kapłanów zostało zniszczonych oskarżeniami, których nikt potem nie sprostował. Tym razem my i nasi księża powiedzieliśmy „dość". Jesteśmy w takiej sytuacji, gdzie po raz pierwszy na zarzut molestowania zamiast się schować, my mówimy „nie". Nie zgadzamy się na oszczerstwa, nie ma zgody na to, by tak mówiono o naszych kapłanach, i nasi kapłani też mówią „nie". Nie zgadzamy się – nigdy nic takiego w naszym środowisku nie miało miejsca i bardzo prosimy, żeby Kościół, żeby prawo i prokuratura wyjaśniły to do końca, bo to niszczy nasze życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Jan Matejko, „Polonia – Rok 1863"
FOT. PATRYK JEZIERSKI/MNK

Malarz historii

Łukasz Czarnecki

Chociaż twórczość Jana Matejki towarzyszy kolejnym pokoleniom Polaków właściwie od kołyski, to wciąż odnaleźć w niej można nowe i zaskakująco świeże treści, skłaniające do poważnych pytań na temat dziejów naszej ojczyzny i jej miejsca w świecie. W Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Krakowie podziwiać można wystawę „Matejko. Malarz i historia"

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że XIX w. uformował sposób, w jaki Polacy myślą o historii. Stało się to za sprawą dwóch tworzących w tym okresie gigantów, z których jeden dzierżył pióro, a drugi pędzel. Tym pierwszym był rzecz jasna działający w zaborze rosyjskim noblista, autor wielkich powieści historycznych, Henryk Sienkiewicz; drugi z olbrzymów, na których barkach stoimy do dziś, to krakowianin, mieszkaniec Galicji, Jan Matejko, który korzystając z liberalnej atmosfery zaboru austriackiego, tworzył barwne, pełne dramatyzmu arcydzieła sztuki malarskiej, ożywiające przed oczyma widzów sceny dziejowe, zarówno będące chwilami chwały, jak i hańby przodków. Co ważne, wbrew temu, co usiłują niekiedy wmawiać nam różnej maści pseudopostmoderniści, twórczość krakowskiego artysty nie była zjawiskiem ograniczonym do ram naszego polskiego podwórka, którego mieszkańcy miłowali się w makatkach ze scenami spod Grunwaldu. Obrazy Matejki robiły furorę w stolicach całej Europy: Wiedniu, Rzymie i Paryżu, francuscy akademicy zaś widzieli w poddanym Franciszka Józefa mesjasza malarstwa historycznego, zesłanego przez niebiosa, by odnowić przeżywający kryzys gatunek.

Barwne epizody, wychodzące spod pędzla człowieka, będącego paradoksalnie Polakiem w pierwszym pokoleniu (bo jego ojciec pochodził z Czech), porywały wyobraźnię widzów, przenosząc ich do minionych chwil polskiej chwały i stanowiąc środek znieczulający ból codzienności w okowach zaborców. To również, podobnie jak tematyka, łączyło sztukę nestora krakowskiego malarstwa z twórczością Sienkiewicza: obie były tworzone ku pokrzepieniu serc. I choć tragiczne wieki XIX i XX już dawno są za nami, a Polska znajduje się obecnie w bodajże najlepszym okresie swej historii od czasów Jagiellonów, to gdy zwiedzając ekspozycję w krakowskim muzeum, zanurzamy się w świat oszałamiającej

eprasa.pl 68bd3b792c

wyobraźni Matejki, wiszące na ścianach płótna i chronione gablotami szkice przemawiają do nas z mocą równie potężną jak ta, która poruszała serca naszych pradziadów. Autentycznie weselimy się z podpitymi literatami renesansowej Rzeczypospolitej, którzy na obrazie „Rzeczpospolita Babińska" ewidentnie ledwie trzymają się na nogach po wypiciu zbyt wielkiej ilości napojów wyskokowych (aż żal bierze, że mistrz nie popełnił kontynuacji przedstawionej sceny, zatytułowanej „Rzeczpospolita Babińska. Dzień po albo Wielki Kac"); patrząc na przemawiającego Skargę, chcemy pędzić ratować ojczyznę, a widok samotnego Rejtana, jedynego sprawiedliwego wśród uczestników sejmu rozbiorowego, napawa nas wstydem nad upadkiem polskiej klasy politycznej (będącym równie na miejscu zarówno w XVIII, jak i w XXI stuleciu). Wreszcie, patrząc na konającego Zygmunta Augusta, wokół którego trwa intensywne rozkradanie przez dworzan zgromadzonych w Knyszynie skarbów ostatniego Jagiellona, trudno nie czuć zażenowania tym, że wielka epoka Jagiellonów znalazła tak żałosny koniec.

Zanim przejdę do krótkiego opisu tego, co można ujrzeć, odwiedzając Gmach Główny Muzeum Narodowego w Krakowie, odnotować muszę zjawisko zaobserwowane w trakcie własnej wizyty tamże. Choć do budynku muzealnego zawitałem chwilę po jego otwarciu o godz. 10, to do kas biletowych ciągnął się już długi wąż kolejki gości, wśród których dominowali ludzie młodzi. Świadczy to bezsprzecznie o sile, z jaką sztuka Matejki działa na kolejne pokolenia odbiorców; nadal, jak przed 130 laty, obrazy mistrza budzą zaciekawienie i choć dziś nie potrzebujemy już twórczości ku pokrzepieniu serc, to atrakcyjność tych płócien tkwi w tym, że są niczym TARDIS z serialu o doktorze Who: pozwalają odbywać podróże w przeszłość i własnymi oczyma ujrzeć wielkie wydarzenia naszej historii. I pal licho, że niektóre ze scen przedstawionych przez krakowskiego malarza więcej mówią o jego bujnej fantazji niż prawdzie historycznej – w końcu Piotr Skarga, wbrew temu, co możemy zobaczyć na wystawie, swych słynnych „Kazań sejmowych" nigdy nie wygłosił, Bolesław Chrobry nie wjechał do Kijowa przez Złotą Bramę, bo za jego czasów po prostu jej jeszcze nie było, a pod Grunwaldem rycerze obu walczących stron mieli na głowach hełmy, a nie uganiali się za sobą po polu bitwy z rozwianym włosem. Te drobne przekłamania możemy jednak wybaczyć. Czym są one zresztą wobec tysięcznych prób przepisywania historii, by uczynić ją bardziej poprawną politycznie, które obserwujemy we współczesnej popkulturze? I tak, do produkcji Netflixa zaludniających Anglię epoki napoleońskiej czarnoskórymi arystokratami tu piję.

Od lewej: Józef Mehoffer, „Godło Jana Matejki"; Jan Matejko, „Jan Kochanowski"

FOT. ANNA OLCHAWSKA/MNK

NARODZINY GENIUSZU

Pierwszym, co wita odwiedzających wystawę, jest plansza krótko wprowadzająca gości w atmosferę Galicji drugiej połowy XIX w., której elity pisały do Franciszka Józefa, że „przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy". Wspomniana zostaje wizyta C.K. monarchy na jego polskich włościach, w tym Krakowie, gdzie odwiedził kryptę Jana III Sobieskiego na Wawelu i pracownię Matejki. Potem zapoznać możemy się z krótkim kalendarium, prezentującym nam najważniejsze daty z życia mistrza. Gdy już przejdziemy przez tę część ekspozycji, czeka nas sześć etapów artystycznej podróży, z których każdy zaprezentuje nam konkretną fazę lub element pracy artysty.

I tak na początku, zwiedzając część wystawy zatytułowaną „Młody Matejko", oglądamy narodziny geniuszu. Zgromadzono tu szkice młodego malarza, prezentujące zabytki Galicji, takie jak katedra ormiańska we Lwowie czy niewielka drewniana chata w Wiśniczu, która na tyle zainteresowała wędrującego po prowincji ze sztalugami młodzieńca, że zatrzymał się, by ją uwiecznić i dać tym samym nieistniejącemu już od dawna budynkowi życie wieczne. Obejrzeć możemy tu też płyty litograficzne z rysunkami do albumu „Ubiory w Polsce 1200–1795" czy wiele portretów prezentujących ludzi współczesnych Matejce. W początkowych etapach kariery późniejszemu mistrzowi malarstwa historycznego nierzadko zdarzało się bowiem chałturzyć jako portrecista – w ten sposób uniknął zresztą służby wojskowej, malując jako łapówkę portret żony komisarza komendy uzupełnień.

Pośrodku sali stoi ogromna szklana gablota ze strojami historycznymi, w tym zaprojektowanymi przez Matejkę kaftanami i spodniami. Na niezwykle ciekawą, a mało znaną stronę artystycznej spuścizny mistrza zwraca uwagę zbiór naszkicowanych ołówkiem karykatur, zdradzających w krakowskim artyście wybornego humorystę, którego śmiało postawić można by było w jednym rzędzie z młodszym odeń lwowskim mistrzem tego rzemiosła, Kazimierzem Sichulskim. Ten etap trasy muzealnej kończy namalowany w roku 1861 wielki obraz „Jan Kazimierz na Bielanach", zapowiadający już maestrię, którą wkrótce Matejko miał osiągnąć w malarstwie historycznym, oraz pełen niezwykłego dynamizmu i dramatyzmu olejny szkic do obrazu „Utopiona w Bosforze", przedstawiający scenę żywcem wziętą z „Giaura" Byrona, na której bezlitosny Turek z pomocą eunuchów topi

eprasa.pl 68bd3b792c

w wodach Bosforu niewierną brankę ze swego haremu.

Kolejna część naszej artystycznej podróży śladami Matejki nosi tytuł „Narodziny artystycznego dziejopisa" i prezentuje etap jego twórczości symbolicznie rozpoczęty namalowaniem w roku 1864 „Kazania Piotra Skargi". Ten właśnie obraz stanowi centralną część ekspozycji, lecz oprócz niego obejrzeć możemy także szkice olejem na kartonie stworzone na potrzeby prac nad obrazami „Alchemik Sędziwój i Zygmunt III" oraz „Stańczyk na balu królowej Bony". Tematyka błazeńska powraca, gdy stajemy przed szklaną gablotą, w której prezentowany jest zaprojektowany przez Matejkę błazeński kaptur. Smętne wrażenie robią zwisające wokół niego dzwonki i choć w miejscu twarzy zieje dziura, to wydawać by się mogło, że z wnętrza nakrycia głowy Stańczyka przemawia do nas głos pytający: „Z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie". Jednak prawdziwą ucztę dla miłośników historii sztuki stanowią inne eksponaty, pozornie najmniej przykuwające wzrok. W szeregu małych gablotek, odgrodzone od widzów szkłem, leżą naszkicowane ołówkiem na kartonie projekty, które później przemieniły się pod pędzlem mistrza w jego kultowe historyczne obrazy. Dzięki nim jesteśmy niejako w stanie podejrzeć krakowskiego artystę przy pracy i spojrzeć na tworzone przezeń dzieła jego własnymi oczyma.

NA PRZECIĘCIU DRÓG

Kolejny dział ekspozycji nosi tytuł „Obrazowanie historii". Już na początku jego zwiedzania otrzymujemy emocjonalny cios między oczy – tę część wystawy otwiera bowiem mało znany obraz „Polonia 1863. Zakuwanie Polski" z 1864 r., będący artystyczną reakcją na klęskę powstania styczniowego i ukazujący w symboliczny sposób ucisk i niewolę, które musieli znosić Polacy w zaborze rosyjskim. Zryw zbrojny w Kongresówce był bodajże najważniejszym wydarzeniem dziejowym współczesnym Matejce, a zarazem najbardziej tragicznym. Sam malarz w insurekcji udziału nie wziął ze względu na słabe zdrowie, ale przekazał na potrzeby powstańczego rządu 500 złotych reńskich i brał udział w przemycie broni dla partyzanckich partii. Trudno oczekiwać, by ta wielka katastrofa nie

Na pierwszym planie: kaptur Stańczyka, w tle obraz Jana Matejki „Rejtan – Upadek Polski" FOT. ANNA OLCHAWSKA/MNK

Na wystawie zgromadzono ponad 300 eksponatów FOT. ANNA OLCHAWSKA/MNK

odcisnęła piętna na artyście tak bardzo wyczulonym na ruchy wiatru historii.

Pięć lat później Matejko przeniósł się ku lepszym czasom, biorąc udział w roku 1869 w ekshumacji grobu Kazimierza Wielkiego na Wawelu. Efektem akcji, będącej częścią przygotowań do wielkiej manifestacji patriotycznej, która miała przybrać formę ponownego pochówku ostatniego, a zarazem największego z przedstawicieli dynastii piastowskiej, był obraz przedstawiający wnętrze grobu monarchy oraz wielka chorągiew ku jego chwale zaprojektowana przez mistrza. Pojawiają się tu także tematy religijne, których reprezentantem jest obraz „Wniebowstąpienie" ukazujący Chrystusa w chwale, wstępującego wśród obłoków do Królestwa Niebieskiego. Tu też obejrzeć możemy wspomnianą już, o wiele lżejszą w odbiorze, scenę hulanki w „Rzeczypospolitej Babińskiej".

Następnie przechodzimy do płócien zebranych pod szyldem „W Europie Środkowo-Wschodniej, czyli gdzie?". Prezentują nam one nasz kraj jako miejsce na przecięciu dróg, gdzie krzyżowały się wpływy cywilizacji łacińskiej i bizantyńskiej. Właśnie dlatego witają nas wizerunki Cyryla i Metodego oraz artystyczna wizja chrztu Polski. Dominują w tej części ekspozycji jednak obrazy ukazujące skomplikowaną i niekiedy tragiczną wspólnotę losów Polaków i narodów zamieszkujących szeroko pojętą Ruś, z których wyewoluowały w późniejszych czasach narody ukraiński i białoruski. Sceny te szczególnie żywo przemawiają do nas w chwili obecnej, gdy na wschód od naszej granicy ważą się losy naszej części kontynentu, a Polacy i Ukraińcy, zjednoczeni walką ze wspólnym wrogiem, zbliżyli się do siebie jak nigdy dotąd.

Kuratorzy wystawy nie prezentują nam jednak słodkiej narracji, próbując czynić z płócien mistrza coś, czym nigdy nie były. Przed naszymi oczyma przewijają się epizody zarówno chwalebne, jak i bolesne. Widzimy więc Bolesława Chrobrego i Świętopełka, wjeżdżających do Kijowa, i tego drugiego biorącego ślub z córką polskiego władcy. Obserwujemy Dymitra z Goraja, klęczącego przed Jadwigą, która dzierży topór, gotowa wyrąbać sobie przez bramy Wawelu drogę do osobistego szczęścia w ramionach kochanka, i błagającego ją o opamiętanie czy wreszcie z gęsią skórką na ciele obserwujemy zagony Kozaków Chmielnickiego i Tatarów Tuhaj-beja, podchodzące pod Lwów.

CZYJA? JAKA?

Następnie zobaczyć możemy część wystawy zatytułowaną „Rzeczpospolita, ale czyja?", gdzie spotykamy się z czeredą dumnych, wąsatych szlachciców, łypiących na nas groźnie z płócien. Jednak ich władza, choć ogromna, nie jest niepodzielna; zdarzają się wobec niej akty sprzeciwu, takie jak na obrazie „Wyjście żaków z Krakowa w roku 1549", a niekiedy karmazyni ci powinni wręcz się wstydzić, bo i chwile hańby wypomina im Matejko, choćby na obrazie „Rejtan. Upadek Polski".

Na koniec ostatni etap ekspozycji wita nas hasłem „Cywilizacja, ale jaka?". Tu czekają nas sceny z serii „Dzieje cywilizacji w Polsce", zainspirowanej myślą XIX-wiecznego historyka i przyjaciela Matejki, Józefa Szujskiego. Pomiędzy ramy zamknięte są przedstawienia najważniejszych epizodów rozwoju kultury polskiej, od sprowadzenia w średniowieczu cystersów do prac Komisji Edukacji Narodowej.

Podsumowując, odwiedziny wystawy „Matejko. Malarz i historia" są wspaniałym doświadczeniem, które z czystym sercem polecić mogę każdemu. Czas na to, by przyjechać do Krakowa i zobaczyć ekspozycję, mają państwo, drodzy czytelnicy, jeszcze przez pół roku – otwarta ona będzie aż do stycznia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

„Hity w Sieci" - cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Każdy z odcinków uzupełnia sonda uliczna, w której napotykane osoby zmierzą się z przewrotnymi pytaniami dziennikarzy Telewizji Republika.

REPUBLIKA

HITY w sieci

sobota
11:11

Na program zapraszają:

Mirona Hołda
Oskar Szafarowicz
Dominika Krawiel

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. CARLO ALLEGRI/GETTY IMAGES

Pożegnanie chuligana

Piotr Gociek

Bezczelny, kłótliwy, piekielnie utalentowany – odszedł reżyser wybitny, po którym zostały m.in. „Francuski łącznik", „Egzorcysta" czy „Cena strachu"

Latem 1972 r. – opowiada Peter Biskind w książce „Easy Riders, Raging Bulls" – przyjęcie u Freddiego Fieldsa opuściło wspólnie dwóch przyjaciół: William Friedkin i Francis Ford Coppola. Uczynili to w hollywoodzkim stylu – nowiutką limuzyną – był to mercedes 600. Coppola wygrał samochód, zakładając się ze studiem Paramount o to, czy wpływy z „Ojca chrzestnego" przekroczą 50 mln dol. Przed wyruszeniem Francis ochrzcił auto, rozbijając butelkę szampana, potem cała trójka (bo towarzyszyła im też Ellen Burstyn, szykująca się do roli w „Egzorcyście"), nieźle naoliwiona, ruszyła w drogę. Śpiewali „Hooray for Hollywood", a celem wycieczki była modna restauracja na Sunset Strip. Za nimi, w volvo prowadzonym przez ówczesną partnerkę Mary „Polly" Pratt, jechał kolejny kumpel, Peter Bogdanovich.

Gdy stanęli na czerwonym świetle, Friedkin wystawił głowę przez rozsuwany dach i zaczął się przechwalać. – Najbardziej ekscytujący amerykański film od ćwierć wieku! – krzyczał, cytując recenzję „Francuskiego łącznika". Rozpostarł pięć palców i dodał: – Osiem nominacji, pięć Oscarów, w tym dla najlepszego filmu!

Peter Bogdanovich nie pozostał dłużny. Wyjrzał z okna volvo i darł się: – „Ostatni seans filmowy", film, który zrewolucjonizuje kino! Osiem nominacji, ale mój film jest lepszy niż twój!

Do licytacji włączył się Francis Ford Coppola: – „Ojciec chrzestny" zarobił 150 mln dol.!

BAD BOY „NOWEGO HOLLYWOOD"

Przewińmy czas do sierpnia roku 2023. Pół wieku później Coppola żegna Friedkina słowami: „Za fasadą jego uroczej, irytującej osobowości krył się gigant – wspaniały, błyskotliwy, głęboko współczujący. Ciężko mi pojąć, że już nigdy nie będę mógł się cieszyć jego towarzystwem, ale pozostanie z nami jego dzieło".

Cała trójka to legendy ruchu nazwanego potem przez krytyków „nowym Hollywood", o którym do dziś powstają książki i prace naukowe. Zacne to było towarzystwo, oprócz wspomnianej trójki choćby: Martin Scorsese, Paul Schrader, Dennis Hopper, Brian De Palma, Bob Fosse i wielu, wielu innych. W 1973 r. Coppola, Bogdanovich i Friedkin założyli pod skrzydłami Paramountu niezależne studio produkcyjne The Directors Company. Historia firmy okazała się krótka, ale pozostały po niej trzy filmy: „Papierowy księżyc" i „Daisy Miller" Bogdanovicha oraz „Rozmowa" Coppoli. Friedkin żadnego filmu nie nakręcił, bo szybko porzucił przyjaciół, marzyły mu się większe budżety i filmy bardziej kasowe.

eprasa.pl 68bd3b792c

Wspominam o tym wszystkim, by przypomnieć, jak istotną figurą – cenioną, szanowaną i niesłychanie denerwującą – był Friedkin w latach 70., jednej z najpiękniejszych dekad w historii amerykańskiego kina. Rację ma Coppola, wytykając mu „irytującą osobowość" – jeszcze w latach 60. Friedkin zasłużył na opinię „bad boya". Kłócił się z przyjaciółmi, producentami, aktorami, ze scenarzystami, zawsze miał własne zdanie i zawsze chciał postawić na swoim. William Blatty miał do niego pretensję o zmianę zakończenia w ekranizacji jego powieści „Egzorcysta", Joe Eszterhas chciał wycofać nazwisko z filmu „Jade" (1995), bo uznał, że reżyser zmasakrował jego scenariusz. I tak dalej. Był William Friedkin jednym z tych, którzy zawsze wiedzą lepiej, ale bądźmy szczerzy: to nie wyjątek, cisi i pokorni raczej reżyserami nie zostają.

W dokumentalnym filmie „Friedkin bez cenzury" („Friedkin Uncut", 2018) widać, że nie spokorniał z wiekiem, że był to ciągle gość z bardzo krótkim lontem. Przy lada okazji podpalał się do ognistych tyrad, w czym przypominał trochę Harlana Ellisona, którego wściekłe monologi wiedzieliśmy choćby w dokumencie „Dreams with Sharp Teeth" (2008). Jednak znów zgódźmy się z Coppolą – dorobek Friedkina broni go lepiej od najbardziej nawet zapalczywej tyrady. Nie robił filmów nijakich. Kiedy osiągał szczyty, były to szczyty naprawdę wysokie: „Francuski łącznik" (1971), „Egzorcysta" (1973), „Cena strachu" (1977), „Żyć i umrzeć w Los Angeles" (1985). A kiedy dołował, to i tak pozostawiał po sobie filmy, o które publika i krytycy kłócą się do dziś. Nikt nie pomija „Jade", analizując fenomen kina neo-noir, „Strażnik" („The Guardian", 1990) pozostaje dla fanów horroru dziełem nierównym, lecz kultowym, „Robak" („Bug", 2006) to wciąż intrygujące studium paranoi, a okrutny i zabawny „Zabójczy Joe" (2011) pozostaje jednym z najlepszych filmów, o jakich nigdy nie słyszeliście.

PRZEDZIWNA FIGURA

Zanim zaczął kręcić filmy fabularne i seryjnie gromadzić oscarowe nominacje, terminował długo w telewizji, w której pierwsze kawałki nakręcił, nim doczekał 20. urodzin. Potem specjalizował się w dokumencie i te doświadczenia w dużym stopniu go uformowały. Cztery filmy, które ugruntowały jego reputację (poczynając od „The People vs. Paul Crump"), powstały w latach 1962–1966. Swoje dokumentalne doświadczenia przeniósł potem Friedkin do fabuły. Nie lubił powtarzania ujęć, nie tracił czasu na niekończące się pouczanie aktorów, ustawiał scenę i kręcił, czasem tylko robiąc dubla lub dwa. Nie bez powodu fascynował się francuskim kinem Nowej Fali, które tak jak Friedkin czerpało z idei cinema verite.

Ten autentyzm widoczny jest w osławionym „Francuskim łączniku". Nawet ci, którzy nie pamiętają, o co w tym filmie dokładnie chodziło, mają w pamięci Nowy Jork. Słynne długie ujęcie pościgu samochodowego na prawdziwych ulicach Brooklynu, pełne rozpędzonych prawdziwych samochodów, nakręcił, sięgając po kamerę osobiście. Po pierwsze, wierzył, że tylko on sam zagwarantuje odpowiedni efekt, po drugie, uznał długą scenę za zbyt niebezpieczną, by ryzykować życie operatora. Ponad dwie dekady później w filmie „Żyć i umrzeć w Los Angeles" dokonał sztuki niemożliwej – ukazał Miasto Aniołów jednocześnie jako chory, kolorowy sen (bardziej koszmar) i piekło ponurych przedmieść. Z kolei w znakomitym filmie „Zadanie specjalne" („Cruising", 1980) wierność realizmowi ściągnęła na niego gromy. W thrillerze z fenomenalną rolą Ala Pacino pokazał mroczny świat gejowskich klubów BDSM – został więc po latach oskarżony o homofobię i antygejowską propagandę.

Stephen King pytany kiedyś, który film oglądał w życiu najwięcej razy, odparł bez wahania: „Cenę strachu" Williama Friedkina

Przedziwna to była figura. Agnostyk zafascynowany egzorcyzmami, czemu dał dowód, nie tylko kręcąc „Egzorcystę", jeden z najbardziej wpływowych filmów wszech czasów, lecz także po latach stając z kamerą dokumentalisty obok ojca Gabriela Amortha w filmie „The Devil and Father Amorth" (2017). To właśnie na planie tej produkcji Friedkina poznał włoski reżyser i producent Francesco Zippel. Zafascynowany osobowością i dorobkiem twórcy „Ceny strachu" postanowił nakręcić z jego udziałem wspominkowy dokument „Friedkin bez cenzury", w którym obok Friedkina występują także m.in. Francis Ford Coppola, Quentin Tarantino, Willem Dafoe czy Wes Anderson. Niejeden wielki współczesnego kina uczył się fachu od Friedkina. Ridley Scott, obmyślając, jak nakręci „Obcego", oglądał w kółko dwa filmy: z „Gwiezdnych wojen" Lucasa dowiedział się, jakie są nowe możliwości w dziedzinie efektów specjalnych. Z „Egzorcysty" uczył się trudnej sztuki straszenia.

NAJWAŻNIEJSZY FILM

Za swój najważniejszy film uważał Friedkin „Cenę strachu" („Sorcerer", 1977). Nie on jeden. Stephen King pytany kiedyś, który film oglądał w życiu najwięcej razy, odparł bez wahania: „Cenę strachu" Williama Friedkina. Reżyser wzbraniał się od określania filmu mianem remake'u francuskiego arcydzieła „Le Salaire de la peur" Henri-Georges'a Clouzota. Uważał, że po prostu zrobił własną adaptację literackiego oryginału, czyli powieści Georges'a Arnauda. Nie zmienia to faktu, że gdy Friedkin spotkał się przy czerwonym winie z Clouzotem w Paryżu (w wieczór premiery „Egzorcysty"), na pytanie, co teraz nakręci, odpowiedział Clouzotowi: „Chcę zrobić twój film". Na do widzenia Friedkin, z charakterystyczną dla siebie mieszanką bezczelności i uroku, rzekł: „Obiecuję, że nie zrobię go tak dobrze jak ty".

Wielu uważa „Cenę strachu" za friedkinowski odpowiednik „Czasu apokalipsy" Coppoli. Coś w tym jest. W obu osobnym bohaterem jest wroga natura, w obu mamy do czynienia z misją straceńców, misją niemożliwą, oba filmy są bardziej kinem egzystencjalnym niż wojennym czy thrillerem. Friedkin miał pecha. Film trafił do kin w samym środku gorączki wywołanej przez „Gwiezdne wojny" i przepadł. Dziś uważany jest za jedno z największych osiągnięć kina tamtej dekady. Sam Friedkin, który zmarł 7 sierpnia 2023 r. (trzy tygodnie przed swoimi 88. urodzinami), pozostanie twórcą, którego wkład w rozwój kina jest nie do przecenienia. „Filmy bywają sztuką, ale nie uważam się za artystę" – mówił jednak Friedkin w jednej z rzadkich chwil skromności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE player CINEMAN polsat box go CANAL+

Zwykli ludzie

★★★★★☆

REŻ. DARREN LE GALLO
„SAM I KATE" („SAM & KATE")
USA 2020

wyst. Jake Hoffman, Schuyler Fisk, Dustin Hoffman, Sissy Spacek

Zdala od kinowych ekranów, zagubiony w otchłani streamingu, pozbawiony reklamy kryje się jeden z ciekawszych filmów ubiegłego roku. „Sam i Kate", debiutancki film Darrena Le Gallo (prywatnie to mąż aktorki Amy Adams), to opowieść o dzieciach i rodzicach, rodzinnych tragediach i wychodzeniu z traumy. Katalog problemów znajomy, przesłanie w finale krzepiące (choć są w tej opowieści także nuty bardzo gorzkie). Cóż więc sprawia, że jest to projekt szczególnie ciekawy? Ano ansambl aktorski, od którego nie można oderwać oczu.

Jest to bowiem projekt rodzinny dwóch pokoleń. Tytułowi bohaterowie – Sam i Kate (w ich rolach Jake Hoffman i Schuyler Fisk) – mają za ekranowych rodziców swoich rodziców prawdziwych. Sam wrócił do prowincjonalnego miasteczka opiekować się ojcem, którego gra Dustin Hoffman, a Kate troszczy się o mamę, w roli której widzimy Sissy Spacek. Rzecz reklamowana jest jako „komedia romantyczna", ale bardziej przypomina dramaty obyczajowe w duchu „Zwykłych ludzi" czy „Sprawy Kramerów".

Na szczególną uwagę zasługuje – to żadna niespodzianka – Dustin Hoffman. Okazuje się stworzony do roli apodyktycznego, szorstkiego staruszka nie dlatego, że ma już odpowiednią liczbę lat na karku (już 86), ale dlatego, że to wciąż aktor przerastający dzisiejsze Hollywood. Podobnie Sissy Spacek – weterani kradną show swoim dzieciom, choć to niby opowieść o uczuciu młodych (względnie). Przy okazji tej ostatniej kwestii – w filmie Le Gallo miejscem, w którym spotkać można nieoczekiwanie miłość, okazują się lokalna księgarnia albo kościół. Nie pierwszy raz, a to przecież opowieść z postnowoczesnej Ameryki. Porównajcie sobie z polskimi „komediami" romantycznymi i westchnijcie smutno wraz ze mną.

Opowieść o Samie i Kate to nie jest miłosna historia o beztroskich dzieciakach i dla dzieciaków. Mamy tu dorosłych ludzi, którzy wiedzą, co to odpowiedzialność: odkładają własne życie, by poświęcić się bliskim. Czasami jest to brzemię trudne do udźwignięcia, czasem niewidzialny bagaż niesie się jeszcze długo po bolesnych pożegnaniach, czasem dopiero z perspektywy lat widać, co było ważne i jakie lekcje można z tego wyciągnąć. Jak to w zwykłym życiu zwykłych ludzi. ©℗

NOWE SERIALE: „ZABIĆ BÓL"

Netflix pozazdrościł Hulu „Lekomanii" i przedstawia własną wersję opowieści o kryzysie opioidowym w USA. Serial oparto na książce „Zabić ból. Imperium oszustwa i kulisy epidemii opiatowej w USA" (ukazała się w Polsce dwa lata temu). W jednej z głównych ról zaskakuje Matthew Broderick, który wciela się w Richarda Sacklera, szefa koncernu Purdue Pharma, który doprowadził do upowszechnienia OxyContinu – środka, który miał wyzwolić od bólu, ale uzależniał jak heroina. ***Piotr Gociek***

- *reż. Peter Berg*, ***miniseria „Zabić ból"***, *USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 2* ***„Cruel Summer"***, *USA 2023* prime video
- *sezon 2* ***„Rap Sh!t"***, *USA 2023* HBO max
- *sezon 3* ***„Zbrodnie po sąsiedzku" („Only Murders in the Building")***, *USA 2023* Disney+

eprasa.pl 68bd3b792c

Pani zabija pana

KINO

Czy istnieją miłość i porządni mężczyźni? – zastanawiają się bohaterki nowego filmu Ozona. Kiedyś to Amerykanie szukali natchnienia we francuskim kinie, teraz jest odwrotnie. Fabuła „Mojej zbrodni" przywodzi na myśl „Chicago" i retrokryminały Allena. Dzieje się w Paryżu, w 1935 r. Obleśny producent filmowy zostaje znaleziony martwy we własnym gabinecie. Cui prodest? Cherchez la femme. W rolach głównych: Madeleine – aspirująca aktorka, Pauline – prawniczka bez klientów – tudzież Odette – gwiazda niemego kina, która nie potrafi się pogodzić ze zmierzchem kariery. Jak to u Ozona – rzecz jest wykoncypowana i wystylizowana do granic możliwości. Wyjątkowo sprawny warsztatowo reżyser zapragnął udowodnić, że historię dziesiątej muzy ma w małym palcu i żadna konwencja nie jest mu straszna. Komedia o wojnie płci? Proszę bardzo. Gdyby jeszcze potrafił się powstrzymać od kpin z „okropnej sytuacji kobiet w XX w.", mógłby zostać dyżurnym feministą Republiki.

★★★☆☆☆
REŻ. FRANÇOIS OZON
„MOJA ZBRODNIA" („MON CRIME")
FRANCJA 2023

wyst. Nadia Tereszkiewicz, Rebecca Marder, Isabelle Huppert

Prędzej jednak wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż cynik popełni film o zwyczajnych ludziach z akcją osadzoną w prawdziwym świecie. „Moja zbrodnia" nieodparcie kojarzy mi się z „Lalką", a konkretnie ze sceną, w której stary subiekt Rzecki, uruchomiwszy mechaniczne zabawki, mówi ze smutkiem: „Marionetki, wszystko marionetki". ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JĄDRO CIEMNOŚCI

CANAL+

Jesteś w Las Vegas. W środku nocy do twojego samochodu wsiada facet wyglądający jak Nicolas Cage z fryzurą Michała Wiśniewskiego i mierzy do ciebie z pistoletu. Komedia? Męczący dreszczowiec, niestety. Laureat Oscara naprawdę się stara: krzyczy, wybałusza oczęta, tańczy, śpiewa i strzela do kogo popadnie. Najwyraźniej jednak ma problem z asertywnością: powinien odmawiać udziału w projektach, które rokują bardzo kiepsko już na etapie scenariusza. Z kolei Joel Kinnaman, obecny na ekranie od pierwszej do ostatniej minuty, na plan „Diabelskiej jazdy" trafił chyba prosto z łapanki. Brak wiary w przemianę swojej postaci Szwed ma wypisany na twarzy. Oryginalny tytuł filmu nawiązuje do piosenki Stonesów, lecz bardziej niż Lucyferowi wypada współczuć znawcom kina, którzy ogłosili, że Cage na dobre wrócił do aktorskiej ekstraklasy. Chwała Bogu, krytyk filmowy to nie saper, może mylić się często.

★★☆☆☆☆
REŻ. YUVAL ADLER
„DIABELSKA JAZDA" („SYMPATHY FOR THE DEVIL")
USA 2023

wyst. Nicolas Cage, Joel Kinnaman, Kaiwi Lyman

PLANETA WIGRY

Gdy Witold Leszczyński na podstawie norweskiej powieści kręcił „Żywot Mateusza", jedni dostrzegli w tym objaw godnego potępienia eskapizmu, inni pukali się w czoło. Komu potrzebny jest powłóczysty film o człowieku żyjącym w symbiozie z naturą, gdy w powietrzu wisi bunt, a symptomy zbliżającego się politycznego i cywilizacyjnego przesilenia widać już gołym okiem? Jednak to reżyser debiutant lepiej przeczuł, w którą stronę będą wiały wichry historii. Po kontrkulturze, barykadach na ulicach Paryża i protestach polskich studentów, które posłużyły jaśnie panującej partii do przeprowadzenia czystki we własnych szeregach, zostały kombatanckie wspomnienia. Ekologia ma się za to coraz lepiej (choć planeta gorzej). Z twórczości Leszczyńskiego osobiście wolę „Konopielkę", lecz gdy słyszę muzykę Corellego i widzę Franciszka Pieczkę kuszonego przez nimfy, natychmiast o tym zapominam. ***Wiesław Chełminiak***

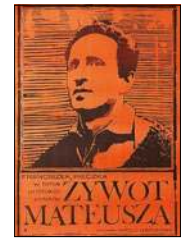

★★★★☆☆
REŻ. WITOLD LESZCZYŃSKI
„ŻYWOT MATEUSZA"
POLSKA 1967

wyst. Franciszek Pieczka, Anna Milewska, Wirgiliusz Gryń

GRA TYGODNIA: „DISNEY ILLUSION ISLAND"

Kolorowa platformówka z czterema grywalnymi postaciami Disneya (Myszka Miki, Minnie, Kaczor Donald, Pluto), pozbawiona przemocy, o niskim poziomie trudności. Nastawiona raczej na młodszych odbiorców albo rodzinne granie w kooperacji, ale i starszych nie powinna odrzucić, o ile nie oczekujemy szybkiej i wymagającej gry. Tu rzeczy dzieją się powoli, czasem zbyt wolno, gdy np. musimy przedostać się na duże odległości. Na pochwałę zasługują animacje, choć oprawa graficzna mogłaby być lepsza.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Reasumując – jako gra rodzinna tytuł zdecydowanie godzien rozważenia. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *Platformowa*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Dlala Studios, ConQuest Ent.*

eprasa.pl 68bd3b792c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Portret renegatki

Aleksander Wat, akcentując jej egzaltację powiadał: „Niezbadana jest dusza kobiet fanatycznych, świętych Teres komunizmu, zwłaszcza Passionarii. To są mistyczki, które nie widzą rzeczywistości, raczej widzą inną rzeczywistość, której my nie widzimy". Czy Wanda Wasilewska była mistyczką?

No nie, nazwałbym ją za to kobietą rozkochaną. I nie myślę tu wcale o jej trzech mężach i o prawdziwych, a tym bardziej wyimaginowanych kochankach, ale o miłości do Kraju Rad, którą okazywała już przed wojną, formalnie będąc jeszcze w PPS, a nie w KPP (co zapewne uratowało jej życie), a ukoronowana została po klęsce wrześniowej, kiedy w końcu 1939 r. przyjęła sowieckie obywatelstwo. Nie ona jedna wprawdzie, bo było ono na zajętych przez Armię Czerwoną terenach Rzeczypospolitej powszechnie narzucane. I nie w tym nawet problem, że przyjęła je z radością, ba, z euforią. Chciała zostać Wandą Lwowną, to i została. „Trudno ją winić za sam wybór – pisze Piotr Lipiński w wydanej właśnie książce „Wasilewska. Czarno-biała". – Każdy powinien mieć prawo zmiany obywatelstwa. Ale zaważył moment. Odcięła się od polskości, gdy kraj pozostawał pod niemiecką i sowiecką okupacją. Można rozpaczliwie szukać racjonalnych uzasadnień, ale w kategoriach przyzwoitości uzasadnić jej decyzji nie sposób".

Na jej plakatach w wyborach do Rady Najwyższej ZSRS wydrukowano ponoć: „Ja, bywszaja Polka". To tak jakby „ktoś z polskiej skrajnej prawicy po wrześniu 1939 r. zasiadł w hitlerowskim Reichstagu". Dlatego też Polacy ją znienawidzili.

„17 września – czytamy – pokazał coś jeszcze: naiwność wiary, że pisarz rozumie rzeczywistość lepiej od przeciętnego człowieka. Że literat powinien wskazywać maluczkim, jak żyć i o co walczyć. Że artysta przemawia w imieniu spawaczy, weterynarzy i matematyków. I z magicznych powodów pojmuje od nich więcej.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Tymczasem pisarz, spadkobierca Mickiewicza i Słowackiego, okazał się naiwniakiem mamionym błyskotkami. Umiejętność ładnego budowania zdań nie pomogła mu w rozumieniu rzeczywistości".

Ale to pisane przez nią książki spodobać się miały pewnemu czytelnikowi, który zadecydować miał o wszystkim, co wydarzyło się następnie w jej życiu. Ten miłośnik książek nazywał się Józef Stalin i to on sprawił, że jej polityczna kariera poszybowała w niebotycznie wysokie rejony. To ona w 1943 r. z błogosławieństwem Stalina zorganizowała Związek Patriotów Polskich i została jego przewodniczącą. Zanim zajęła się 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, w Armii Czerwonej w randze komisarza pułkowego pracowała jako agitatorka frontowa. Otrzymała wtedy miesięczny urlop twórczy, podczas którego napisała powieść „Tęcza", uhonorowaną Nagrodą Stalinowską, a następnie sfilmowaną przez Marka Donskoja. I to był pierwszy film wyświetlany w powojennej Warszawie – o bestialstwie hitlerowców i bohaterstwie prostego ludu zamieszkującego miłujący pokój Związek Sowiecki, choć akurat w tym wypadku Ukrainę.

W Polsce przez długie lata PRL jej książki znajdowały się w spisach lektur, przez pewien czas nawet i „Tęcza", w końcu przynależna do literatury sowieckiej. Potem utrzymywała się jeszcze napisana po polsku i wydana nad Wisłą „Ojczyzna" wraz z poczciwym „Pokojem na poddaszu".

Dość zgodnie twierdzono jednak, że lepiej mówiła, niż pisała. Zdobyła praktykę wiecową, ale problem tkwił nie w tym, jak mówiła, lecz co mówiła. Szczególnie mocnym echem odbiło się to, jak przedstawiała polskim żołnierzom zbrodnię katyńską. W lutym 1944 r. w „Wolnej Polsce" grzmiała: „Otwarły się katyńskie mogiły. Krzyczą, wołają na cały świat. Niemieckimi kulami w czaszkach, dokumentami, dowodami niezbitymi". A w „Izwiestiach" publikowała artykuły w rodzaju „Polscy patrioci przeciwko rządowi gen. Sikorskiego".

Po wojnie nie wróciła do Polski, czemu podobno dziwił się nawet Stalin. W to, że powodem była jej miłość do męża Ołeksandra Kornijczuka, nie bardzo chce się wierzyć. Raczej w to, że miała żal o zepchnięcie na polityczny boczny tor, może gdyby zaoferowano jej jedno z najwyższych stanowisk, byłoby inaczej. Ale też jest inna wersja, że po prostu się bała. Otoczona była wszak nienawiścią. Nie, nie komunistycznych aparatczyków, z tymi poradziłaby sobie z łatwością, ale zwykłych ludzi. Polaków. ©℗

★★★★☆☆

PIOTR LIPIŃSKI „WASILEWSKA. CZARNO-BIAŁA" WYDAWNICTWO CZARNE, WOŁOWIEC 2023

eprasa.pl 68bd3b792c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kiedyś, teraz

Nierówna to książka, chwilami piękna, chwilami nużąca. Świetna w finale, choć chwilę wcześniej trzeba się namęczyć i nie wiem, czy człowiek dopłynie z autorem do jakiegokolwiek brzegu. Tak wyszło. Dosłownie. Opowiada Tomasz Różycki w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej": „Napisałem ten tekst bardzo szybko, by wydostać się z pewnego kryzysu [...]. Na początku nie wiedziałem, co to będzie, ale z czasem coś się z tego zaczęło wyłaniać [...]. Po miesiącu miałem powieść". Źle to czy dobrze? Ach, te odwieczne starcia pisarskich strategii. Jedni nie ruszą z miejsca, nim precyzyjnie nie zaplanują wydarzeń z każdego rozdziału, inni płyną w nieznane, z nadzieją, że coś z tego wyjdzie. Różycki wybrał to drugie.

Mam do tej książki sentyment, bo opowiada o moim świecie. Oto blokowisko na skraju miasta, niedaleko jednorodzinne domki, których zazdrościmy miejscowym. Oto widok z okna – tu jednostka wojskowa, tam supersam, nieopodal pola, a w oddali „zakład przemysłowy", gdyż słowo „fabryka" było nadmiernie kapitalistyczne. Mikrokosmos duszonego kryzysem PRL. Na naszej klatce nikt żarówek co prawda nie kradł, ale butelki na mleko – owszem. Na osiedlu wszyscy się znali, choć każdy miał jakieś sekrety, o których się nie rozmawiało. Kolega z bloku naprzeciwko wstydził się na lekcjach WF, że ma pręgi na nogach po tym, jak ojciec przeprowadzał z nim rozmowy wychowawcze przy pomocy paska. Jedna sąsiadka do rany przyłóż. Druga – hetera i plotkara. Tu lekarz, tam inżynier z elektrowni, obok nauczycielka – wszyscy zrównani w obliczu wielkiej płyty.

Fabułę Różycki daje nam pretekstową – ojciec wysyła syna do sklepu po kawę. I ja tak chadzałem, choć nie po zakupy, ale by kawę Santos zmielić, bo w spożywczaku dostępny dla każdego był wielki elektryczny młynek z olbrzymim aluminiowym kielichem (do dziś widuję takie w sklepikach na czeskiej czy słowackiej prowincji). Odyseja bohatera jest okazją do niezliczonych opowiastek, anegdot i dygresji na temat mieszkańców tego mikroświata (często się gubimy w tym labiryncie). „Tak naprawdę nic innego nie mamy poza dzieciństwem, bez względu na to, czy było ono dobre czy złe" – tłumaczy Różycki we wspomnianej już rozmowie, stając tym samym po stronie tych, którzy jak Wiesław Myśliwski nauczają: „Dla mnie istnieje tylko przeszłość. Czas teraźniejszy jest fikcją". Amen. ©℗

★★★★☆

TOMASZ RÓŻYCKI „ZŁODZIEJE ŻARÓWEK" CZARNE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa powieść autora słynnej „Papugi Flauberta". Nieco ekscentryczna: jedną trzecią stanowi esej o Julianie Apostacie autorstwa narratora zafascynowanego tytułową panią Finch, nauczycielką i erudytką.

JULIAN BARNES „ELIZABETH FINCH" ŚWIAT KSIĄŻKI

Każdy zna dzieje wypraw Smoka Wawelskiego i kucharza Bartoliniego z popularnej serii animowanej, ale literacki oryginał jest zabawniejszy i o wiele ciekawszy. Wznowienie całości z ilustracjami Alfreda Ledwiga.

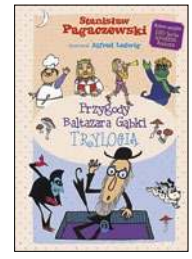

STANISŁAW PAGACZEWSKI „PRZYGODY BALTAZARA GĄBKI. TRYLOGIA" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Zjadliwa satyra na armię i militaryzm, a jednocześnie jedna z najzabawniejszych powieści fantastycznych XX w. i jedna z kilku najlepszych książek SF o wojnie.

HARRY HARRISON „BILL, BOHATER GALAKTYKI" REBIS

Cybulski w sopockim Domu Aktora, smak „gdańskiej wódki narodowej", co działo się „u Maxima w Gdyni" (i jak klub założono), nagie ciała w Chałupach i naga przemoc Nikosia. Ciąg dalszy nastąpi!

recenzuje Piotr Gociek

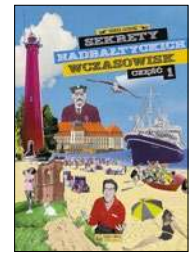

PAWEŁ GÓRSKI „SEKRETY NADBAŁTYCKICH WCZASOWISK, CZĘŚĆ 1" KSIĘŻY MŁYN

KOMIKS TYGODNIA: „TEORIA ZIARNKA PIASKU"

Znów Bruksela – kamienice wyglądają jak te znane z pocztówek, ale w powietrzu unoszą się sterowce i dziwne futurystyczne pojazdy. W kalendarzu 21 lipca 784 r. Tylko jakiej ery? Dziwny biały piasek pojawia się w niektórych domach, gdzie indziej mieszkańcy odnajdują kamienie – każdy waży tyle samo. Wszystko ma swoją wagę, oprócz pana Maurice'a... Kolejna wybitna surrealistyczna opowieść z cyklu „Mroczne miasta".

Piotr Gociek

FRANÇOIS SCHUITEN, BENOIT PEETERS „TEORIA ZIARNKA PIASKU" SCREAM COMICS 2023

eprasa.pl 68bd3b792c

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Muzeum na pokładzie

W tym roku minęło 40 lat, odkąd „Dar Pomorza" stał się statkiem muzeum, gdyńskim oddziałem obecnego Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Jeśli letni urlop zaplanowali państwo nad Bałtykiem i nie mieli jeszcze okazji wejść na pokład tego zasłużonego żaglowca, to zdecydowanie warto to zrobić. Tym bardziej że w związku z rocznicą przygotowano niewielką wystawę czasową przypominającą wydarzenia i osoby, dzięki którym ta historyczna jednostka zyskała swoje drugie życie.

Opowieść na wystawie czasowej rozpoczyna się od przełomu lat 70. i 80., kiedy to zaczęto rozważać wycofanie „Daru Pomorza" jako jednostki Szkoły Morskiej, pokazuje ostatnie lata czynnej służby, zwycięstwo w regatach Cutty Sark Tall Ships' Races w 1980 r. i ostatni rejs do fińskiego portu w 1981 r. Dalej prowadzi nas przez proces przystosowywania jednostki do potrzeb muzealnych z poszanowaniem historycznej przestrzeni żaglowca, który odbył 102 rejsy i wyszkolił 13 384 studentów. ©℗

GDZIE? ***Gdynia, Nabrzeże Pomorskie***
KIEDY? ***do 31 października***

FOT. NARODOWE MUZEUM MORSKIE W GDAŃSKU

FOT. GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W PRZEMYŚLU

ZWYCIĘSTWO SZTUKI

Druga z trzech wystaw w ramach projektu „Sztuka Zwycięża! Polska, Ukraina, Kresy". Tym razem prezentowane są prace Igora Janowicza (Ihora Yanoycha). Jak piszą organizatorzy: „Twórczość Ihora Yanovycha z Ukrainy to przykład wyrafinowanej sztuki, abstrakcyjnego malarstwa gestu będącego w dialogu ze sztuką światową". Wcześniej pokazywano obrazy Andrzeja Fogtta. Trzecią z wystaw (rzeźb Adama Myjaka) zaplanowano na październik–listopad. ©℗

GDZIE? ***Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu***
KIEDY? ***do 29 sierpnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zjednoczona Afryka

Wbrew napisom na okładce nie jest to płyta Boba Marleya i zespołu The Wailers, lecz album, na którym afrykańscy wokaliści interpretują 10 hymnów wielkiego Jamajczyka.

Usłyszymy reggae wymieszane przez brytyjskiego DJ-a Abranteeza z afrobeatem, highlifem, wokalistyką typu call-and-response czy współczesnym afrykańskim rapem. U podstaw muzycznej produkcji są złożone polirytmiczne pulsacje, ale utrzymane w łagodnym nastroju. Wśród wokalistów pojawia się m.in. wnuk Boba – Damian Marley.

Plusem tej kompilacji jest różnorodność, z którą poszczególni wykonawcy podeszli do oryginalnych piosenek. I tak zmysłowy ból z utworu „Turn Your Lamp Down Low" DJ Afro B sprowadził do peanu na cześć erotycznego pożądania. Sarkodie przekształcił melodię „Stir It Up" w rapowany rytm calypso, a Arya Star utwór „Jammin" w seksowną balladę. Dodatkowo w niektórych nagraniach pojawiają się tosterzy, którzy recytują oryginalne teksty.

Jako całość „Africa Unite" jest emocjonalnym, podnoszącym na duchu zderzeniem gorącej Afryki i współczesnej elektroniki. Ten koktajl różnorodnych stylistyk, połączony z najnowszą technologią, nie zawsze wypada przekonująco. Jednak latem tej nie za długiej, 35-minutowej płyty słucha się z dużą przyjemnością. ©℗

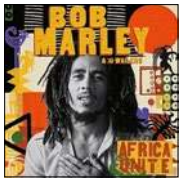

★★★★★☆

BOB MARLEY & THE WAILERS
„AFRICA UNITE"
ISLAND

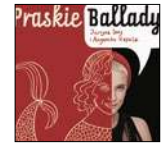

★★★★★☆

JUSTYNA JARY I ALEGANCKA KAPELA
„PRASKIE BALLADY"
AGORA

Justyna Jary, mieszkanka Pragi-Północ, napisała współczesne teksty utrzymane w tradycji przedwojennych ulicznych przyśpiewek. Alegancka Kapela przygrywa z wigorem, międzypokoleniowy chórek dopowiada, a Czesław Mozil staje się Zenonem i idzie na terapię.

★★★★★☆

FATOUMATA DIAWARA
„LONDON KO"
WAGRAM

Malijka tworzy muzykę inspirowaną żeńskimi pieśniami z rejonu Wassoulou. Na czwartym albumie tradycję wzbogaciła o elementy afropopu i elektronicznych beatów. Producentem albumu jest Damon Albarn (Gorillaz), a wśród gości są Angie Stone i Brooklyn Youth Chorus.

eprasa.pl 68bd3b792c

Krzysztof Masłoń

Wcześniej był Samochodzik, teraz Pan Samochodzik, a tak czy siak wychodzi z tego Towariszcz Awtomaszina

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Towariszcz Awtomaszina

Nieoceniony Netflix wydał z siebie kolejny gniot, reanimując pt. „Pan Samochodzik i templariusze" dziełko jednego z najobrzydliwszych pisarzy czasów PRL. Jego cykl książek o przygodach detektywa historyka sztuki imieniem Tomasz noszącego właśnie przezwisko Pan Samochodzik zdobył sobie w końcu lat 60. popularność wśród dziatwy, wzmocnioną następnie pięcioodcinkowym serialem Huberta Drapelli, przypominanym właśnie w TVP Kultura. Kto chce, niech sobie porówna obie produkcje, po literacki pierwowzór nie sięgając jednak, chyba że gustuje się w drewnianym stylu autora, prześnym humorku i wszechogarniającej infantylizacji.

Po co zabrano się do tego truchła z zamierzchłej, zdawałoby się, epoki? Po cichu liczono zapewne na przywiązanie dzisiejszych seniorów do lektur i filmów z lat szczenięcych, ale to byłby za słaby argument. Widzowie przywiązali się przecież do odtwarzającego tytułową rolę samego Stanisława Mikulskiego, a pewnie i do autentycznie śmiesznego Michała Szewczyka i urodziwej, młodej Ewy Szykulskiej. Postanowiono więc wywrócić wszystko do góry nogami, by zdobyć nowego widza, który najprawdopodobniej nie wie nic albo bardzo mało, i o pisującym wredne teksty o Żołnierzach Wyklętych autorze, wymachującym na przemian legitymacjami ZLP, PZPR i ORMO, i o realiach życia w Polsce Ludowej. Stworzono tedy polskiego – to nie żart – Indianę Jonesa, wyposażając go nawet w pewne cechy i atrybuty Bonda.

W buty Stanisława Mikulskiego wszedł Mateusz Janicki. Przystojny mężczyzna, nie powiem, kojarzący się jednak bardziej z doktorem Wilczewskim z „Na dobre i na złe" niż z awanturniczymi bohaterami światowych superprodukcji. Nieporozumienie jest jednak głębsze. O ile PRL-owski Pan Samochodzik był zwykłym człowiekiem, wyróżniającym się jedynie dobrym wychowaniem i zacięciem pedagogicznym (kłania się wujek Dobra Rada), no i oczywiście wyjątkowym samochodem amfibią, o tyle ten sam podobno bohater w reżyserskiej wizji Antoniego Nykowskiego robi za herosa. I to wychodzi aktorowi – którego darzę szczerą sympatię za wiele ról, w tym całkiem udanie zagranego Stanisława Marusarza – tak jak tego się można było spodziewać po fatalnym scenariuszu, marnie. Filmowe dzieci recytują księżycowe dialogi, wytrawni aktorzy (Anna Dymna, Ewa Błaszczyk) męczą się, a Jacek Beler jako demoniczny Adios wzbudza litość.

W sumie wcześniej był Samochodzik, teraz Pan Samochodzik, a tak czy siak wychodzi z tego Towariszcz Awtomaszina. Ni to jedzie, ni to się toczy, czasem postoi, ludzie się pośmieją, popukają w czoło, co bardziej nerwowi zaklną. Oczywiście zawsze zdarzy się jakiś Varga, który rzecz potraktuje z powagą i doszukiwać się będzie w podobnych bzdetach drugiego dna, by z przejęciem głębokie swoje przemyślenia opublikować w takim np. „Newsweeku", z tego rodzaju analiz słynącym. Podejrzewałem zresztą od dawna, dziwiąc się nostalgicznym westchnieniom wcale licznych miłośników „Panów Samochodzików", że swoją edukację literacką zaczęli oni i skończyli na „Klubie Siedmiu Przygód". Owszem, była to udana seria dla młodzieży, ale – o ile mi wiadomo – nie weszła nie tylko do światowego, lecz także polskiego kanonu literatury.

À propos… ze świeżo wydanej książki Jarosława Molendy „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika" dowiedziałem się, że autor tego zapoznanego arcydzieła miał być nominowany do… Nagrody Nobla. Tak przynajmniej donosił niegdyś na pierwszej stronie „Dziennik Pojezierza" wraz z innym newsem, że inna powieść pisarza zamieszkałego po rozlicznych życiowych przejściach w Jerzwałdzie na Mazurach, a mianowicie „Raz w roku w Skiroławkach" zostanie zekranizowana. W 1983 r. powieść tę, choć postponowaną przez krytyków, naród kupował spod lady, fama głosiła bowiem, że rzecz jest nawet nie pikantna, ale wręcz pornograficzna. W rzeczywistości od pornografii była dość daleka, choć jej autor erotomanem był co się zowie i dał w „Skiroławkach" upust swym namiętnościom.

Powieść, po licznych dodrukach i kolejnych edycjach, osiągnęła milionowy (!) nakład, a działo się to w czasach, gdy papier był ściśle limitowany. Działała jednak magia legitymacji pisarza, poparcie stanu wojennego i aktywność w PRON. Film jednak według „Skirolawek" nie powstał, podpowiadam więc specom z Netflixa, by szybko nadrobili tę zaległość. W końcu Blanka Lipińska przetarła szlaki. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

O polskiej polityce wschodniej

Jan Parys

Wojna na Ukrainie zmieniła sytuację międzynarodową Polski. Warto postawić sobie w tej sytuacji kilka istotnych pytań

JAKA jest perspektywa dla naszych relacji z Ukrainą?

Dotychczas mieliśmy dwóch silnych i aktywnych sąsiadów, tj. Niemcy oraz Rosję. Ukraina była państwem w stanie międzynarodowej pasywności, tj. zajmowała się głównie swoimi problemami wewnętrznymi. Teraz z powodu wojny jej pozycja urosła, a politycy ukraińscy znaleźli się w centrum wydarzeń. Zatem mamy do czynienia z nową sytuacją, bo wokół nas pojawił się trzeci silny gracz dyplomatyczny.

Powstaje pytanie, jaką drogą pójdzie dyplomacja ukraińska po wojnie. Mam wrażenie, że linia prorosyjska, którą nazwę umownie programem Chmielnickiego, ze względu na rosyjską agresję na Ukrainie jest na kilka pokoleń w Kijowie wykluczona. Co zamiast tego? Czy Ukraina kuszona pieniędzmi przez Berlin pójdzie programem Bandery, tj. sojuszu z Niemcami przeciwko Polsce? Uważam, że wtedy politycy w Kijowie szybko przekonają się, że Berlin traktuje ich jedynie jako narzędzie do rozbijania i uzależniania regionu. Dla Niemiec Rosja była i zawsze będzie ważniejsza niż Ukraina. Kiedy Ukraińcy to zrozumieją, może pójdą drogą Petlury, tj. na sojusz z Polską, po to, by poprzez umocnienie regionu wpływać razem z Warszawą na politykę europejską i bronić wspólnych interesów? My musimy być elastyczni i czekać aż Ukraińcy dojrzeją do racjonalnej polityki zagranicznej. Jak dotychczas racjonalnej dyplomacji po stronie ukraińskiej nie widzę.

JAK na nasze zbliżenie z Ukrainą będzie reagowała Rosja?

Rozwój naszej kooperacji z Ukrainą jest wbrew interesom Rosji i nie będzie w Moskwie pozytywnie postrzegany. Rosja chciałaby, aby kraje leżące na zachód od niej były podzielone, a najlepiej skłócone. My dzięki udziałowi w NATO możemy sami swobodnie wybierać partnerów do współpracy na Wschodzie, kierując się naszą racją stanu. Jeżeli dojdzie do nowych form współpracy z Ukrainą, np. poprzez podpisanie nowego traktatu na wzór np. traktatu kwirynalskiego, tj. włosko-francuskiego, to będzie to ważny krok geopolityczny. Uważam, że wszystkie kraje na Wschodzie są dla nas ważne, bo trudno lekceważyć któregoś z sąsiadów.

JAKA powinna być nasza polityka wobec innych państw na Wschodzie?

Nie można budować relacji z kimkolwiek kosztem innych państw, bo jest to bardzo krótkowzroczne. Rosja jest sąsiadem największym i najgroźniejszym, a więc bardzo ważnym. Na poprawę relacji z Rosją musimy poczekać, aż zakończy się rosyjska agresja na Ukrainę. Polityka Polski wobec Rosji wynika z naszej pozycji w NATO. Nie dlatego, że NATO nam coś narzuca, ale dlatego, że udział w sojuszu sprawia, iż nie jesteśmy wobec Rosji osamotnieni, stoi za nami sojusz. Zatem przewaga militarna Rosji nad Polską nie musi nas denerwować, bo istnieje przewaga sojuszu nad potencjałem Rosji. Białoruś to kandydat do kooperacji. Sądzę, że kraj ten odzyska szansę na samodzielną politykę, dopiero kiedy upadnie reżim Putina.

CZY możemy kształtować politykę wschodnią, opierając się na doświadczeniach z okresu II RP?

Dziś sytuacja jest inna niż po pierwszej lub po drugiej wojnie światowej. Nie da się powtarzać dawnych rozwiązań z czasów II RP czy realizować postulatów Jerzego Giedroycia, bo dziś mamy inną sytuację. Z racji położenia i potencjału Polska może skupiać wokół siebie państwa regionu, bo w ten sposób łatwiej bronić wspólnych interesów. Te interesy regionu trzeba definiować w bardzo subtelny sposób. Dobry kompromis nie polega na tym, że każdy ustępuje i traci, lecz na tym, by z kompromisu każdy kraj miał korzyści. Tu trzeba wykazać dużo cierpliwości, bo zawsze ktoś będzie grymasił. Zatem kooperacja regionalna to nie jest prosta

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. ADOBE STOCK

droga do celu. Nasze zdolności do integracji regionu zależą także od wsparcia USA. Ten kraj ma interes, by w Europie wschodniej był silny blok proamerykański, a innego lidera niż Polska dla takiego bloku nie ma.

***KIEDY** jest szansa na demokratyzację w Rosji?*

Demokratyzacja republik postsowieckich jest nadzieją państw zachodnich. Lecz tak naprawdę nie mamy wpływu na przebieg tego procesu. Wszystko zależy od rozwoju sytuacji w Rosji. Trudno liczyć na to, że w Moskwie tak po prostu dzięki wyborom do władzy dojdzie demokrata, który sam zainicjuje proces odchodzenia od dyktatury. W Rosji do zmian politycznych dochodzi, kiedy jest załamanie gospodarcze lub kryzys wywołany wojną. Wojnę, która osłabia Rosję, już mamy. Jest więc szansa na zmiany polityczne. Zatem kiedy wśród elity politycznej, wojskowej i ekonomicznej upowszechni się świadomość klęski militarnej i gospodarczej, mogą zacząć się zmiany polityczne w Rosji.

Głównym problemem w Rosji jest społeczeństwo, które ma ambicje imperialne i takiej agresywnej polityki oczekuje od przywódców. Dla Zachodu, w tym dla Polski, najważniejsze jest, by Rosja skończyła z imperializmem. USA podczas wojny rosyjsko-ukraińskiej nie idzie tylko o wygraną Ukrainy, ale przede wszystkim o osłabienie Rosji. Dzięki temu Rosja na kilka lat straci możliwość ponownej agresji, bo będzie potrzebowała czasu, by odbudować potencjał militarny zniszczony podczas obecnej wojny. Zachód ma nadzieję, że w Rosji elita polityczna zacznie racjonalnie myśleć. Skoro ich państwo zaliczyło wojenne fiasko na Ukrainie, to racjonalnie myśląca elita nieprędko rozpocznie nową wojnę, a może nawet skoncentruje się na kwestiach wewnętrznych.

***CZY** mamy jakieś sukcesy w polityce wschodniej?*

Koncepcja Trójmorza i pomoc udzielona Ukrainie przez USA wspólnie z RP w obliczu agresji rosyjskiej to dowody na naszą aktywną rolę i sukcesy na Wschodzie. Nie należy zapominać, że właściwie cała Europa poza Polską i krajami bałtyckimi zwlekała z udzielaniem pomocy Ukrainie i to my przełamywaliśmy mur pasywności i lęku w Europie w tym względzie. Nasza aktywność została zauważona. Umocniliśmy swoją pozycję nie tylko przyjmując uchodźców wojennych, lecz także właśnie dzięki aktywnej roli jako sojusznik Ukrainy. Zatem pokazaliśmy, że nasze państwo ma zdolność sprawczą na Wschodzie. Potrafimy nie tylko mówić, lecz także realnie coś zrobić. Trzysta czołgów przekazanych Ukrainie to naprawdę dużo, zwłaszcza że daliśmy je szybko. Dziś trzeba czekać, chyba do zakończenia wojny, aż Ukraina dokona wyboru, z kim buduje sojusze. Uważam, że politycy w Kijowie szybko przekonają się, że państwa starej Europy traktują ją raczej egoistycznie i instrumentalnie, zatem tylko w regionie ma realnych sojuszników, tylko z nimi ma wspólne interesy.

***JAK** można określić cele państw zachodnich na Wschodzie?*

Zachód chce spokoju oraz ekspansji gospodarczej bez ponoszenia kosztów geopolitycznych. Wiadomo, że formalnoprawna integracja Ukrainy z Zachodem utrudnia zawarcie pokoju po wojnie, a także utrudnia relacje z Rosją. Stąd jest duży opór na Zachodzie przed włączaniem Ukrainy do zachodnich struktur, tj. do UE i do NATO. Moim zdaniem tylko werbalnie Ukraina jest zapraszana do pełnej integracji.

***KU CZEMU** idą kraje wschodnie?*

Sojusze gospodarcze i polityczne zawierane z państwami na Wschodzie nie mogą prowadzić do westernizacji, czyli narzucania zachodniego systemu wartości. Każdy naród po prostu chce być sobą. Trzeba odróżnić przestrzeganie prawa międzynarodowego od narzucania wartości i ingerowania w sprawy wewnętrzne. Warunkiem skutecznych sojuszy jest bezwzględne poszanowanie „Konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych", która wyklucza ingerowanie przez dyplomatów w politykę wewnętrzną. Celem każdego państwa jest obrona suwerenności kraju i wolności w sprawach wewnętrznych, tak, by obywatele sami decydowali o sobie. Niestety, na to nie ma zgody w elitach amerykańskich i brukselskich. Jedni chcą świat westernizować, a drudzy chcą go unifikować. USA uważają, że mają misję, by krzewić swój model demokracji, prawa oraz liberalizm polityczny i gospodarczy. Zwolennicy UE chcą centralizacji władzy w Unii, a im większa centralizacja decyzji, tym mniej demokracji. Zobaczymy, czy i które kraje z dawnej rosyjskiej strefy wpływów ulegną tym brutalnym naciskom, a które obronią swą wolność przed walcem uniwersalizmu, który idzie z Zachodu na Wschód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor w latach 1991–1992 był ministrem obrony narodowej.

eprasa.pl 68bd3b792c

Mądrość etapu

Łukasz Warzecha

Niedawno PiS rywalizował z PO o to, kto nie będzie uznawany za rusofoba. Dziś rusofobia jest wręcz doktryną polityki zagranicznej

Panie i Panowie, przyjaciele Rosjanie! [...] Wiem, że w ziemi rosyjskiej leżą miliony ofiar stalinowskiego terroru. Rosjan, przedstawicieli innych narodów. Wiem, że stalinizm i ostateczne rozliczenie stalinizmu jest problemem obydwu naszych narodów. Wiem jednocześnie, że nowe można budować tylko w oparciu o prawdę. Że musimy tę prawdę poznać nawet wtedy, jeżeli jest ona bardzo bolesna. Polacy pamiętają ciosy i kule zbrodniarzy z NKWD. Ale pamiętają także, że w tym strasznym czasie od bardzo wielu Rosjan spotykała ich pomoc. Pamiętają, że wielu Rosjan potrafiło podzielić się tym, co mieli, choć mieli bardzo, bardzo niewiele [...]. 10 kwietnia tego roku doszło do wielkiej tragedii. Odruch współczucia i sympatii milionów Rosjan został przez Polaków dostrzeżony. Został dostrzeżony i doceniony. Dziękujemy za każdą łzę, za każdy zapalony znicz, za każde wzruszające słowo".

Z tej wypowiedzi celowo usunąłem fragmenty, które mogłyby identyfikować jej autora. Proszę więc teraz przez chwilę zastanowić się, czyje to słowa. Czy może wygłosił je ktoś z otoczenia Donalda Tuska? A może sam Tusk, napiętnowany bezwzględnie przez autorów serialu „Reset"? Jak państwo sądzą – kto w tak wzruszającym tonie mógł przemawiać do „przyjaciół Rosjan"?

Uwaga, odpowiadam: to Jarosław Kaczyński w wystąpieniu nagranym z okazji 9 maja 2010 r., na rosyjski dzień zwycięstwa i zakończenia wielkiej wojny ojczyźnianej. W usuniętych przeze mnie fragmentach prezes PiS, a wówczas przywódca największej partii opozycyjnej, mówił, że na trybunie w Moskwie miał stać jego brat, prezydent Lech Kaczyński, który miesiąc wcześniej zginął w katastrofie lotniczej. Do tego jeszcze wrócimy.

DO „PRZYJACIÓŁ ROSJAN"

Odmalujmy na razie kontekst tego wystąpienia, które kierownictwo Zjednoczonej Prawicy chciałoby zapewne wymazać i skasować. Nie chodzi jedynie o to, że ten przekaz nagrano niespełna miesiąc po katastrofie pod Smoleńskiem i śmierci 96 pasażerów prezydenckiego tupolewa, choć już samo to byłoby wystarczająco zaskakujące. 7 sierpnia 2008 r., czyli niespełna dwa lata wcześniej, rosyjskie wojska zaatakowały Gruzję. 12 sierpnia do Tbilisi przylecieli przywódcy Polski – Lech Kaczyński, Litwy – Valdas Adamkus, Łotwy – Ivars Godmanis (premier), Estonii – Toomas Hendrik Ilves oraz Ukrainy – Wiktor Juszczenko. To wtedy właśnie Lech Kaczyński wygłosił słynne przemówienie, na które niezliczoną liczbę razy przy okazji wojny ukraińsko-rosyjskiej, tej obecnej, powoływali się jego brat oraz inni politycy PiS.

Mało tego: dziś wielu może już nie pamiętać, ale film z nagraniem przesłania Jarosława Kaczyńskiego „Do przyjaciół Rosjan" miał też bardzo bieżący kontekst wewnętrzny. Prezes PiS kandydował wtedy w przyspieszonych z konieczności wyborach prezydenckich, w których starł się z Bronisławem Komorowskim, i nagranie było częścią jego kampanii wyborczej.

Brzmi to z dzisiejszego punktu widzenia wręcz szokująco. Przecież to samo ugrupowanie jest obecnie zwolennikiem rusofobii, podniesionej właściwie do rangi oficjalnej doktryny państwowej. Tu trzeba dokładnie zdefiniować pojęcie rusofobii. Czymś zasadniczo innym jest bowiem traktowanie jako wroga państwa rosyjskiego – i tym niewątpliwie Moskwa dla Polski jest – a czymś innym traktowanie a priori wszystkich Rosjan jako wrogów na zasadach odpowiedzialności zbiorowej. Takie właśnie ich traktowanie jest obecnie w Polsce uznawane za oczywiste. Sekowanie rosyjskich klasyków muzyki czy literatury, doprowadzone do kompletnej paranoi, niewydawanie Rosjanom wiz – wbrew pragmatycznej ocenie, że powinno nam zależeć na jak największej emigracji z Rosji – to wszystko są skutki działań obecnej władzy.

Można zadać sobie pytanie, czym różni się sytuacja po drugim ataku rosyjskim na Ukrainę od tej po ataku na Gruzję. Ja takiej różnicy nie dostrzegam. Nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego w maju 2010 r. Jarosław Kaczyński wygłaszał pod adresem Rosjan pojednawcze adresy, a w 2022 r. wszyscy Rosjanie – podkreślmy: Rosjanie, nie mylić z rosyjskim państwem – a priori zostali uznani za wrogów.

To jednak nie koniec. W swoim wystąpieniu Jarosław Kaczyński wspomina

eprasa.pl 68bd3b792c

w sprawie Rosji

FOT. ADOBE STOCK

o tym, że na trybunie w Moskwie miał stać jego brat. O tym również mało kto pamięta, ale taki był plan: prezydent Lech Kaczyński miał 9 maja lecieć do Moskwy.

W 2010 r. PiS ścigał się w polityce o to, kto okaże się wobec Rosji pragmatyczniejszy

Jest 8 kwietnia 2010 r. Gościem Konrada Piaseckiego, wówczas w RMF, jest szef Kancelarii Prezydenta Władysław Stasiak, który dwa dni później także zginie w katastrofie smoleńskiej. Dzień przed tym wywiadem w Katyniu był premier Donald Tusk wraz z Władimirem Putinem, wówczas premierem Rosji (na stanowisko prezydenta wrócił w 2012 r.).

Oto co mówił wówczas szef rosyjskiego rządu: „Zebraliśmy się tutaj w związku ze wspólną pamięcią i wstydem. Chylimy czoła przed tymi, którzy mężnie przyjęli tutaj śmierć, [...] kogo nie doczekały matki, rodziny […]. W tej ziemi leżą obywatele sowieccy, którzy spłonęli w ogniu stalinowskich represji lat 30., polscy oficerowie rozstrzelani z tajnego rozkazu, żołnierze Armii Czerwonej unicestwieni przez nazistów w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej. Katyń na zawsze związał ich losy. Tutaj jak brat z bratem, we wspólnej mogile, osiągnęli wieczny spokój, ale nie niepamięć […]. Polsce i Rosji, jak żadnym innym krajom Europy, trafiło się przeżyć praktycznie wszystkie tragedie XX wieku, zapłacić bardzo wysoką cenę za dwie wojny światowe […]. Przed tymi grobami, przed ludźmi, którzy przyszli tutaj uczcić pamięć swoich bliskich, można byłoby powiedzieć: zapomnijmy o wszystkim, ale to byłoby dwulicowe. Jesteśmy zobowiązani, żeby zachować pamięć o przeszłości, i będziemy to robić, niezależnie jak gorzka jest prawda".

Premier Rosji powiedział też, że „te przestępstwa nie mogą być w żaden sposób usprawiedliwione". Była to dość daleko idąca wypowiedź – dziś brzmiąca wręcz jak z innej rzeczywistości. PiS miał z nią wtedy problem, ponieważ słowa Putina były przez niektórych interpretowane jako „prezent" dla premiera Tuska, który miałby dowodzić skuteczności i sensowności prowadzonej od 2007 r. przez rząd PO polityki odprężenia w relacjach z Rosją, która nie przynosiła jednak żadnych wymiernych rezultatów. W tym właśnie kontekście należy czytać niepojęte wręcz z dzisiejszego punktu widzenia poczynania Prawa i Sprawiedliwości. PiS nie chciał po prostu być widziany jako partia antyrosyjska. Tak jak dzisiaj trwa rywalizacja o to, kto będzie bardziej wrogiem Rosji, tak wówczas – nawet bezpośrednio po katastrofie smoleńskiej – ścigano się w zgoła przeciwnym kierunku: kto okaże się wobec Rosji i Rosjan pragmatyczniejszy i bardziej zdolny do nawiązania z Moskwą normalnej relacji.

Wróćmy do wywiadu ministra Stasiaka w RMF. Szef Kancelarii Prezydenta mówił: „Jak powiadam, dobrze, że pan premier Putin się zjawił w Katyniu, natomiast widzimy też, że jest wielka droga przed nami. To się nazywa drogą pojednania, tylko że na drodze pojednania muszą być czytelne, bardzo mocno widoczne znaki – znaki, czyli np. otwarcie archiwów, czyli np. odtajnienie materiałów z umorzonego śledztwa… […]. Myślę sobie tak, że jeśli mamy postępować na tej drodze, to one muszą się pojawić. Nic innego jak tylko rzeczywistość weryfikuje to, czy idziemy w dobrą stronę czy nie. To się okaże bardzo wkrótce".

„A z takim Putinem i z taką Rosją warto świętować w Moskwie 9 maja?" – pytał Konrad Piasecki.

„Myślę, że warto. Skoro będą przedstawiciele całej koalicji antyhitlerowskiej, skoro będzie można – i to jest właściwie clou sprawy – zaznaczyć olbrzymi wkład Polski w zwycięstwo, w wojnę… wielkość polskiej ofiary; i chociażby to, że będą jednostki, będzie odział Polskich Sił Zbrojnych, których nie było w 2005 roku… Jeżeli nasz udział będzie adekwatny do innych członków koalicji antyhitlerowskiej – myślę, że warto […]. Prezydent chciałby pojechać – ale dokładnie w tym duchu, o którym mówię teraz – chciałby pojechać do Moskwy, natomiast jeśli będzie to zorganizowane

eprasa.pl 68bd3b792c

odpowiednio, zorganizowane należycie i Polska – nie prezydent czy taka czy inna osoba, ale Polska – będzie należycie reprezentowana w taki sposób, żeby nasz wkład w drugą wojnę światową był należycie, czyli godnie wyrażony" – odpowiadał Stasiak.

Podkreślić trzeba, że mówiąc w imieniu głowy państwa, minister Stasiak odnosił się już wprost do putinowskiej Rosji i samego Putina, a nie do Rosjan w ogóle. Mówił, że warto świętować z Putinem. Tym samym Putinem, który dwa lata wcześniej napadł na Gruzję.

„DAJMY IM SZANSĘ"

Skoro jednak mowa o zadziwiających meandrach polityki wobec Rosji, to nie sposób nie wspomnieć o drugiej stronie tej zabawy, czyli Platformie Obywatelskiej. Wygłaszając swoje exposé w 2007 r., nowy minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski stwierdzał, że relacje z Rosją powinny być ustalane na szczeblu UE, i deklarował: „Przesłanie, jakie płynie do Rosji, sprowadza się do pokazania jej, że Unia Europejska, i w ogóle świat zachodni, chce z nią współpracować, ale chce współpracować bez jednostronnego przypisywania sobie szczególnych praw. My, Polacy, podobnie jak inni członkowie Unii Europejskiej, uważamy, że zaufanie obu stron tej współpracy wzrosłoby, gdyby opierało się na wspólnie respektowanych wartościach. Skoro jednak Rosja upiera się przy swoim systemie wartości, zasadzającym się na własnych tradycjach i kodach kulturowych, wobec tego oparcie współpracy unijno-rosyjskiej na uzgodnionych »regułach gry« musi nam wystarczyć. Do tego przekazu odwoływało się stwierdzenie premiera Donalda Tuska – w duchu realizmu, w miejsce nieskutecznego nieprzejednania – że: »będziemy współpracować z Rosją taką, jaką ona jest«. Polsko-rosyjskie mechanizmy współpracy i dialogu, takie jak Komitet Strategii Współpracy, Forum Dialogu Europejskiego i Grupa do Spraw Trudnych, są gotowe, przynajmniej po polskiej stronie. Dajmy im szansę".

Mówiąc o „nieskutecznym nieprzejednaniu", robił Sikorski oczywiście aluzję do polityki prowadzonej wcześniej przez trochę ponad dwa lata przez rząd PiS. Jednak nie miał racji. Cofnijmy się do roku 2006. Ministrem spraw zagranicznych w rządzie PiS jest Anna Fotyga, a jej gościem w Warszawie jest nie kto inny, jak Siergiej Ławrow. Po powrocie z Warszawy szef rosyjskiego MSZ deklarował, że „Polska będzie brała pod uwagę interesy Rosji przy rozpatrywaniu problemu rozmieszczenia elementów amerykańskiego systemu obrony antyrakietowej na swoim terytorium". Ławrow spotkał się wtedy z premierem Jarosławem Kaczyńskim, który wyraził nadzieję, że wizyta przyniesie „choćby małe, ale dobre dla poprawy naszych wzajemnych relacji" skutki.

Wróćmy do Sikorskiego i spójrzmy na exposé wygłoszone w 2009 r., a zatem już po inwazji Rosji na Gruzję. Minister Sikorski mówił wtedy: „Rosja jest strategicznym partnerem Unii Europejskiej. Mamy świadomość, że możliwości budowania wzajemnych relacji z Rosją na fundamencie wspólnych wartości są dzisiaj ograniczone. Proponujemy więc, aby ustalić przejrzyste zasady współpracy, „reguły gry", na jakich będą się te stosunki opierały, bez rozchwiania istniejącej architektury instytucjonalnej w strefie europejskiej i euroatlantyckiej. Chcemy zawarcia nowego, zgodnego z naszymi interesami, porozumienia o partnerstwie i współpracy pomiędzy Unią Europejską i Rosją […]. Powszechnie uważa się, szczególnie w Europie Zachodniej, że Europa potrzebuje Rosji, i to prawda. My uważamy, że Rosja jeszcze bardziej potrzebuje Europy".

Rosja się nie zmieniła. Zmieniła się natomiast mądrość etapu naszej politycznej elity

W gruncie rzeczy nie ma tu wielkiej różnicy w stosunku do wystąpienia wygłoszonego dwa lata wcześniej. Tak jakby tematu Gruzji w zasadzie nie było. Dodatkowym smaczkiem jest, że wystąpienie Sikorskiego krytykował wtedy jego dzisiejszy kolega partyjny Paweł Kowal – w tamtym czasie w PiS. Mówił: „Nigdy nie zrozumiem, dlaczego pan minister uważa relacje z Rosją za sukces. Toczy się przecież wokół tych relacji być może najważniejszy spór o miejsce Polski w Europie. Kilka dni temu odbyła się bardzo specyficzna rozmowa ministra spraw zagranicznych Czech z ministrem Ławrowem, podczas której minister Ławrow przekonywał publicznie ministra spraw zagranicznych Czech, że Polska i Czechy nie leżą w Europie Środkowej, tylko w Europie Wschodniej".

Podczas rządów Radosława Sikorskiego w gmachu przy alei Szucha minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Siergiej Ławrow gościł w Polsce czterokrotnie.

Po napaści Rosji na Ukrainę w 2014 r. relacje polsko-rosyjskie nie były kordialne, ale też nie jednoznacznie wrogie. W styczniu 2016 r. swoje pierwsze exposé wygłosił nowy szef MSZ Witold Waszczykowski. Ton wobec Rosji był znacznie bardziej sceptyczny niż w przypadku Sikorskiego, ale daleki od tego, co słyszymy dzisiaj. Przypomnijmy: rzecz dzieje się niespełna dwa lata po inwazji na Krym i Donbas. Waszczykowski powiedział: „W interesie Polski i Europy leżą pragmatyczne i rzeczowe stosunki z Federacją Rosyjską. Nie jest to łatwe zadanie, zważywszy na odmienność podejścia do stosunków międzynarodowych, które nasi sąsiedzi traktują nie jako sferę współpracy, ale jako sferę geopolitycznej rywalizacji, w której uprawnione jest stosowanie siły, jeśli zawodzą metody polityczne. Uważamy jednak, podobnie jak nasi zachodni partnerzy, że nawet w tych warunkach utrzymanie otwartych kanałów komunikacji z Moskwą leży w naszym interesie […]. Z myślą o Rosji powtórzę słowa Prezydenta Andrzeja Dudy: »Polska nie ma odwiecznych wrogów«. Mimo trudnej historii udało się nam zbudować »relacje przyjaźni« z Niemcami. W Polsce wielu wierzy i liczy, że podobny proces jest możliwy w relacjach z Rosją".

Dzisiaj obie strony rywalizacji o to, kto będzie bardziej antyrosyjski, udają, że wszystko to się nie wydarzyło. Dlatego właśnie trzeba tamte wystąpienia przypominać włącznie z ich kontekstem. Rosja się nie zmieniła – jest tak samo niebezpieczna i skrajnie pragmatyczna jak była w latach 2006, 2008, 2010, 2016. Zmieniła się natomiast mądrość etapu naszej politycznej elity.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

Czas na patriotów w polskiej dyplomacji

Bogusław Rogalski

Jeszcze jest czas na sanację polityki polonijnej, zanim kresowa polskość zostanie zniszczona przez jej wrogów. Dobrym zwiastunem zmian jest powołanie na ambasadora na Litwie Konstantego Radziwiłła

W maju ulicami Wilna jak co roku przeszła wspaniała Parada Polskości. Od placu przed litewskim parlamentem aż do Ostrej Bramy, gdzie przed symbolicznym dla każdego Polaka Obliczem Matki Bożej odprawiono uroczystą Mszę św. za ojczyznę, ciągnęła się biało-czerwona serpentyna flag. W morzu idących ulicami ponad 10 tys. patriotów z Wileńszczyzny, których prowadził prezes Związku Polaków na Litwie – europoseł Waldemar Tomaszewski, szli goście honorowi z macierzy i przedstawiciele Polonii z całego świata, w tym nowy ambasador RP na Litwie Konstanty Radziwiłł, marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik, wiceminister rolnictwa ze Zjednoczonej Prawicy Janusz Kowalski, senatorowie i posłowie RP. Wśród nich byłem i ja, dumny jak wszyscy tego dnia z bycia Polakiem, bo polskie serce wciąż bije mocno na Wileńszczyźnie.

Wileńska Parada Polskości była kolejnym wielkim sukcesem polskich organizacji na Litwie, przede wszystkim ZPL, AWPL-ZChR i Macierzy Szkolnej. Nie wszystkim jednak sukces Polaków odpowiada, są tacy, którzy kresową polskość haniebnie zwalczają. W czyim interesie? Na pewno nie polskim.

WSPÓLNA SPRAWA, ALE NIE DLA WSZYSTKICH

Jak wielkie znaczenie dla polskości mają Wilno i Wileńszczyzna, nie trzeba nikomu tłumaczyć. Cała historia Polski najlepiej to pokazuje. Polacy na Litwie, pomimo zdrady jałtańskiej, pomimo czasu sowietyzacji i nieustannej dyskryminacji ze strony litewskich władz, trwają mocno przy polskości, bronią swoich praw, walczą o polskie szkolnictwo, polską kulturę, język i wiarę ojców. I robią to z sukcesem. A wszystko dzięki własnej determinacji i znakomitej samoorganizacji, która jest swoistym fenomenem, ponieważ żadna polska wspólnota na całym świecie nie może poszczycić się tak dużymi osiągnięciami. Tyle że ten wielki polski patriotyzm Wilniuków przeszkadza wielu. O ile nie dziwią ciągłe ataki mediów i polityków litewskich, którzy swoją państwowość zasadzili na antypolskim micie, a ze zwalczania Polaków uczynili wręcz doktrynę, o tyle dziwi i niepokoi to, że z kresową polskością, ramię w ramię z litewskimi nacjonalistami, walczą różnej maści polscy urzędnicy rozsiani w dyplomacji, ambasadzie czy fundacjach. Ich obowiązkiem powinno być bowiem wzmacnianie, a nie osłabianie polskiej tożsamości, wzmacnianie, a nie rozbijanie oficjalnych polskich organizacji reprezentujących Polaków na Wileńszczyźnie. Owszem, są wyjątki potwierdzające regułę, to te osoby, które rozumieją i znają wielką wartość, którą jest kresowa polskość. Tyle że najczęściej to nie one podejmują decyzje. O czym piszę?

„POLSKOŚĆ" JAKO COŚ ZŁEGO

W osłupienie wprowadziła mnie korespondencja, którą prowadziłem w sprawie użycia podczas drugiej tury niedawnych wyborów samorządowych uzbrojonych żołnierzy litewskich przed lokalami wyborczymi w rejonie wileńskim, w celu zastraszenia wyborców narodowości polskiej. W konsekwencji tych działań oraz fałszerstw wyborczych kandydat reprezentujący polską partię na Litwie nie został merem tego rejonu. Oficjalny protest w tej sprawie złożyli akredytowani obserwatorzy tych wyborów – europoseł Patryk Jaki i poseł na Sejm Mieczysław Baszko. Ich raport opisujący nieprawidłowości wyborcze i działania dyskryminacyjne wobec polskiej mniejszości narodowej na Litwie wysłałem m.in. do MSZ i polskiej ambasady w Wilnie, którą kierowała wówczas Urszula Doroszewska. Ani MSZ, ani ambasada nie zareagowały na skandaliczne antypolskie działania Litwinów. Wkrótce okazało się dlaczego. Zadziałał „układ" niszczący od lat polskość na Kresach. Jedynie życzliwa Polakom na Litwie konsul z ambasady w Wilnie, pani Irmina Szmalec, okazała zatroskanie całą sprawą, napisała mi o rzeczy, która wprowadziła mnie w osłupienie.

eprasa.pl 68bd3b792c

„Bardzo przykro to czytać. Z mojej strony staram się wspierać Polaków. Pion polityczny przygotowuje materiał o zmierzchu AWPL po przegranych wyborach. Kolejni politycy będą kierowali się tymi wytycznymi. Także sama Polska wykańcza AWPL na polecenie Litwinów, bo polskość jako program polityczny jest czymś złym i należy to zwalczać" – napisała pani konsul.

Treść tej korespondencji potwierdziła wcześniejsze podejrzenia, że polska dyplomacja w sprawach kresowych zaczadzona jest anachroniczną i szkodliwą dla Polski i polskości doktryną Giedroycia, która mówi o tym, że kresowa polskość jest rzekomo przeszkodą w budowaniu dobrych relacji z państwami, które powstały po rozpadzie Związku Sowieckiego. Ta doktryna jest grabarzem polskich Kresów. A jej „wyznawcy" są wychowankami szkoły geremkowskiej w polskiej dyplomacji. To pełen uprzedzeń do silnej polskości Bronisław Geremek rozpoczął proces destabilizacji Polonii i Polaków za granicą. Jak widać, jego ideowi uczniowie mają się całkiem dobrze i jego poglądy wcielają w życie od dawna, ze szkodą dla Polski i polskości oczywiście.

Parada Polskości na ulicach Wilna, 6 maja 2023 r.
FOT. VALDEMAR DOVEIKO/PAP

Polscy patrioci byli i są atakowani, a polskie organizacje polonijne destabilizowane. Przekonał się kiedyś o tym bardzo boleśnie lider KPA Edward Moskal czy lider USOPAŁ Jan Kobylański, przekonali się o tym także na własnej skórze Polacy na Białorusi, przekonują się o tym teraz atakowani Polacy na Litwie i ich lider Waldemar Tomaszewski. To, co jest najbardziej bulwersujące w kontekście Polaków na Wileńszczyźnie, to to, że dzieje się tak „na polecenie Litwinów". Takie działania przeciwko własnym rodakom noszą znamiona zdrady polskiej racji stanu. Jeśli bowiem poprzedni pion polityczny w ambasadzie uważał, że „polskość jako program polityczny jest czymś złym i należy to zwalczać", to jak inaczej można to nazwać?

Przykładów na to jest aż nadto. Choćby jedna z pierwszych wypowiedzi byłej już na szczęście ambasador na Litwie Urszuli Doroszewskiej, która chwaliła się przyjaźnią z największym polakożercą na Litwie Vytautasem Landsbergisem. Tym samym, który publicznie wzywał do „historycznego zwycięstwa nad Polakami", a na zakończenie kadencji otrzymał najwyższe odznaczenie dyplomacji... litewskiej (sic!).

Można też przypomnieć skandaliczną propozycję prezesa Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie Mikołaja Falkowskiego – aby na Litwie w przypadku polskiego szkolnictwa zastosować model łotewski, czyli – mówiąc w skrócie – naukę większej liczby przedmiotów w języku państwowym, czyli litewskim, zamiast polskim, co w oczywisty sposób przyspieszyłoby wynarodowienie polskich dzieci na Wileńszczyźnie. Falkowski wręcz wezwał litewskich Polaków, by porzucili „trwanie przy swoim". Jego zdaniem polskie szkolnictwo i Polacy na Wileńszczyźnie powinni „dostosować się do zmian", dając im za wzór liberalne koncepcje multikulturowe.

A jak rozumieć niekontrolowane finansowanie na dużą skalę mediów sprzyjających antypolskiej polityce asymilacji naszych rodaków i atakujących organizacje oraz ich liderów oficjalnie reprezentujących Polaków na Litwie, co robi choćby „Kurier Wileński", który de facto przejęła „Gazeta Polska" Tomasza Sakiewicza czy Radio Znad Wilii, którego właściciel widnieje na opublikowanej w litewskiej prasie liście byłych agentów KGB?

Odpowiedzi na te pytania powinien poszukać premier Mateusz Morawiecki, którego ostatnio również w haniebny sposób zaatakowano za przyznanie polskim patriotom z Litwy – Józefowi Kwiatkowskiemu, Stanisławowi Pieszce i Waldemarowi Tomaszewskiemu – Odznaki Honorowej za Zasługi dla Polonii i Polaków za Granicą. Ataku na premiera Polski Mateusza Morawieckiego dokonały środowiska w Polsce i na Litwie, których wspólnym mianownikiem jest niechęć do silnej polskości na Wileńszczyźnie.

ZA CO TE ATAKI

Państwo litewskie do dzisiaj nie wypełniło zapisów traktatu polsko-litewskiego w części dotyczącej polskiej mniejszości narodowej, nie przestrzega też Konwencji Ramowej Rady Europy o Ochronie Mniejszości Narodowych. Polacy są wciąż dyskryminowani, a za przywiązanie do polskości płacą wysoką cenę. Tylko dzięki własnej determinacji, wytrwałości, jedności i znakomitej samoorganizacji odnoszą

eprasa.pl 68bd3b792c

sukcesy wyborcze, wzmacniają polskość na Litwie i organizują patriotyczne wydarzenia, jak Parada Polskości w Wilnie, Festiwal Kultury Polskiej „Kwiaty Polskie" w Niemenczynie, Rodzinny Zlot Turystyczny ZPL i AWPL-ZChR w Bieliszkach, którymi pokazują swoją miłość do ojczyzny. Sukcesy Polaków na Litwie i ich polski patriotyzm są przyczyną ataków, których celem jest złamanie, zasymilowanie, wyrzucenie poza nawias litewskiej polityki i uczynienie z nich co najwyżej kulturowego skansenu. Ponieważ współpracującym ze sobą po obu stronach granicy grabarzom polskości to się nie udaje, ataki stają się bardziej perfidne, oszczercze i bezpardonowe.

Co jest solą w oku dla zwalczających polskość na Wileńszczyźnie? Po pierwsze, polski patriotyzm i wartości chrześcijańskie od 700 lat głęboko wrośnięte w ziemię wileńską i serca Wilniuków, które są przykładem do naśladowania dla Polaków na całym świecie.

Po drugie, sukcesy wyborcze Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin, które umacniają polską wspólnotę i skutecznie bronią praw Polaków na Wileńszczyźnie. AWPL-ZChR ma swoich przedstawicieli w Parlamencie Europejskim, Seimasie, w siedmiu samorządach, a to się wielu nie podoba. W ostatnich wyborach samorządowych, pomimo frontalnego ataku, polska partia umocniła swoją pozycję: w Wilnie powiększyła liczbę radnych z sześciu do siedmiu. Startujący na mera europoseł Waldemar Tomaszewski uzyskał 19 tys. głosów, czyli dwa razy więcej niż cztery lata temu kandydatka AWPL.

W rejonie wileńskim, gdzie mieszka 42 proc. Polaków, AWPL-ZChR uzyskała 49,5 proc. głosów i aż 60 proc. mandatów w radzie, czyli 18 na 31. Natomiast w rejonie solecznickim, w którym mieszka 78 proc. Polaków, zdobyła 80 proc. głosów, czyli 21 radnych z 25 (84 proc. mandatów).

Po trzecie, przyczyną ataków jest pryncypialna postawa AWPL-ZChR w sprawie lustracji na Litwie. Polska partia jako jedyna na litewskiej scenie politycznej konsekwentnie, w każdej kadencji Seimasu, domaga się ujawnienia wszystkich agentów i współpracowników sowieckiego KGB, aby oczyścić życie publiczne Litwy i uniemożliwić szantażowanie oraz wpływanie teczkami na funkcjonowanie państwa. Za składanie projektów ustaw w sprawie lustracji (ostatnio kolejny taki projekt złożyli posłowie z polskiej partii Rita Tamašunienė i Czesław Olszewski) AWPL-ZChR spotyka ciągły, wręcz wściekły atak ze strony litewskich polityków i mediów. Agentura wpływu broni w ten sposób swoich tajemnic, dlatego oczernia i atakuje polską partię na Litwie i jej działaczy w stylu KGB.

CZAS NA SANACJĘ

Kilka lat temu w Strasburgu byłem świadkiem rozmowy, a raczej opowiadania bredni przez dwóch urzędników polskiej dyplomacji – twierdzili, jakoby na Kresach nie było „prawdziwych Polaków", jakoby wszyscy „prawdziwi" rzekomo wyjechali w ramach fali tzw. repatriacji. To pogląd zupełnie fałszywy, ale jeśli jest wypowiadany przez dyplomatów, to mrozi krew w żyłach. Są to bowiem poglądy szkodliwe dla polskiej racji stanu i polskich interesów w kontekście prowadzenia skutecznej polityki wschodniej. Nie ma przecież lepszych ambasadorów polskości niż Polonia na świecie i Polacy na Kresach.

Skoro taki był pogląd dyplomatów, to nic dziwnego, że z takimi dyletanckimi poglądami urzędnicy w pionie politycznym ambasady w Wilnie, ulokowani w czasach urzędowania fatalnej dla Polaków poprzedniej ambasador Urszuli Doroszewskiej, przygotowują materiały przeciwko swoim rodakom „na polecenie Litwinów, bo polskość jako program polityczny jest czymś złym i należy to zwalczać".

Jeszcze jest czas na sanację polityki polonijnej, zanim kresowa polskość zostanie zniszczona przez jej wrogów. Potrzebne są dobre zmiany. Mam nadzieję, że pierwszym zwiastunem tego jest powołany niedawno nowy ambasador na Litwie Konstanty Radziwiłł, który w przeciwieństwie do poprzedniczki szczycącej się przyjaźnią z litewskimi „polakożercami" rozpoczął swoje urzędowanie od oczekiwanej od wielu lat przez Polaków na Wileńszczyźnie stanowczej ich obrony. W połowie lipca wystosował list do litewskiego ministra kultury Simonasa Kairysa, w którym potępił nieodpowiedzialną, a wręcz szowinistyczną wypowiedź szefa Litewskiej Państwowej Inspekcji Językowej Audriusa Valotki pod adresem polskiej mniejszości na Litwie. Tak właśnie powinni zachowywać się ambasadorowie Rzeczypospolitej – bronić zawsze praw Polonii i Polaków za granicą.

Problemem są wciąż jednak tzw. piony polityczne na „kresowych placówkach", co pokazała moja korespondencja z panią konsul Irminą Szmalec. I tę sytuację da się uzdrowić. Trzeba tylko wymusić, by dyplomaci i pracownicy ambasad kierowali się wyłącznie polskim interesem narodowym. Najwyższy czas, aby przy obsadzaniu placówek dyplomatycznych i stanowisk w MSZ powrócić do etosu polskiego dyplomaty, z którego słynęła II Rzeczpospolita, a jego pierwszą i podstawową cechą był polski patriotyzm. Czas na patriotów w polskiej dyplomacji rozumiejących wartość polskości i czujących sercem to, czym kresowa polskość jest. Skorzysta z tego Polska, a najbardziej Polacy rozsiani po całym świecie, a zwłaszcza nasi rodacy na Wileńszczyźnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ekspertem do spraw międzynarodowych i polonijnych, był posłem do Parlamentu Europejskiego w latach 2004–2009.

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. ADOBE STOCK

Rozdarta dusza profesor Delsol

Tomasz Rowiński

W nowej książce Chantal Delsol mówi, że cywilizacja chrześcijańska się skończyła. I że nie ma czego żałować

Kolejne książki Chantal Delsol nie przechodzą niezauważone zarówno we Francji, jak i w Polsce. Autorka przez dekady swojej intelektualnej pracy w roli filozofa i historyka idei politycznych wypracowała sobie pozycję, która czyni z niej trudny do pominięcia głos w debacie nad obecnością chrześcijaństwa w świecie. Szczególnie mam tu na myśli nasz nowoczesny czy też, jak było modne mówić jeszcze niedawno, ponowoczesny świat.

Nie inaczej jest z „Końcem świata chrześcijańskiego", która to pozycja zdobyła w ostatnim czasie znaczny jak na książkę filozoficzną rozgłos. Jednak jej sława wydaje się tkwić nie tyle w interesujących analizach, które – owszem – w książce znajdziemy, ile w cywilizacyjno-politycznym przesłaniu będącym główną treścią eseju. Delsol mówi nam nie tylko, że cywilizacja chrześcijańska się skończyła i nie ma żadnych nadziei na jej dalsze trwanie. Wyraźnie sugeruje także to, że nie ma czego żałować i być może warto porzucić wszelkie starania mające na celu choćby przedłużanie jej – jak pisze – agonii.

Wydaje się jednak, że problem „Końca świata chrześcijańskiego" tkwi w punkcie poprzedzającym intelektualne dowodzenie i analizy, a nawet dostępny każdemu ogląd rzeczy. Przede wszystkim zdaje się, że książka ta jest wyrazem jakiegoś rodzaju osobistej desperacji autorki. Powracający motyw bezradności i bezsilności wobec napierającej nowoczesności, która odrzuca wszystkie ontologiczne i normatywne zasady świata ukształtowanego przez chrześcijaństwo, jest tym, co pozostaje w pamięci czytelnika. Na jednej z ostatnich stron Delsol pisze: „Katolicy, którzy wykonują wielką pracę na polu edukacyjnym dla obrony tradycyjnej rodziny, ani przez sekundę nie wyobrażają sobie, żeby mogli chociaż o jotę przesunąć ponowoczesnego kolosa. Już z góry uważają się za przegranych na wszystkich frontach. Nie chcą jednak, aby potomność wyobrażała ich sobie jako biernych lub winnych współudziału w zachodzących zmianach".

To dziwna konstatacja u kogoś, kto sam w swojej książce pisze, że krąg ludzi, wśród których się obraca, to tradycjonalistyczni katolicy. Ponieważ sam obracam się w podobnym kręgu, mogę powiedzieć, że sprawa zachowania cywilizacji chrześcijańskiej jest w tych środowiskach bardzo żywa i daleka od desperacji. I to nie tylko w Polsce. Może ten problem percepcyjny wynika z osobistej rezygnacji, a może z tego, w jaki sposób Delsol rozumie cywilizację chrześcijańską.

HISTORYCZNY RELATYWIZM

Dla Delsol cywilizacja chrześcijańska jest przede wszystkim formacją historyczną związaną z rozwojem Kościoła w czasach starożytnych, z przełomowym – jak uważa – IV w. Wtedy to chrześcijaństwo przejęło – pisze Delsol – kulturową inicjatywę w Cesarstwie Rzymskim i niezależnie od wysiłków pogan i ich przewagi liczebnej rozpoczęło marsz przez antyczne instytucje, wprowadzając swoje zasady, swoją moralność i swój kult. Dziś – jak twierdzi Delsol – jesteśmy świadkami procesu odwrotnego, którego nie zatrzymają żadne katolickie wysiłki.

Ten rodzaj historycznego relatywizmu, do którego Delsol sama się przyznaje w książce, jest prawdopodobnie kluczowy dla zrozumienia słabości jej propozycji. Autorka uważa, że chrześcijanie spokojnie mogą żyć w niechrześcijańskiej cywilizacji, choćby na podobieństwo żydowskiej diaspory. Co więcej, jej zdaniem wynikną z tego same pozytywy: Kościół – duchowni i świeccy – uwolni się wreszcie od wszelkich trudności, jakie wiążą się z koniecznością sprawowania władzy i odpowiedzialności społeczno-politycznej. „Nie, koniec cywilizacji chrześcijańskiej nie oznacza powstania społeczeństw ateistycznych, bo takie po prostu nie istnieją. Społeczeństwa nie

eprasa.pl 68bd3b792c

składają się z paru intelektualistów, ale z ludzi, którym zdrowy rozsądek podpowiada, że za drzwiami istnieje tajemnica, i którzy, jeśli są wierzący, są przynajmniej agnostykami".

Delsol zakłada, że po cywilizacji chrześcijańskiej nastąpi jakiś rodzaj powrotu do nowych form stoicyzmu czy epikureizmu. Równocześnie z przekonaniem powtarza, że głoszona przez wielu konserwatywnych katolików teza wieszcząca rozpad świata, w którym zabraknie znaczącej roli chrześcijan, jest szkodliwą przesadą. W tej drugiej sprawie ma do pewnego stopnia rację. Konserwatywny alarmizm musi prowadzić do rozczarowania, którego doświadczył prorok Jonasz oczekujący na zburzenie Niniwy. Człowiek został tak stworzony, że może funkcjonować nie tylko w optimum swojej natury, o którym pisali filozofowie epoki klasycznej – zarówno pogańscy, jak i chrześcijańscy – lecz także w znacznie gorszych okolicznościach cywilizacyjnych. Po prostu, co jest oczywiste, rodzaj ludzki jest niezwykle plastyczny i odporny. Nie zanika nawet w bardzo złych ustrojach politycznych. Znakomite, choć przerażające świadectwa zdolności do przetrwania w warunkach niegodziwych systemów społecznych i niegodziwego traktowania mieliśmy tylko w samym XX w.

Jeśli jednak chodzi o tezę sugerującą powrót cywilizacji do bardziej pierwotnych form religijności i duchowości, które znów miałyby napełnić świat, to trzeba zgłosić zastrzeżenia. Zresztą sama Delsol jest w tej sprawie niekonsekwentna i ta niekonsekwencja zdradza być może powód, dla którego mimo przyjęcia postawy osobistej rezygnacji wciąż jest obecna jako intelektualistka w kręgach zaangażowanych społecznie katolików. Z jednej strony Delsol pisze, zapożyczając myśl od swojego mistrza Juliena Freunda, że „Nowy Wiek będzie wiekiem mądrości i pogaństwa, z konieczności odkrytych po odrzuceniu transcendencji", z drugiej nie może zaprzeczyć, iż erozja cywilizacji chrześcijańskiej oznacza po prostu powrót przemocy jako zasady życia społecznego.

„POGODNE" POGAŃSTWO?

Czy Delsol sama wierzy w powrót jakiejś pierwotnej duchowości w społeczeństwach uformowanych przez zasady regulowanej przemocy, którą zaproponował najbardziej wpływowy ojciec nowoczesności, czyli Hobbes? Czy zabieganie choćby o zachowanie resztek cywilizacji chrześcijańskiej nie jest oporem wobec świata, w którym człowiek jest dla drugiego człowieka wilkiem? „Polityka całkowicie pozbawiona wymiaru duchowego nieuchronnie popada w ponurą przemoc" – pisze Delsol. A dalej wspomina: „O ile nazizm pragnął powrotu starożytnego pogaństwa, tak korporacjonizm i faszyzm w okresie międzywojennym podejmowały działania w obronie zagrożonego chrześcijaństwa". W innym miejscu pisze o „wprowadzaniu bandyckich praw dotyczących przerywania ciąży czy sztucznego zapładniania". Czy tak wygląda pogodne pogaństwo?

Bardzo ciekawą, choć dwuznaczną uwagę znajdujemy na stronie 195 książki: „Pragnąc stać się cywilizacją, chrześcijaństwo ostatecznie tworzy monstrualnego awatara, który jest zarówno jego alter ego, jak i jego śmiertelnym wrogiem". Czy nie chodzi tu tak naprawdę o to monstrum, znane z pism Hobbesa Lewiatana, którym jest nowoczesność? Ewidentnie Delsol dostrzega, że nie będzie żadnego powrotu do jakiejś formy łagodnego pogaństwa, ale czeka nas świat wstrząsany wrogością. Co więcej, to katolicy mogą stać się głównymi ofiarnymi tej wrogości – głównie dlatego, że współczesna nienawiść do Chrystusa popycha ludzi, by układać świat dokładnie na opak chrześcijańskich, a także po prostu ludzkich reguł. „Humanitaryzm, współczesna moralność, jest moralnością całkowicie nakierowaną na dobre samopoczucie indywiduum, bez żadnej wizji antropologicznej" – pisze Delsol. I dodaje nieco dalej: „Inwersja normatywna obserwowana przez nas w formie spokojnej, ale zdecydowanej ewolucji, przenikającej XIX i XX wiek, jest niemalże dokładnym przeciwieństwem tego, co dokonało się w wieku IV. [...] Ustanawia się rozwód, który chrześcijaństwo zniosło. Dopuszcza się zabijanie dzieci, którego chrześcijanie zabronili".

Z jednej zatem strony Delsol chciałaby widzieć cywilizację chrześcijańską jako partykularną i historyczną formę kultury, której przemijaniem nie należy zbytnio się przejmować. Z drugiej zaś wydaje się rozumieć, że w cywilizacji chrześcijańskiej, w jej rozwoju i rozkwicie – nawet przy wielu błędach popełnionych przez chrześcijan po drodze – zawarte są uniwersalne pierwiastki naprawdę ludzkiej kultury. Być może problem Delsol polega na tym, że nie potrafi zaakceptować prostego faktu społecznego, że reakcja na zło – przynajmniej to oglądane w jego najdrastyczniejszych formach, jak zabijanie dzieci – wymaga wykonywania władzy, stanowienia prawa, także stosowania przymusu i nie oznacza to hipokryzji, ale przeciwstawianie się nieprawości.

DELSOL CHANTAL „KONIEC ŚWIATA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO" WYDAWNICTWO WAM 2023

Tymczasem francuska filozofka całkowicie spirytualizuje powołanie człowieka do przeciwstawiania się złu: „Nawróćcie ludzi na chrześcijaństwo, na niezbywalną godność każdego embrionu, a następnie będziecie mogli znieść aborcję. Chęć zrobienia tego w przeciwnym kierunku będzie jak chęć narzucenia wyznania ludom niekatolickim: to terrorystyczne brednie".

Rozpaczliwe sprzeczności książki Delsol bardziej jednak niż złość wywołują współczucie wobec umysłu zdolnego do notowania niezwykle błyskotliwych uwag, a jednocześnie grzęznącego w – trudno to inaczej określić – rozpaczy.

Delsol stawia też pod koniec swojej pracy pytanie zasadnicze: „Czy koniec świata chrześcijańskiego nie jest raczej dobrodziejstwem niż katastrofą?". Odpowiada na to: „Można uważać, że świat chrześcijański, czyli kościelne zawładnięcie cywilizacją, nie był niczym dobrym, ale raczej wiązał się tylko z epoką opartą na podboju". Dziwna teza, biorąc pod uwagę, że epoka podboju zaczęła się na dobre już w nowożytności, po schyłku historycznej christianitas. W zamian chciałbym zaproponować Delsol, byśmy razem policzyli, ile ofiar pociągnęły sama tylko „bandycka legalizacja aborcji", pogański nazizm i hipernowoczesny komunizm w czasach, gdy ortodoksyjni katolicy zostali odsunięci od decydowania o losach cywilizacji. To w zasadzie wystarczy jako odpowiedź na pytanie, czy zmierzch cywilizacji chrześcijańskiej w jej uniwersalnym wymiarze był katastrofą. Był i nie ma w zasadzie o czym dyskutować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

FOT. NATIONAL ARCHIVES - JFK/CORBIS/GETTY IMAGES

Śmierć prezydenta

Dariusz Wieromiejczyk

Zapewne nigdy nie poznamy prawdziwych sprawców zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Dowiedzieliśmy się jednak, że zarówno FBI, jak i CIA – a także wojskowe służby wywiadowcze USA – wielokrotnie okłamywały w tej sprawie władze, obywateli i media swojego kraju

Upływająca w tym roku okrągła, 60. rocznica zamachu na prezydenta Kennedy'ego będzie zapewne powodem do niejednej gorzkiej refleksji. Najtrwalszym skutkiem wydarzeń z listopada 1963 r. stał się kryzys zaufania obywateli Stanów Zjednoczonych do instytucji własnego państwa. Miliony z nich nie ufają przedstawianym im przez władze wyjaśnieniom i przekonane są, że do zamachu doszło w efekcie szeroko rozgałęzionego spisku, w którym uczestniczyły wysoko postawione osoby ze świata amerykańskiej polityki. W badaniu z roku 2013 opinię taką wyraziło 59 proc. Amerykanów. Podobne badanie, przeprowadzone w roku 2009 przez stację telewizyjną CBS, wykazało, że aż 74 proc. ankietowanych uważa, iż w sprawie tej istniała „oficjalna zmowa milczenia, mająca na celu ukrycie prawdy o zabójstwie prezydenta Kennedy'ego przed opinią publiczną". Większość (aż 77 proc.) Amerykanów sądzi, że prawda o zamachu nigdy nie zostanie ujawniona.

Autorzy, którzy już w latach 60. zajęli się zamachem na JFK, nie przypuszczali zapewne, że zapewni on zainteresowanie czytelników przez następne dziesięciolecia. Kolejne komisje śledcze, wznawiane i umarzane dochodzenia, pojawianie się zaskakujących, nieznanych wcześniej dowodów – wszystko to budowało wrażenie spisku i tajemnicy. Pierwsza z komisji śledczych, tzw. Komisja Warrena, uznała rok po zamachu, że był on dziełem samotnego, działającego z indywidualnych pobudek zamachowca. Ustalenia jej szybko zostały podważone. Powołana w roku 1976 Komisja Śledcza Izby Reprezentantów do Spraw Zabójstw ogłosiła w swoim raporcie, że prezydent Kennedy zamordowany został przez Lee Harveya Oswalda „prawdopodobnie w wyniku

eprasa.pl 68bd3b792c

spisku". Skrytykowała też poprzedniczkę za pominięcie w dochodzeniu istotnych aspektów sprawy i nieuzyskanie dostępu do ogromnej ilości dokumentów.

Najważniejszym odkryciem wyłaniającym się z dochodzenia obu komisji, a także śledztwa prowadzonego przez nowoorleańskiego prokuratora Jima Garrisona, była zaskakująca niekompetencja zajmujących się sprawą organów śledczych. Nawet sekcja zwłok zamordowanego prezydenta prowadzona była w sposób urągający utartym procedurom sądowym. Kluczowe dowody pojawiały się i znikały, zdjęcia i protokoły ulegały zniszczeniu, świadkowie z dnia na dzień zmieniali zdanie lub w przeddzień przesłuchania popełniali samobójstwa.

Trzeba do tego dodać wyjątkowo „trudną" współpracę z instytucjami takimi jak CIA i FBI. To, że ukryły one zarówno przed Komisją Warrena, jak i przed Komisją Izby Reprezentantów ogromną część przechowywanych dokumentów, nie ulega dziś wątpliwości. Założona przez CIA przed dokonaniem zamachu „teczka" Oswalda liczyć miała – według ustaleń Komisji Warrena – zaledwie sześć dokumentów. Już w latach 90. historycy doszukali się ich ponad 40. Podobnie wyglądała współpraca z innymi służbami wywiadowczymi, zwłaszcza z wywiadem Marynarki. Oswald, jako były żołnierz piechoty morskiej, pozostawać mógł pod „opieką" rozlicznych, podległych Pentagonowi instytucji.

HIPPIS I PRZYJACIELE

Ze względu na bardzo odmienne wyniki prowadzonych przez rozmaite władze amerykańskie dochodzeń trudno jest dziś nawet przedstawić coś, co dałoby się nazwać „oficjalną" wersją wydarzeń. W latach 60. uchodziło za taką wyjaśnienie zaprezentowane przez komisję senatora Warrena. Zakwestionowała je w licznych punktach Komisja Izby Reprezentantów. Ta ostatnia, choć uznała, że Kennedy został zamordowany „prawdopodobnie w wyniku spisku", nie przedstawiła jednak ani kształtu owego spisku, ani domniemanego przebiegu wydarzeń. Ponieważ raport Komisji Warena jako pierwszy „uspokoił" amerykańską opinię publiczną, przedstawmy tu jego ustalenia jako wersję „kanoniczną" – przeciwwagę dla dziesiątek, a może i setek „teorii spiskowych".

Lee Harvey Oswald miał być rodzajem nietypowego, zafascynowanego militariami hippisa. Na podobieństwo młodszych od siebie „dzieci kwiatów" łatwo ulegał emocjom i w niewielkim stopniu kontrolował swoją drogę życiową. Urodził się w roku 1939. Pochodził z rozbitej rodziny, wychowująca go matka nie radziła sobie z obowiązkami rodzicielskimi. Oswald często zmieniał szkoły i miejsca zamieszkania, rodzina stale się przeprowadzała, chłopcem opiekowali się krewni i instytucje opiekuńcze. Jeszcze jako osoba niepełnoletnia usiłował wstąpić na ochotnika do Marines – elitarnej formacji amerykańskiej piechoty morskiej. Zdemaskowany odczekał rok do ukończenia odpowiedniego wieku, ucząc się w międzyczasie na pamięć „Regulaminu piechoty morskiej". Służbę odbywał w Japonii, jako operator radaru. Nie był to zwykły przydział – w jego bazie stacjonowały wówczas ściśle tajne samoloty szpiegowskie U-2.

Kolejne komisje śledcze, wznawiane i umarzane dochodzenia, pojawianie się zaskakujących, nieznanych wcześniej dowodów – wszystko to budowało wrażenie spisku i tajemnicy

Już w Japonii młody żołnierz zaczął uczyć się rosyjskiego. Nie zwróciło to rzekomo niczyjej uwagi – tylko koledzy w żartach nazywali go „Oswaldowskij". Następnie zwolnił się z wojska i w roku 1959 wyjechał do Związku Radzieckiego. W ambasadzie amerykańskiej oddał swój paszport, deklarując zamiar bycia lojalnym obywatelem Kraju Rad. Uprzedził też, że podzieli się z Rosjanami całą wiedzą zdobytą podczas służby wojskowej.

Oswald po jakimś czasie rozczarował się „ojczyzną proletariatu". Zamieszkał w Mińsku białoruskim, gdzie otrzymał komfortowe mieszkanie i pokaźne środki do życia. Poznał tam przyszłą żonę, Marinę. W roku 1961 wzięli ślub, w 1962 r. urodziła się im córka. W tym czasie Oswalda sfotografowała „przypadkowo" w Mińsku amerykańska turystka – starsza pani podróżująca samochodem po Związku Radzieckim, która „rutynowo i z własnej woli" przekazała swoje pamiątki CIA.

W czerwcu 1962 r. Lee Oswald wrócił z żoną i córką do Stanów Zjednoczonych. Władze nie czyniły mu większych kłopotów, nie poddały też – oficjalnie – żadnym szczególnym procedurom sprawdzającym. Zamieszkał w Dallas. Tu zaczął, we właściwy sobie niekonsekwentny sposób, jednocześnie angażować się w działalność prokubańskich organizacji lewicowych (Fair Play for Cuba) oraz antykubańskich organizacji paramilitarnych, wspieranych przez CIA. Jednocześnie pracował jako fotograf w laboratorium zajmującym się nowatorską wtedy techniką „micro dots", używaną w działalności wywiadowczej. Używał też fałszywego nazwiska Hidell, którym posłużył się przy wysyłkowym zakupie włoskiego karabinu snajperskiego.

Prowadził bogate życie towarzyskie, ogniskujące się wokół rosyjskojęzycznej wspólnoty w Dallas. Jego mentorem w tych kręgach był baron Jerzy Sergiusz von Mohrenschildt, urodzony w roku 1911 bałtyckorosyjski arystokrata, syn przedrewolucyjnego marszałka szlachty guberni mińskiej. Po rewolucji baron zamieszkał w Polsce, gdzie zgodnie ze swoimi zeznaniami złożonymi przed komisją Warrena skończył w Wilnie liceum i szkołę wojskową, w której po półtora roku nauki uzyskał polski stopień podchorążego kawalerii. Uczestniczyć miał także w manewrach Wojska Polskiego i ćwiczeniach wojskowych. Następnie udał się do Belgii, gdzie podjął studia geologiczne. W czasie swoich licznych podróży, poświęconych poszukiwaniom ropy naftowej, miał okazję współpracować z wywiadami amerykańskim, francuskim i niemieckim, będąc zarazem osobistym znajomym generała Williama J. Donovana, założyciela OSS – poprzedniczki CIA. Podczas wojny, jak zeznał, produkował filmy dokumentalne na temat ruchu oporu w okupowanej Polsce, korzystając ze wsparcia polskich środowisk emigracyjnych.

Wśród arystokratycznych przyjaciół bałtyckiego barona była też rodzina Bouvier – z której wywodziła się Jacqueline Bouvier – przyszła żona prezydenta Kennedy'ego. Mała Jackie często bawiła się na kolanach „wujka George'a", który przez dłuższy czas należał do grona

eprasa.pl 68bd3b792c

adoratorów jej matki. Po latach „wujek" zaprzyjaźnić się miał z zabójcą jej męża.

Znajomości tego rodzaju mogłyby wydawać się nietypowe dla wychowanego „w podróży", zarabiającego grosze i zajmującego niższe szczeble drabiny społecznej Lee Oswalda. Komisja Warrena nie zauważyła w tym jednak nic dziwnego, Komisja Izby Reprezentantów nie zdołała zaś niczego dodać. Baron de Mohrenschildt zastrzelił się w przeddzień swojego przesłuchania.

W roku 1963 Oswald odbył też tajemniczą podróż do Mexico City – odwiedzając podobno ambasadę kubańską i sowiecką w celu umożliwienia mu powrotu do Związku Radzieckiego – a po drodze odwiedził ojczyznę Fidela Castro. W tym samym czasie utrzymywał kontakty ze sponsorami organizowanych wśród Kubańczyków antykomunistycznych bojówek, a może nawet uczestniczył w ich szkoleniu.

NIEUFNOŚĆ AMERYKANÓW

22 listopada 1963 r. Lee Oswald zastrzelić miał prezydenta Kennedy'ego, oddając do niego trzy strzały z okna położonej w Dallas składnicy książek, w której od niedawna pracował. Następnie udał się autobusem do domu, wziął rewolwer i szybkim krokiem wyszedł w nieznanym celu na przechadzkę po mieście, w trakcie której zastrzelił nieznanego mu wcześniej policjanta J.D. Tippita. Następnie odwiedził kino Texas Theatre, gdzie kilka minut po rozpoczęciu seansu dołączył do nielicznej, ze względu na porę, widowni filmu „Cry of Battle" (wojenny, z nagrodzoną Oscarem za rolę w „West Side Story" Ritą Moreno). Oswald nie zapłacił 90 centów za bilet, wyglądał „śmiesznie", więc kasjer wezwał policję. Ta zjawiła się błyskawicznie i na sali kinowej aresztowała Oswalda. Po kilkunastu godzinach przesłuchań (których nie protokołowano) Oswald zdążył jeszcze krzyknąć do dziennikarzy: „I am a patsy!" (jestem kozłem ofiarnym), po czym został zastrzelony w garażu siedziby policji przez gangstera Jacoba Leona Rubensteina (używającego od 1947 r. nazwiska Jack Ruby).

Rodzice Jacoba urodzili się na ziemiach polskich; ojciec, Joseph, w Sokołowie Podlaskim. Rubenstein dostał się do policyjnego garażu „szczęśliwym trafem", ktoś zostawił otwarte drzwi. Trudno potraktować poważnie wyjaśnienia gangstera, że zastrzelił Oswalda, by oszczędzić urodziwej wdowie po prezydencie stresu związanego z zeznaniami przed sądem. Właściciel sieci burdeli, zakamuflowanych jako kluby ze striptizem, miałby się przejmować widokiem kobiecych łez? Rubenstein na przesłuchaniach udawał wariata, zmarł na raka trzy lata po zamachu.

Władze nie doliczyły się nawet liczby oddanych strzałów, tłumacząc sprzeczności w dowodach teorią tzw. magicznej kuli, która zmieniać miała wielokrotnie kierunek lotu

Przedstawiona w ten sposób historia nie wzbudziła zaufania Amerykanów. Władze nie doliczyły się nawet liczby oddanych strzałów, tłumacząc sprzeczności w dowodach teorią tzw. magicznej kuli, która zmieniać miała wielokrotnie kierunek lotu. O tym, na jakie wyzwania narażona została amerykańska opinia publiczna, przekonać się można samemu, oglądając w serwisie YouTube słynny film nakręcony przez filmowca amatora Abrahama Zaprudera. Z bliska pokazuje on moment trafienia kuli w głowę Kennedy'ego. Widzimy moment trafienia, po którym głowa i całe ciało odrzucone zostają na tył limuzyny. Kłopot w tym, że zgodnie z oficjalnymi ustaleniami kula Oswalda nadlecieć miała z tyłu – trafione kulą ciało powinno być więc rzucone do przodu. Amerykańscy „eksperci" zdołali i to wyjaśnić – dojść miało do odruchu „neuromuskularnego".

Podobne niekonsekwencje zainspirowały jednak Amerykanów do tworzenia tzw. teorii spiskowych. Ich owocem stał się film Olivera Stone'a „JFK", wyprodukowany w roku 1991. Film obejrzały setki milionów ludzi, przy budżecie ok. 40 mln dol. przyniósł wpływy przekraczające 200 mln. Miał też nieoczekiwane konsekwencje polityczne. W roku 1992 Kongres jednomyślnie uchwalił „President John F. Kennedy Assassination Records Collection Act". Zgodnie z nim wszystkie dokumenty dotyczące zamachu na Kennedy'ego powinny zostać ujawnione w ciągu 25 lat – do roku 2017.

W roku 2017 prezydent Donald Trump specjalnym dekretem prezydenckim pozwolił niektórym instytucjom na nieujawnianie posiadanych dokumentów ze względu na „bezpieczeństwo narodowe". Politykę swojego poprzednika kontynuuje w tym względzie Joe Biden. W ostatniej „odtajnionej" transzy ujawniono w grudniu 2022 r. kolejnych 13 tys. dokumentów. Jawnych ma już być ok. 95 proc. archiwaliów związanych ze sprawą. Tajnych pozostaje wciąż ok. 4 tys. dokumentów, co 60 lat po zamachu wydaje się liczbą wysoką.

KŁAMSTWA SŁUŻB

W odtajnionych dokumentach nie znalazły się żadne „rozstrzygające" rewelacje. Kilka dokumentów wydaje się jednak ciekawych. Jeden z nich ujawnił, że w kwietniu 1963 r. szef Domestic Operations Division z CIA zażądał przedstawienia mu wszystkich dokumentów związanych z osobą znanego nam już barona de Mohrenschildta. Czemu miało to służyć, skoro wedle dotychczasowych zapewnień agencja nie utrzymywała już z baronem żadnego kontaktu? Dokumenty pokazują też żywe zainteresowanie CIA osobą Oswalda – jest w nich informacja o podsłuchanej rozmowie telefonicznej Oswalda w Meksyku, kiedy skontaktował się z sowiecką ambasadą. Służby wywiadowcze USA zbierały więc informacje o działaniach przyszłego zamachowca w okresie poprzedzającym listopad 1963 r. Dotychczas zaprzeczały one takim działaniom. Przy okazji wyszły też na jaw informacje o szeroko zakrojonej akcji podsłuchiwania rozmów telefonicznych na terenie Meksyku.

Zapewne nigdy nie poznamy prawdziwych sprawców zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Dowiedzieliśmy się jednak, że zarówno FBI, jak i CIA – a także wojskowe służby wywiadowcze USA – wielokrotnie okłamywały w tej sprawie władze, obywateli i media swojego kraju. Dziś, po aferze z laptopem Huntera Bidena i nierzetelnych dochodzeniach FBI tropiących „rosyjskie powiązania" Donalda Trumpa, stwierdzenie takie może się wydawać niezbyt odkrywcze. Kilkadziesiąt lat temu było to dla Amerykanów bolesnym wstrząsem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Edward Osóbka, czyli Ошибка

Po wyborze Tadeusza Mazowieckiego na stanowisko premiera w 1989 r. przyjazne mu media natychmiast rzuciły się do pochlebstw, że jest on „pierwszym niekomunistycznym premierem po 1944 r.". Nie była to prawda, Mazowiecki miał bowiem znaczącego poprzednika. Był nim Edward Osóbka, szef tzw. PKWN i premier wasalnego wobec Sowietów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Aby dodać mu jakiejś powagi, Stalin nakazał mu zmianę nazwiska przez dodanie członu: Morawski. Stalin, lubujący się w rubasznym humorze, czule określał go jako „Ошибка", czyli pomyłka.

Edward był przed wojną trzecio-, może nawet czwartorzędnym działaczem jednej z odnóg PPS. Ale poznał m.in. Bolesława Bieruta i Wandę Wasilewską, co bardzo mu się przydało w niedalekiej przyszłości. Warunki wojenne i brak kadr pozwoliły mu przesunąć się do prawie pierwszego szeregu. Stał się funkcjonariuszem RPPS (Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, która do dziś nie została dokładnie zbadana). Gdy konspiracyjna PPR utworzyła fikcję w postaci tzw. Krajowej Rady Narodowej, Osóbka (jako tow. „Tadeusz") znalazł się w jej składzie jako przedstawiciel socjalistycznej efemerydy. To nic, że nawet jego rodzima partyjka stanowczo protestowała, charakteryzując go jako pospolitego złodzieja. Okazało się, że to nie była wada, wprost przeciwnie – zaleta. Jego kolesie wystawili mu odpowiednią opinię: „Ukradł nam maszynę do pisania, dokonał włamania do lokalu partyjnego, przepiłowując kłódkę, i usiłował zjednywać sobie zwolenników drogą przekupstwa i obietnicami lukratywnych posad".

PPR-owcy bardzo dobrze o tym wiedzieli: „Nie jest on człowiekiem poważnym, CK RPPS nie liczy się z nim jako z poważnym reprezentantem odłamu organizacji, lecz traktuje go jako człowieka próbującego z prywatnych pobudek wykazać swą siłę i siłę swojej organizacji". Dlatego właśnie mógł zrobić taką karierę. Aż do 1956 r. nie należał do PPR/PZPR, oficjalnie był bezpartyjny!

Należał do grona pierwszych „właścicieli Polski Ludowej", jak wówczas mawiano. 5 sierpnia 1944 r. w Moskwie rzucił w twarz Stanisławowi Mikołajczykowi: „Żadnych walk w Warszawie nie było. W Warszawie panuje zupełny spokój". Był zaledwie gadającym narzędziem w rękach Stalina. Nie mając żadnych zasług, bez odbycia służby wojskowej i bez działalności w jakiejkolwiek wojskowej konspiracji po wojnie otrzymał wiele odznaczeń, m.in. Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski (już w 1946 r.), Krzyż Grunwaldu III klasy, Krzyż Partyzancki (!) i… Medal za Warszawę. Jest pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na pomoc Warszawie

Do lotów ze zrzutami dla Powstania wyznaczono polską 1586. Eskadrę do Zadań Specjalnych i dwa dywizjony: brytyjski i południowoafrykański. Pierwszy lot odbył się w nocy z 4 na 5 sierpnia 1944 r., wystartowało łącznie 14 polskich i brytyjskich załóg. Zrzutów miano dokonać nad Lasem Kabackim i Puszczą Kampinoską, brytyjscy sztabowcy uznali bowiem, że przelot na małej wysokości nad stolicą jest zbyt niebezpieczny.

Brytyjskie rozkazy Polacy jednak zignorowali. Cztery załogi poleciały wprost na Warszawę i – co najważniejsze – wróciły w całości do Włoch, chociaż jedna z polskich maszyn dotarła na dwóch z czterech pracujących silnikach. Niemcy zestrzelili natomiast aż pięć na siedem brytyjskich samolotów biorących udział w operacji.

Z tego powodu loty zawieszono, ale polskie naciski zrobiły swoje i do końca sierpnia zorganizowano jeszcze 18 nocnych zrzutów. Wprawdzie większość dostaw wpadła w ręce Niemców, ale nawet to, co przechwycili powstańcy, stanowiło poważną pomoc. Było to bowiem 250 granatników przeciwpancernych PIAT, 1 tys. pistoletów maszynowych, blisko 20 tys. granatów. Bez alianckich dostaw do walki z czołgami powstańcy mieli tylko butelki z benzyną. Straty podczas lotów były jednak duże – z pięciu załóg polskiej eskadry, które dokonywały ochotniczo zrzutów w sierpniu, do końca miesiąca przeżyła tylko jedna. Gdy jednak Brytyjczycy ponownie zabronili zrzutów bezpośrednio na Warszawę, polskie załogi znowu zignorowały polecenie. Rozkaz w wojsku jest wprawdzie rzeczą świętą, ale żaden z lotników nie zapominał, że jest Polakiem, a to miało większe znaczenie niż wszystkie rozkazy razem wzięte.

Polscy lotnicy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, włączali się też bezpośrednio do walki. Ostrzeliwali niemieckie pozycje z broni pokładowej, co było już prawdziwym samobójstwem, ale tylko w ten sposób można było powstańcom dać coś więcej. „[W nocy] z 13 na 14 sierpnia, przelatując nad Warszawą – wspominał brytyjski nawigator Alan McIntosh – moja załoga wypatrzyła czterosilnikowy samolot, który leciał niżej niż nasz i odcinał się ciemną sylwetą od czerwieni płonącego miasta. Leciał dziobem w dół, jakby szykując się do lądowania, bardzo nisko, prowadząc wymianę ognia z jakimś Niemcem […]. Mógł to być tylko jeden z halifaksów polskiej 1586. Eskadry do Zadań Specjalnych, który pięć i pół godziny wcześniej wystartował z Brindisi. Niemal na pewno zdążył już zrzucić ładunek broni i amunicji i teraz jego załoga włączyła się do walki – póki jeszcze zostało jej coś do zaoferowania". ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

Bogactwo i

Witold Repetowicz

Afryka kojarzy się z biedą, a jednocześnie jej ziemie skrywają ogromne bogactwa. Niger, w którym pod koniec lipca doszło do wojskowego zamachu stanu, jest jednym z najuboższych państw na świecie, a jednocześnie jednym z kluczowych producentów uranu

Funkcjonariusze ochrony strzegą wejścia na teren kopalni uranu Somair firmy Areva, nieopodal miasta Arlit FOT. JOE PENNEY/REUTERS/FORUM

W dziesiątce państw o najniższym PKB per capita (i to liczonego według parytetu siły nabywczej) jest dziewięć państw afrykańskich, w tym oczywiście Niger. Wynosi ono tam 1,6 tys. dol. (dla porównania w Polsce to 45 tys.). Podobnie jest z listą państw według wskaźnika rozwoju społecznego (HDI), na której Niger zajmuje trzecie miejsce od końca.

URAN JAK GAZ I ROPA

Jednocześnie kraj ten znajduje się na siódmym miejscu pod względem produkcji uranu i ma niemal 5 proc. udziału w światowym rynku pod tym względem. Jeszcze kilka lat temu był on wyższy, ale Francja, która jest głównym odbiorcą nigryjskiego uranu, ograniczyła swoją zależność od tamtejszych złóż, po tym, jak sytuacja w Sahelu zaczęła być coraz bardziej niestabilna i nieprzewidywalna. Ostatni pucz w Nigrze potwierdził słuszność tych obaw, zwłaszcza że wpisuje się on w rosyjskie działania hybrydowe na Czarnym Lądzie. Nawet jeśli sprzedaż uranu z Nigru do Francji i innych państw Europy nie ustanie, to Rosja może przejąć nad nim częściową kontrolę, a to da jej możliwość oddziaływania politycznego (tak jak to robiła z gazem czy ropą). Obecnie ocenia się, że ok. 15 proc. francuskiego zapotrzebowania na uran pokrywane jest przez Niger, podczas gdy w odniesieniu do wszystkich państw Unii Europejskiej jest to 25 proc.

Uran ma kluczowe znaczenie dla produkcji energii jądrowej, której rola rośnie wraz z odchodzeniem od paliw kopalnych. Francja już od dawna opiera się na tym źródle energii i jest na trzecim miejscu na świecie (po USA i Chinach) pod względem zapotrzebowania na uran, sprowadzając rocznie ok. 7 ton „żółtego ciasta", jak jest on nazywany. Niger był przez długi czas jej strategicznym źródłem importu tego surowca, a francuskie kopalnie nieopodal pustynnego miasteczka Arlit powstały ponad 50 lat temu. Niedługo później w Nigrze doszło do puczu i od 1974 do 1993 r. rządzony był on przez stabilne i niedemokratyczne rządy przyjaznych Paryżowi wojskowych. Później było tam jeszcze kilka przewrotów, ale wszyscy wiedzieli, gdzie przebiega „czerwona linia". Francja bowiem jeszcze do niedawna nie wahała się nawet przez chwilę, gdy w obronie jej żywotnych interesów na terenie byłych kolonii trzeba było zorganizować jakiś przewrót lub wysłać wojsko. Pomagała też w tłumieniu kolejnych rebelii Tuaregów, na których etnicznych ziemiach znajduje się Arlit, gdy tylko zbliżyli się oni na niezbyt bezpieczną odległość od jej kopalni. Tak Paryż rozwiązywał swoje problemy przez dekady i gdyby nie to, że czasy się zmieniły, to obecna junta albo zapewniałaby francuskiego prezydenta o swojej przyjaźni, albo jej dni byłyby policzone. To już jednak historia.

ZŁOTO, DIAMENTY I...

Problem z ewentualnym zastąpieniem uranu z Nigru jest taki, że nie jest to surowiec zbyt powszechny, delikatnie mówiąc. Obecnie 45 proc. jego produkcji pochodzi z Kazachstanu, który zaspokaja też 26 proc. zapotrzebowania państw UE w tym zakresie. Jednakże choć to państwo wykazuje pewne tendencje emancypacyjne w ostatnim czasie, to nie można zapominać, że jest w kręgu wpływów rosyjskich. Sama Rosja jest szóstym największym producentem „żółtego ciasta" i trzecim jego dostawcą do

eprasa.pl 68bd3b792c

nędza Afryki

państw UE, z udziałem 17 proc. Dlatego trwają intensywne poszukiwania alternatywnych dostawców. W Afryce bogate w uran są również Namibia i RPA, które, w przeciwieństwie do Nigru, należą do najbogatszych i najbardziej stabilnych państw na tym kontynencie. Jednakże i tak ich poziom PKB per capita czy HDI jest niższy niż średnia światowa, nie mówiąc już o państwach Europy. Rezerwy „żółtego ciasta" mają też m.in. Botswana, Tanzania i Republika Środkowoafrykańska (RŚA). Jeśli chodzi o tę ostatnią, to francuska spółka Areva długo prowadziła tam eksplorację, ale ok. 2012 r. postanowiła się wycofać ze względu na rosnącą niestabilność. Obecnie RŚA, w którym PKB per capita jest jeszcze niższe niż w Nigrze, jest kontrolowana przez wagnerowców, a jej głównym partnerem handlowym są Chiny.

RŚA na razie nie zaistniała na światowym rynku uranu, ale ma znaczący udział w produkcji złota i diamentów. Jeżeli chodzi o ten pierwszy surowiec, to do 2019 r. licencję na eksplorację i eksploatację złóż miała kanadyjska firma Axmin Inc. Utraciła ją jednak na rzecz związanej z wagnerowcami Midas Ressources SARLU. Natomiast jeśli chodzi o diamenty, to w pierwszej dziesiątce państw wydobywających te kamienie jest aż osiem krajów afrykańskich. Jednym z nich jest Demokratyczna Republika Konga, czyli państwo, które nieszczęście ma wpisane w swoje DNA, a studiowanie tablicy Mendelejewa można oprzeć na jego zasobach. To właśnie ten kraj zainspirował Josepha Conrada do napisania „Jądra ciemności". Kongo stało się wówczas głównym źródłem dostaw kauczuku, niezwykle pożądanego w celu produkcji opon w związku z dynamicznie rozwijającym się przemysłem motoryzacyjnym. To właśnie dlatego krajem tym zainteresował się belgijski monarcha Leopold II, którego „model biznesowy" w ciągu 20 lat eksploatacji doprowadził do śmierci 10 mln mieszkańców Konga.

Z kolei w latach 1998–2003 zginęło tam ok. 5,5 mln ludzi w tzw. Światowej Wojnie Afrykańskiej, o której mało kto na świecie słyszał, choć setki milionów były jej beneficjentami. Jednym z głównych czynników napędzających ten konflikt była bowiem walka o kontrolę kopalni koltanu w prowincjach Północnego i Południowego Kiwu. Koltan to mieszanina dwóch minerałów, tj. kolumbitu i tantalitu, a zarazem źródło dwóch bardzo cennych pierwiastków: tantalu i nobiu. Znajduje on szerokie zastosowanie w przemyśle elektronicznym, zwłaszcza w produkcji kondensatorów i innych elementów wykorzystywanych w telefonach komórkowych oraz laptopach, a także w produkcji pancerzy czołgowych i powlekania statków kosmicznych. Tymczasem wydobywany jest w skrajnie prymitywnych warunkach, często przez małe dzieci, harujące od świtu do zmierzchu za nędzną strawę, pod kontrolą różnych państwowych i niepaństwowych formacji militarnych. Ocenia się, że Demokratyczna Republika Konga posiada 64 proc. światowych zasobów koltanu, a jej udział w światowej produkcji tantalu wynosi ok. 20 proc., przy czym jeśli doliczyć wkład sąsiednich Rwandy i Ugandy (mających znaczący udział w eksploatacji dzięki okupacji i rabunkowi), to jest to niemal połowa. Cała Afryka odpowiedzialna jest za dwie trzecie światowej produkcji tantalu.

Kolejnym cennym surowcem, który obficie występuje w Demokratycznej Republice Konga jest kobalt, którego wykorzystywanie w bateriach i akumulatorach powoduje, że również i w tym wypadku zapotrzebowanie na niego rośnie wraz z odchodzeniem od paliw kopalnych. Kongo jest przy tym największym producentem tego surowca, odpowiedzialnym za aż 70 proc. światowej produkcji. Kobalt jest jednak dopiero na drugim miejscu, jeśli chodzi o produkty eksportowane przez to państwo. Ponad połowa eksportu to bowiem miedź i pod tym względem DRK jest czwartym największym producentem, dostarczając 1,3 mln ton rocznie (ok. 7,7 proc. światowego rynku). Kontrolę nad wydobyciem kongijskiej miedzi mają przede wszystkim firmy chińskie, takie jak

eprasa.pl 68bd3b792c

China Nonferrous Metal Mining Group, CMOC Group Ltd., Jinchuan Group czy też China Railway. Chiny są też głównym partnerem handlowym Demokratycznej Republiki Konga, będąc odbiorcą 68 proc. eksportu z tego kraju i odpowiadając za 29 proc. importu.

Demokratyczna Republika Konga ma oczywiście jeszcze więcej minerałów, m.in. cynę, wolfram, lit, a także złoto. To ostatnie było tu również (podobnie jak koltan) powodem licznych konfliktów zbrojnych, w tym próby secesji Katangi w latach 1960–1963. Jednakże największymi producentami złota w Afryce są Ghana, RPA, Sudan i Mali. O ile Ghana, podobnie jak RPA, jest państwem demokratycznym i stabilnym, a także jednym z relatywnie bogatszych w Afryce, o tyle Mali oraz Sudan są obrazem nędzy i rozpaczy. Oba państwa wpadły też w uścisk wagnerowców. Choć Afryka nie kojarzy się z przedkolonialnymi tradycjami państwowymi, to w przypadku Mali jest inaczej i liczne zabytki na terenie tego kraju świadczą o jego bogatej przeszłości. Tutejsze atrakcje turystyczne generowały też dochody, ale wszystko to się skończyło, gdy dżihadyści postanowili opanować ten kraj w 2012 r. – i tylko interwencja Francji uratowała przed tym Mali. Jeżeli chodzi o wydobycie złota, to kraj ten znajduje się na 16. miejscu na świecie z ok. dwuprocentowym udziałem. Kruszec ten stanowi 80 proc. malijskiego eksportu i trafia przede wszystkim do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Poza złotem w Mali wydobywane są również diamenty, ale w znacznie mniejszej ilości. Państwo to zajmuje szóste miejsce od końca w rankingu rozwoju społecznego, a od 2020 r. jest rządzone przez prorosyjską juntę, wspieraną przez wagnerowców.

Wagnerowcy kontrolują też w znacznym stopniu wydobycie złota w sudańskim Darfurze. Ściągnął ich tam obalony w 2019 r. prezydent Sudanu (ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnie na ludności Darfuru) Omar al-Baszir. Mieli go uchronić przed utratą władzy, ale woleli się dogadać z bandyckimi oddziałami „generała" Mohamada Hamdana Dagalo i wspólnie zarządzać rabunkową eksploatacją tamtejszego złota. W tym celu powstała spółka Meroe Gold będąca częścią finansowego imperium

W pierwszej dziesiątce państw wydobywających diamenty jest aż osiem krajów afrykańskich FOT. KIM LUDBROOK/EPA/PAP

Prigożyna M Invest. Sudan znajduje się na 13. miejscu na świecie pod względem wydobycia złota, a ok. 30 ton tego kruszcu rocznie wywozi stamtąd Rosja. Po jej agresji na Ukrainę odgrywa to kluczową rolę dla stabilizacji rubla i unikania konsekwencji nałożonych na nią sankcji. Oficjalnie głównym odbiorcą sudańskiego złota są natomiast Zjednoczone Emiraty Arabskie, które zresztą od wielu lat korzystają ze wsparcia wagnerowców w realizacji swoich interesów w Afryce.

Chociaż Afryka Subsaharyjska nie może się równać z Bliskim Wschodem jeśli chodzi o paliwa kopalne, to kilka tamtejszych krajów ma również znaczący udział w światowym rynku ropy. Chodzi w szczególności o Nigerię (1,3 mln baryłek dziennie) i Angolę (1,1 mln baryłek dziennie), a w mniejszym stopniu Republikę Konga, Gabon, Ghanę, Południowy Sudan i Gwineę Równikową. Nigeria, z ponad 200-milionową populacją i jedną z największych armii Afryki, jest kluczowym państwem na tym kontynencie. Jednocześnie jest jednym z najbardziej skorumpowanych krajów, wstrząsanym masową przestępczością, separatystycznymi rebeliami i dżihadystycznym terrorem, a przede wszystkim jest jednym z głównych źródeł migracji do Europy. Nigeria jest też państwem głęboko zadłużonym wobec Chin, które są jej głównym partnerem handlowym.

DZIKIE WYDOBYCIE

Lider junty Burkina Faso, Ibrahim Traore, na szczycie Rosja – Afryka pożalił się, że choć Afryka ma ogromne bogactwa w zasobach naturalnych, to jej liderzy muszą jeździć na Zachód. by błagać o pomoc finansową. Słowa te wywołały euforię wśród mieszkańców Afryki, skłonnych winić za wszystkie swoje nieszczęścia Europejczyków. Oczywiście trudno się nie dziwić temu, że państwa takie jak Niger czy Demokratyczna Republika Kongo nie wykorzystują światowego uzależnienia od ich zasobów, tak jak to robią Arabowie, jeśli chodzi o gaz czy ropę. Tyle że nigdy by to nie było możliwe, gdyby nie chciwość i korupcja miejscowych kacyków. Tak samo było w przypadku niewolnictwa. Biali sami nie polowali na czarnych niewolników, lecz kupowali ich od miejscowych wodzów. Tego jednak mieszkańcy Afryki pamiętać nie chcą. Podobnie jak nie chcą dostrzec, że największy wyzysk ma miejsce w przypadku dzikiego wydobycia, takiego jak w Demokratycznej Republice Konga, gdzie masowo, w nieludzkich warunkach, niewolniczą pracę wykonują dzieci. Tylko że tam to nie biali kontrolują kopalnie, ale miejscowi, a biznesmeni z Europy przylatują tylko po odbiór towaru.

Nie oznacza to, że Francja i niektóre inne kraje oraz korporacje zachodnie nie są współodpowiedzialne za nędzę Afryki. Tylko że gdy w ostatnich latach informacje na temat tego wyzysku spowodowały, iż państwa postkolonialne i zachodnie koncerny zaczęły zmieniać standardy, Chińczycy i Rosjanie zaczęli ich wypierać z biznesu. Pekin i Moskwę nie obchodzą przy tym żadne standardy czy prawa człowieka. Sudan od początku lat 90. rządzony był przez antyzachodni reżim i nie wpłynęło to na bardziej sprawiedliwy podział zysków. Co więcej, jednym z głównych powodów obecnej wojny domowej w tym kraju jest rywalizacja o złoto między Rosją i ZEA z jednej strony a Marokiem z drugiej. To, że Arabowie mają znacznie dłuższe tradycje, jeżeli chodzi o sprowadzanie niewolników z Afryki, również umyka pamięci mieszkańców tego kontynentu. Dziś Arabowie, razem z Chinami i Rosją, przejmują kontrolę nad surowcami afrykańskimi i nie wiąże się to z żadnym polepszeniem tamtejszej sytuacji ekonomicznej.

Państwa te chcą też dalej sprowadzać z Czarnego Lądu nieprzetworzony surowiec, co blokuje jakikolwiek rozwój i zapewnia, że tamtejsza bieda z nędzą jest stanem permanentnym. Prorosyjskie pucze w żadnym stopniu nie poprawiły sytuacji mieszkańców krajów, w których miały miejsce, a najbardziej rozwiniętymi krajami Afryki są m.in. RPA, Botswana, Namibia czy Ghana, czyli te, w których panują stabilność i demokracja, a nie zamordyzm i rządy wojskowych.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

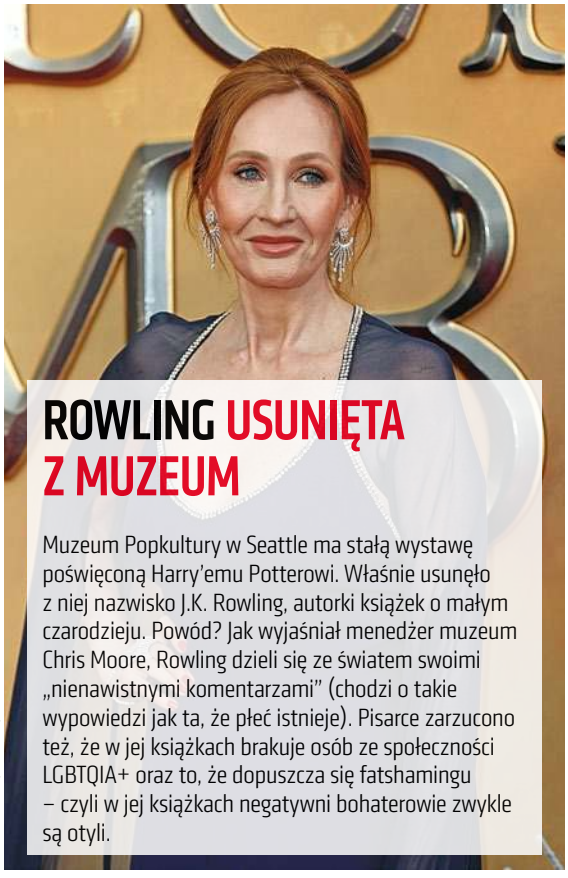

FOT. MIKE MARSLAND/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

ROWLING USUNIĘTA Z MUZEUM

Muzeum Popkultury w Seattle ma stałą wystawę poświęconą Harry'emu Potterowi. Właśnie usunęło z niej nazwisko J.K. Rowling, autorki książek o małym czarodzieju. Powód? Jak wyjaśniał menedżer muzeum Chris Moore, Rowling dzieli się ze światem swoimi „nienawistnymi komentarzami" (chodzi o takie wypowiedzi jak ta, że płeć istnieje). Pisarce zarzucono też, że w jej książkach brakuje osób ze społeczności LGBTQIA+ oraz to, że dopuszcza się fatshamingu – czyli w jej książkach negatywni bohaterowie zwykle są otyli.

ROSJANKI Z BAGAŻEM ZA MILIONY

Na lotnisku w Barcelonie okradzione zostały dwie turystki z Rosji. Okazało się, że ich bagaże były warte... 8,5 mln euro. Siedemdziesięciolatka wraz z córką przewoziły m.in. pierścionek z 47-karatowym diamentem wycenionym na 4,5 mln euro, drogie kolie oraz produkty marki Louis Vitton. Hiszpańska policja dzięki monitoringowi szybko ustaliła złodzieja i schwytała go w pościgu.

DIETA BARDZO SKUTECZNA

Zhanna Samsonowa jako influencerka promowała w sieci dietę frutariańską – żywiła się wyłącznie surowymi warzywami i owocami. Kobieta w mediach społecznościowych dzieliła się przepisami kulinarnymi oraz zaskakującymi detalami diety – twierdziła, że nie pije już wody od sześciu lat, wystarczają jej soki. Samsonowa zmarła z wygłodzenia. Jeden z jej bliskich przyznał, że kilka miesięcy przed śmiercią wyglądała na wycieńczoną.

AKTYWIŚCI ATAKUJĄ SUV-Y

Aktywiści z grupy The Tyre Extinguishers przedziurawili opony w 10 tys. SUV-ów w USA, m.in. w salonach samochodowych. Uważają, że trzeba uniemożliwić poruszanie się tymi samochodami ze względu na dużą emisję spalin. Grupa zapowiedziała, że jej działania nie zostaną przerwane i że akcje spuszczania powietrza będą jeszcze częstsze.

RZĄD ZAKAZAŁ „BARBIE"

W Libanie zakazano wyświetlania filmu „Barbie", ponieważ zdaniem władz państwa promuje on homoseksualizm. Minister kultury Libanu Mohammad Mortada zabrania rozpowszechniania filmu, a libańska generalna dyrekcja do spraw bezpieczeństwa ogólnego ma za zadanie całkowicie usunąć film z kin w państwie. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Dumni z Ameryki? A z Polski?

Dekadę temu zagadywani przez ankieterów mieszkańcy USA w zdecydowanej większości wyrażali dumę ze swojego kraju. 85 proc. pytanych w wieku 18–29 lat twierdziło wówczas, że jest „niezwykle/bardzo dumne" z bycia Amerykaninem. Według najnowszego sondażu Gallupa odsetek młodych mieszkańców USA, którzy powiedzieli, że są „niezwykle dumni" lub „bardzo dumni" z bycia Amerykaninem, osiągnął rekordowo niski poziom, spadając do poziomu zaledwie 42 proc. Część młodych mieszkańców USA zaczęła postrzegać jako „kontrowersyjne" nawet takie symbole jak... amerykańska flaga (jeden z profesorów college'u w Wisconsin uznał w tym roku, że flaga USA może budzić dyskomfort i być źródłem niepokoju wśród „niebiałych" mieszkańców USA).

Patriotyzm, a już zwłaszcza religijne wartości, w rządzonych przez lewicę Stanach Zjednoczonych z roku na rok staje się coraz mniej modny.

Warto wyciągnąć wnioski z tego, co się dzieje za oceanem, i zadbać o propagowanie wiedzy i wartości, które pozwolą poczuć dumę z bycia Polakiem. Nie jest to zawsze łatwe, zwłaszcza gdy portale takie jak gazeta.pl regularnie publikują teksty mające zohydzić nie tylko historię, lecz także język w oczach samych Polaków („Gdy spotykam Polaków na wakacjach, udaję, że nie mówię po polsku", 28 czerwca 2023 r.). I chociaż można się dziwić, że gazeta.pl wciąż publikuje swoje teksty po polsku, to na szczęście patriotyzm w narodzie nie zginął. Miliony Polaków są dumne ze swej ojczyzny. I widać to nie tylko w Święto Wojska Polskiego...

eprasa.pl 68bd3b792c

Maciej Pieczyński

Amerykańska transseksualistka została anglojęzycznym rzecznikiem ukraińskiej Obrony Terytorialnej. Rada Najwyższa debatuje nad związkami partnerskimi. Żołnierze na froncie chętnie przyznają się do homoseksualnej orientacji. Po agresji rosyjskiej Ukraina coraz wyraźniej skręca w lewo. Dlaczego?

Parada w Kijowie w 2021 r.

FOT. SERGEY DOLZHENKO/EPA/PAP

Na tęczowej Ukrainie

Pod koniec czerwca biuro prasowe Sił Obrony (czyli połączonych sił armii, policji, gwardii narodowej oraz straży granicznej) na Kierunku Taurydzkim ogłosiło nowy projekt medialny pod nazwą „Russia Hates the Truth" (Rosja nienawidzi prawdy). W jego ramach „znana dziennikarka ze Stanów Zjednoczonych Sarah Ashton-Cirillo" na YouTube Obrony Terytorialnej prowadzi wideoblog, w którym po angielsku demaskuje kłamstwa i manipulacje kremlowskiej propagandy. Nowa rzeczniczka ukraińskiej armii przedstawiona została jako „zwykły żołnierz". Przyjechała na Ukrainę niedługo po wybuchu wielkiej wojny. Najpierw relacjonowała konflikt w mediach społecznościowych jako niezależny korespondent wojenny. Później na ochotnika wstąpiła do Obrony Terytorialnej, gdzie służyła jako ratownik pola walki. Dosłużyła się stopnia młodszego sierżanta.

W rzeczywistości rzecznik ukraińskiej Obrony Terytorialnej jest transseksualistką. Urodził się jako mężczyzna w 1977 r. Michael John Cirillo w przeszłości zarabiał jako analityk rynku nieruchomości, pokerzysta czy dyrektor do spraw komunikacji w firmie medycznej. Był żonaty, ma dziecko. W 2015 r. wyjechał do Turcji, żeby napisać książkę o syryjskich uchodźcach. W 2018 r. zaczął brać hormony żeńskie. Rok później zmienił oficjalnie płeć. Już jako „kobieta" zajął się polityką. Najpierw w partii republikańskiej, by następnie przejść do obozu demokratów. Kandydował do rady miasta Las Vegas. Z wyborów się jednak wycofał i zaczął karierę dziennikarską. Założył własny portal informacyjny Political.tips.

PREZENT DLA KREMLOWSKIEJ PROPAGANDY

Po napaści rosyjskiej na Ukrainę Michael, który został Sarah, postanowił pojechać do Polski, aby zbadać kryzys migracyjny na granicy z Białorusią. Jednak już kilka dni po przyjeździe zmienił zdanie i wyruszył do kraju ogarniętego wojną. Ponoć decyzja o wyjeździe na Ukrainę była trudna z uwagi na strach przed panującą tam „transfobią". Okazało się jednak, że „płeć" przybysza z USA nie przeszkadza Ukraińcom – byle tylko przybysz stał twardo po ich stronie. Ashton-Cirillo to „jedyna transseksualna dziennikarka, która opisuje inwazję na Ukrainie".

Zaangażowanie „Sarah" do projektu medialnego ukraińskiej armii stało się prezentem dla kremlowskiej propagandy. Rosja dostała bardzo łatwy do wykorzystania argument na rzecz tezy, zgodnie z którą na Ukrainie walczy ze „zgniłą cywilizacją lewackiego Zachodu". Sama sucho podana informacja o treści: „Amerykański transseksualista został rzecznikiem Obrony Terytorialnej Sił Zbrojnych Ukrainy" brzmi jak absurdalny wymysł moskiewskiej narracji. Tyle że to prawda, którą chwalą się sami Ukraińcy. Tamtejsze media z dumą opisują historię „znanej dziennikarki z USA", „która" teraz będzie mówić prawdę o Rosji anglojęzycznemu odbiorcy.

Wiceminister obrony Ukrainy Hanna Malar stwierdziła, że na „Sarah" wylała się fala hejtu ze strony wrogich mediów społecznościowych. Dodała, że ten atak jest zrozumiały, bo „Sarah" „obiektywnie przedstawia wydarzenia wojny rosyjsko-ukraińskiej, demaskuje rosyjskie fejki i propagandę", a poza tym „jej" przekaz trafia do ogromnego amerykańskiego audytorium. W USA Michael nie był gwiazdą – ani polityki, ani mediów. Jednak już jako

eprasa.pl 68bd3b792c

transseksualistka walcząca na ukraińskim froncie z Rosją zyskał sporą popularność na Zachodzie. I właśnie po to jest Kijowowi potrzebny. To wunderwaffe propagandy ukierunkowanej na oddolne podbicie tysięcy lewackich serc wyborców, którzy mogą naciskać swoje rządy, aby bardziej pomagały „tęczowej Ukrainie". Co znamienne, Malar nie podkreśliła specyficznej tożsamości „Sarah". Skupiła się na „jej" amerykańskim pochodzeniu. Podobnie ukraińskojęzyczna Wikipedia milczy o tym, że „Sarah" kiedyś była Michaelem, co akurat można przeczytać nie tylko w rosyjsko-, lecz także w anglojęzycznej Wikipedii.

Większość mediów nad Dnieprem jest zachwycona proukraińską transseksualistką na froncie propagandy Kijowa. Zdarzają się jednak również głosy oburzenia. Lider neobanderowskiego (a przy tym konserwatywnego) Prawego Sektora, Andrij Tarasenko, mianowanie „mężczyzny, który uważa się za kobietę" rzecznikiem Obrony Terytorialnej nazwał „hiszpańskim wstydem". Ironizował też, że wśród 100 tys. przedstawicieli „LGBTKPZR" [połączenie skrótu LGBT ze skrótem Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, czyli dwóch lewicowych organizacji – przyp. red.], którzy rzekomo służą w armii ukraińskiej, nie znalazł się żaden znawca języka angielskiego, który by zadowolił oczekiwania „zagranicznych lewicowych liberałów", więc Kijów musiał postawić na transseksualistkę z zagranicy. Prawy Sektor to jednak polityczny margines. W wypowiedziach przedstawicieli najważniejszych partii ze świecą szukać zarówno oburzenia, jak i zachwytu z powodu tożsamości Michaela vel Sarah. Młodszy sierżant Ashton-Cirillo to przede wszystkim towar eksportowy, oddelegowany na odcinek relacji z zachodnią lewicą.

SPRZEDAŻ DUSZY BEZ ŻALU

Amerykańska transseksualistka jako twarz i głos wojennej kontrpropagandy to tylko jaskrawy przykład szerszego zjawiska, jakim jest ideologiczny skręt Ukrainy w lewo, który na dobre rozpoczął się po 24 lutego 2022 r., choć pierwsze symptomy były już widoczne po 2014 r. Agresja Rosji sprawiła, że Kijów stanął przed wyborem: albo integracja z Zachodem, albo podporządkowanie się Moskwie. To pierwsze większość Ukraińców wybrała już podczas rewolucji Euromajdanu. Przy czym zapragnęli nie tyle mentalnie się zwesternizować, ile osiągnąć zachodni standard życia. Rzecz jasna do świadomości miłujących wolność i chaos Ukraińców, którzy tradycyjnie wolą oligarchię albo ochlokrację o jednoosobowej tyranii i bezwzględnej dyscypliny, przemawiał skutecznie mit europejskiej demokracji. Zachodni kurs wymagał jednak również ideologicznej uległości i przyjęcia lewicowo-liberalnych norm. Pierwszy prezydent po Euromajdanie, Petro Poroszenko, odmówił wzięcia udziału w paradzie gejowskiej w Kijowie, ale jednocześnie zapewnił jej organizatorów i uczestników, że popiera „budowę tolerancyjnego społeczeństwa". Ukraińscy politycy musieli umiejętnie lawirować między oczekiwaniami lewackich ideologów a poglądami wciąż jeszcze w większości konserwatywnych wyborców. Do tej pory zresztą nad Dnieprem, podobnie jak w Rosji, jednym z najcięższych wyzwisk jest „pidaras" (pederasta).

Pełnowymiarowa agresja sprawiła, że Kijów stał się całkowicie zależny od zachodniej pomocy. Ukraina po wielu latach zwlekania ratyfikowała konwencję stambulską. W czerwcu 2022 r. na stronie prezydenta pojawiła się petycja w sprawie „małżeństw homoseksualnych". Zebrała 28 tys. podpisów. Zełenski zauważył wówczas, że na realizację tego postulatu nie pozwala ukraińska konstytucja, definiująca małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Polecił jednak, by rząd przygotował projekt ustawy o związkach partnerskich. Sprawa utknęła na wiele miesięcy. Wiosną 2023 r. do Rady Najwyższej wpłynął projekt ustawy o związkach partnerskich autorstwa Inny Sowsun z opozycyjnej partii Hołos. Projekt poparło kilkunastu deputowanych – zarówno z Hołosu, jak i z prezydenckiej partii Sługa Narodu. Przychylnie na jego temat wypowiedział się sam Zełenski. Krytycznie do projektu odniosło się natomiast Ministerstwo Obrony, nazywając go niekonstytucyjnym. Prace nad własną ustawą o związkach partnerskich zapowiedziało z kolei Ministerstwo Sprawiedliwości. To zresztą jeden z wymogów, które przed Ukrainą po Euromajdanie stawiała Unia Europejska. Ideologiczne oczekiwania Brukseli wobec aspirującego do członkostwa Kijowa są w pewnym sensie nawet większe niż wobec państw, które już do UE należą.

Ministerstwo planuje wprowadzenie związków partnerskich jedynie dla homoseksualistów, z kolei projekt „Sowsun" dotyczy również par heteroseksualnych. Co ciekawe, do tęczowej agitacji używany jest również kontekst wojenny. Proponowane rozwiązania mają ulżyć żołnierzom LGBT i ich partnerom, którzy chcą ich odwiedzać w szpitalach itp. Zresztą od 2018 r. na Ukrainie działa organizacja pozarządowa Wojskowi LGBT, wspierająca gejów i lesbijki w mundurach. Żołnierze nieheteroseksualni z dumą noszą szewrony z jednorożcem – symbolem tęczowej ideologii.

W tej chwili jest mało prawdopodobne, aby którykolwiek lewacki projekt z łatwością przeszedł przez parlament. W Radzie Najwyższej funkcjonuje trzystuosobowa międzypartyjna grupa Wartości, Godność, Ojczyzna, której przedstawiciele dwa lata temu proponowali karanie propagandy homoseksualizmu. Należą do niej deputowani zarówno Sługi Narodu, jak i Solidarności Europejskiej Petra Poroszenki. W warunkach wojennych jednak to nie parlament, ale prezydent ma ostatnie słowo. Ponadto przeciwko związkom partnerskim protestuje Cerkiew prawosławna. I to nie moskiewska, ale rodzima, patriotyczna, ukraińska. Do sprzeciwu dołączają się też inne związki wyznaniowe.

Poparcie społeczne dla lewicowych postulatów rośnie w miarę, jak Kijów w wojnie z Rosją staje się zależny od zachodniej pomocy. Latem 2021 r. w sondażu grupy Rejtynh 47 proc. Ukraińców negatywnie oceniało społeczność LGBT. Wzrost poparcia dla tęczowej ideologii pokazują badania przeprowadzone przez Międzynarodowy Instytut Socjologii w Kijowie. Na pytanie „Czy osoby homoseksualne powinny mieć takie same prawa jak osoby heteroseksualne?" w 2022 r. twierdząco odpowiedziało 65 proc. pytanych, a na przełomie maja i czerwca 2023 r. już 67 proc.

Warto też pamiętać, że spory światopoglądowe nad Dnieprem nie mają takiej temperatury jak nad Wisłą, nie budzą też podobnego zainteresowania. Główną osią konfliktu cywilizacyjnego na Ukrainie nie jest wojna prawicy z lewicą, tylko wojna z Rosją. Dlatego Ukraińcy bez większego żalu sprzedają duszę zachodnim lewakom w nadziei, że ci ochronią ich przez Moskwą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

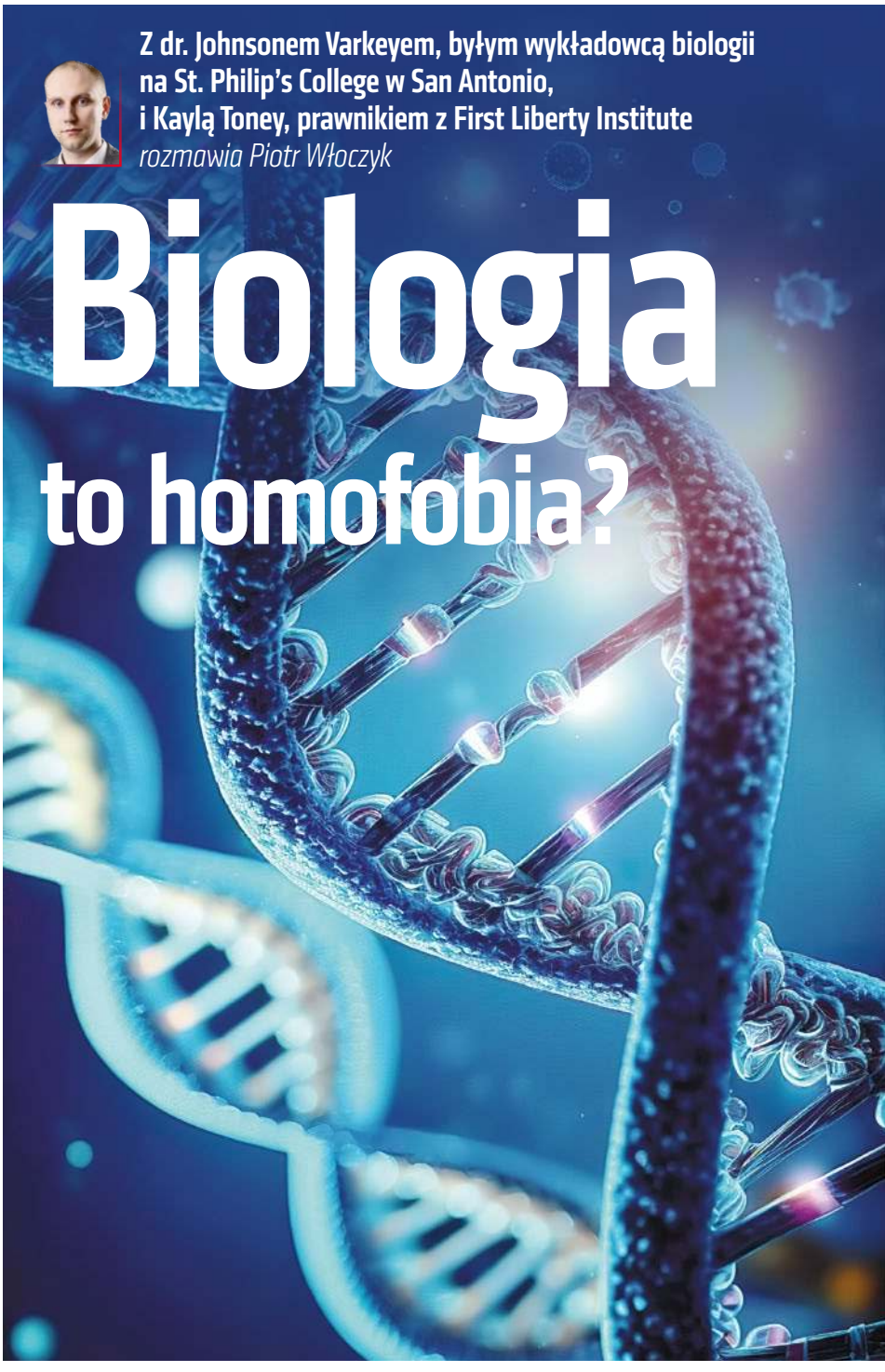

Z dr. Johnsonem Varkeyem, byłym wykładowcą biologii na St. Philip's College w San Antonio, i Kaylą Toney, prawnikiem z First Liberty Institute

rozmawia Piotr Włoczyk

Biologia to homofobia?

FOT. ADOBE STOCK

PIOTR WŁOCZYK: 28 listopada 2022 r. przeprowadził pan w St. Philip's College w teksańskim San Antonio lekcję biologii, dzięki której stał się pan jednym z najbardziej rozpoznawalnych nauczycieli biologii w USA. Musiał pan głosić jakieś rewolucyjne tezy.

DR JOHNSON VARKEY: Nic z tych rzeczy! To była najzwyklejsza lekcja biologii – realizowałem po prostu standardowy program nauczania tego przedmiotu. Tym razem zajmowaliśmy się układem rozrodczym człowieka. Gdy zbliżaliśmy się do końca zajęć, czworo z moich studentów nagle wstało, spakowało się i bez słowa opuściło salę. Zapamiętałem ten dziwny incydent, ale mogło się wydawać, że to była jednorazowa historia bez ciągu dalszego. Przez dłuższy czas nie działo się bowiem nic szczególnego.

A jednak...

J.V.: Skończyłem semestr i dopiero w styczniu dostałem list od wiceprezesa college'u do spraw akademickich, w którym mogłem przeczytać, że wszczęto wobec mnie dochodzenie w sprawie potencjalnych nadużyć! Nic z tego nie rozumiałem. Zapytałem więc, jakie konkretnie dotarły do niego skargi. W odpowiedzi usłyszałem tylko, że dział kadr zajmie się tą sprawą.

Jaka była pańska rola w tym dochodzeniu?

J.V.: Żadna, bo nikt z działu kadr się ze mną nie skontaktował! Po dwóch tygodniach dostałem natomiast list, w którym oficjalnie oznajmiono mi, że zostałem zwolniony z pracy. Podstawą miało być to, że rzekomo w czasie lekcji biologii wygłaszałem… kazania religijne. Jakby tego było mało, z listu wynikało, że moje lekcje były wymierzone w homoseksualistów i osoby transpłciowe.

Każdy ma swoje poglądy w tych tematach. Co pan mówił o LGBT swoim studentom?

J.V.: W czasie tamtej „feralnej" lekcji mówiłem coś, co wcześniej nie budziło żadnych kontrowersji: biologia stanowi, że dwa chromosomy X to kobieta, a XY to mężczyzna i żadne nasze wyobrażenia nie są w stanie zmienić tego faktu. Oprócz tego poruszyłem też temat rozrodczości: aby gatunek ludzki mógł się dalej rozwijać, akty seksualne muszą się odbywać między mężczyznami i kobietami, a nie pomiędzy mężczyznami czy pomiędzy kobietami. Trzecia „kontrowersyjna" sprawa dotyczyła zapłodnienia. W podręczniku, z którego uczę, jasno napisane jest, że życie ludzkie zaczyna się w momencie zapłodnienia, czyli połączenia plemnika i komórki jajowej. Tak powstaje zygota, która od początku jest człowiekiem. Bardzo małym, ale jednak człowiekiem. Takie przedstawienie rzeczywistości ewidentnie nie spodobało się czterem studentom, a następnie otrzymałem list z wypowiedzeniem umowy o pracę.

Co to wszystko oznacza? Czy najbardziej postępowych studentów nie da się już uczyć biologii?

J.V.: Ewidentnie tych czworo poczuło się obrażonymi moimi słowami, które

eprasa.pl 68bd3b792c

zaczerpnąłem przecież z podręcznika. A żeby nie było żadnych wątpliwości, został on zatwierdzony przez mój wydział!

W liście, który pan dostał, napisano, że pozwalał pan sobie na komentarze dyskryminujące homoseksualistów. W dzisiejszej Ameryce trudno o cięższy zarzut. Jak się pan z tego wszystkiego wytłumaczy?

J.V.: (śmiech) Oskarżają mnie o coś, czego nie zrobiłem. Przekazałem uczniom fakty, które podane są w podręczniku do biologii. Ta sprawa jest więc oczywista.

A może stwierdzenie, że tylko kobiety we „współpracy" z mężczyznami są w stanie przedłużyć gatunek, to właśnie ta homofobia?

J.V.: Być może niektórzy tak to mogą interpretować. Jednak myślę, że problem leży w jeszcze jednej kwestii. Prywatnie jestem też asystentem pastora w naszej lokalnej wspólnocie chrześcijańskiej w San Antonio. Moi studenci doskonale o tym wiedzą. Być może więc niektórzy z nich uważają, że mówiąc o płci czy przedłużaniu gatunku, tak naprawdę przekazuję treści religijne. Być może mamy tu do czynienia z fałszywym założeniem, że jeżeli chrześcijanin naucza biologii w „klasyczny" sposób, to przekazuje też studentom treści religijne.

Czyli „klasycznej" biologii nie da się już uczyć na pewnych uczelniach?

J.V.: Widać, że przekazywanie faktów na temat biologii może się skończyć pomówieniami i nauczyciele, którzy poddają się temu i nie przekazują prawdy, mają łatwiej. Tak niestety wygląda dziś sytuacja w USA.

KAYLA TONEY: W naszym kraju widzimy bardzo niepokojący trend. Notujemy coraz więcej przypadków wyrzucenia pracowników z powodu poglądów, które nie podobają się pracodawcom. Często niestety chodzi o kwestie religijne. Jesteśmy bardzo wdzięczni dr. Varkeyowi za jego odwagę, za to, że postanowił nagłośnić tę sprawę i walczyć o sprawiedliwość. Ta sprawa może pomóc wielu innym wykładowcom i nauczycielom, którzy czują się zastraszeni przez wszechobecną poprawność polityczną. Oczywiście takie problemy dotykają nie tylko ich. W wielu innych branżach dochodzi do podobnych przypadków marginalizowania pracowników z uwagi na ich poglądy.

Co teraz?

K.T: Właśnie wnieśliśmy skargę w związku z dyskryminacją dr Varkeya. W USA działa Komisja ds. Równych Szans w Zatrudnieniu (Equal Opportunity Employment Commission). To rządowa instytucja, która zajmuje się przypadkami dyskryminacji w pracy. Argumentujemy w skardze, że nasz klient został zwolniony ze swojej posady w college'u właśnie z uwagi na jego poglądy religijne i wspomniane przez niego stereotypowe spojrzenie na chrześcijan i ogólnie osoby wierzące. Komisja będzie badała w najbliższym czasie postawione przez nas zarzuty. Za kilka miesięcy będziemy najprawdopodobniej składać pozew w sądzie federalnym przeciw college'owi. Federalne prawo zabrania bowiem dyskryminacji w pracy m.in. z uwagi na religię, płeć czy rasę. Także pierwsza poprawka do konstytucji USA daje wolność wypowiedzi, a przecież dr Varkey jako wykładowca cieszy się wolnościami akademickimi, więc działanie college'u było jawnie bezprawne.

> **Mówiłem coś, co wcześniej nie budziło żadnych kontrowersji: biologia stanowi, że XX to kobieta, a XY to mężczyzna**

Ameryka znana jest z procesów, w których powodowie żądają gigantycznych pieniędzy. Czy podobnie będzie w tym przypadku.

K.T.: Niewykluczone, że będziemy się domagali również zadośćuczynienia finansowego, ale chciałabym podkreślić, że dr. Varkeyowi chodzi głównie o przywrócenie do pracy.

Naprawdę chciałby pan wracać do takiego miejsca?!

J.V.: Zostałem zwolniony przez wiceprezesa college'u do spraw akademickich, ale na moim wydziale nie mam z nikim żadnych problemów. Odkąd tam pracuję, czyli już od 19 lat, jestem z kolegami z pracy w bardzo dobrych relacjach. To samo tyczy się kierownictwa mojego wydziału. I dlatego chciałbym tam wrócić. To tylko „góra" ma ze mną jakiś problem…

Gdyby ta sprawa zdarzyła się w Kalifornii czy w Nowym Jorku, pewnie mało kto by się temu dziwił. Ale w Teksasie?! „Wokeizm" zainfekował też ten tradycyjnie konserwatywny stan, bastion Partii Republikańskiej?

K.T.: Ma pan rację, że bardzo wielu naszych klientów żyje w liberalnych stanach, takich jak właśnie Kalifornia czy Nowy Jork. Niestety, jednak również w Teksasie szkoły publiczne stają się coraz bardziej „progresywne" w takich sprawach, co kończy się na złym traktowaniu osób wierzących. Dlatego uważamy, że pokrzywdzeni, jak choćby dr Varkey, powinni nagłaśniać takie skandaliczne historie i walczyć o swoje prawa.

Takie sprawy to coraz większy problem, szczególnie gdy wierzący nie boją się manifestować swojej wiary. Jednak historia dr. Varkeya jest wyjątkowa, ponieważ na swoich lekcjach mówił on o bezspornych faktach, jak choćby o tym, że gatunek ludzki może się rozwijać jedynie dzięki zbliżeniom pomiędzy mężczyznami a kobietami. Niestety, profesorowie o konserwatywnych poglądach, którzy wykładają na uczelniach progresywnych, coraz częściej napotykają problemy. Odchodzimy już niestety od klasycznego modelu edukacji, gdy swobodna wymiana poglądów była esencją funkcjonowania naszych uczelni wyższych. Studenci powinni mieć różnych profesorów, by dobrze rozumieć świat. Gdy uniwersytety stają się monokulturą pod względem światopoglądowym, gdy profesorowie o innej wrażliwości są usuwani, cierpią na tym przede wszystkim studenci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Johnson Varkey jest biologiem, byłym wykładowcą tego przedmiotu na St. Philip's College w San Antonio w Teksasie.

Kayla Toney jest prawnikiem, pracuje w First Liberty Institute – teksańskiej organizacji chrześcijańskich adwokatów, którzy walczą z dyskryminacją osób wierzących.

eprasa.pl 68bd3b792c

Downsizing nasz

Tomasz Cukiernik

To nie firmy należy ganić za sprzedawanie w tej samej cenie coraz mniejszych ilości produktu. Producenci zmniejszają rozmiary towarów z powodu inflacji, która jest wywoływana działaniami państwa

W ostatnim czasie zintensyfikowało się zjawisko „downsizingu". To brzydkie słowo z angielskiego, które można by przetłumaczyć jako „zmniejszenie rozmiaru". Zauważyli je politycy od skrajnej lewicy do prawicy. Adrian Zandberg, poseł Lewicy, nagrał na YouTube filmik, w którym pokazał dwie kostki masła z tego samego dyskontu, ale kupione w innym czasie. Obie są w identycznym opakowaniu i na pierwszy rzut oka nie do rozróżnienia. Jednak kostka kupiona wcześniej waży 200 g, a później – już tylko 170 g. „Downsizing? Raczej robienie klientów w... Udają, że cały czas płacimy tyle samo, ale w rzeczywistości płacimy coraz więcej – za 100 gramów, za kilogram, za litr. W tym samym opakowaniu sprzedają coraz mniej towaru. Sieci handlowe liczą, że ludzie się nie zorientują, wrzucając towar do koszyka" – napisał Zandberg na Facebooku. Czyli przyczynę downsizingu poseł widzi w niecnym zachowaniu sieci handlowych, które chcą w ten sposób oszukać klientów. Całkowicie odmiennie odbiera to zjawisko poseł Wolnościowców Artur Dziambor: „Dwa tygodnie temu wrzuciłem zdjęcie, na którym dawny litrowy napój stał się napojem 0,9 l, a dziś kupiłem ten sam napój, ale już 0,85 l. Cena ta sama, tylko wkładki jakby mniej. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo litrowa butelka będzie miała pół litra. Inflacja".

PRZYCZYNY

Z sondażu UCE Research dla „Rzeczpospolitej" wynika, że 90 proc. respondentów dostrzega podczas dokonywania codziennych zakupów zjawisko downsizingu. Zdaniem ponad połowy ankietowanych w ciągu ostatniego pół roku wyraźnie widać, że produkty spożywcze zmniejszyły objętość. Downsizing polega na zmniejszeniu wagi, objętości produktów lub też zmniejszeniu ilości droższych składników czy liczby artykułów w opakowaniu. Firmom chodzi o obniżenie kosztów, a przez to zaoferowanie klientom w sytuacji inflacyjnej towaru po tych samych cenach lub też wprowadzenie niższych podwyżek, niż byłyby konieczne, gdyby downsizingu nie zastosowano. – Takie decyzje często podejmują producenci, sprzedawcy, ponieważ według ich kalkulacji konsument zostaje zaskoczony podwyżką cen, ma przygotowany określony budżet, który odpowiada poprzedniej strukturze. To jest pewna kalkulacja, że konsument będzie skłonny wydać te same pieniądze za mniej niż więcej pieniędzy za to samo – mówi ekonomista dr Łukasz Jasiński, adiunkt w Katedrze Polityki Gospodarczej i Regionalnej UMCS w Lublinie.

Jak słusznie zauważa poseł Dziambor, przyczyną downsizingu jest inflacja. – Zjawisko to pojawia się wtedy, kiedy system bankowy oparty na rezerwie cząstkowej wydrukuje za dużo pieniędzy i te pieniądze zaczną przenikać do sfery realnej. Producenci konkurują między

eprasa.pl 68bd3b792c

powszedni

FOT. ADOBE STOCK

Praźródeł downsizingu należy szukać w spektakularnym wzroście kosztów stałych u przedsiębiorców

sobą o rzadkie dobra, podbijając ich ceny, i następują obawy, że jeśli podwyższą cenę nominalną na konkurencyjnym rynku, to spadnie im popyt. Próbują szukać różnych rozwiązań i downsizing jest jednym z nich – tłumaczy dr Jasiński. – Praźródeł zjawiska downsizingu należy doszukiwać się w spektakularnym wzroście kosztów stałych u przedsiębiorców. Ceny gazu i energii wzrosły tak bardzo, że klient indywidualny nie zaakceptowałby tak drastycznych podwyżek cen produktów podstawowych. W związku z powyższym producenci uciekają się do sztuczki: umiarkowanie podwyższają cenę i umiarkowanie redukują gramaturę, tym samym maskując problemy całej gospodarki. Gdyby ceny produktów podskoczyły tak dynamicznie, jak koszty, zostalibyśmy poddani jako konsumenci terapii szokowej – zaznacza Karol Skorek, prezes Stowarzyszenia Producentów i Rolników SWOJAK, dodając, że downsizing stanowi formę ukrywania przez producentów problemu przed społeczeństwem.

W ten sposób firmy próbują utrzymać poziom sprzedaży po zmianie sytuacji rynkowej niezależnej od nich, a bardziej od polityki państwa, która wywołała inflację. Ludzie nie lubią podwyżek. Producentom chodzi o to, by nie wystraszyć klientów zbyt dużą podwyżką ceny, do której zostali zmuszeni gwałtownie rosnącymi kosztami. Dlatego ich w pewien sposób próbują zwodzić. Alternatywą dla downsizingu jest drastyczny wzrost cen, co może odstraszyć klientów od danego producenta. Downsizing pozwala na utrzymanie ceny albo na niższą podwyżkę. Z punktu widzenia klienta może to zostać uznane za oszustwo, ale prawdziwym oszustem jest państwo, które wywołało inflację.

Część ludzi się na to nabierze, gdyż nie zauważy zmiany, która nie jest widoczna na pierwszy rzut oka, ale dla świadomych klientów jest jednak łatwa do wykrycia. Wystarczy dokładnie czytać informacje zawarte na opakowaniach. Nie wszyscy zaprzątają sobie tym głowy. Downsizing oczywiście może zniechęcić do zakupu. Jednak kiedy klienci porównają ceny podobnego produktu u konkurencji, która downsizingu nie zastosowała – i której towar odrzucili właśnie z powodu nadmiernej zwyżki ceny – to zorientują się, że właściwie na jedno wychodzi – cena jednostkowa w obu przypadkach wzrosła o podobną wartość. Problemem nie jest downsizing, tylko to, że maleje siła nabywcza pieniądza. Za te same nominalne zarobki nabywa się kilka–kilkanaście procent mniej. I to jest nieuchronny skutek inflacji. Niezależnie od tego, jaki scenariusz wybierzemy.

REZULTATY

Pierwszą reakcją firm na inflację jest cięcie kosztów i obcinanie marży, bo w obawie przed utratą klientów starają się nie podnosić cen. Dopiero kiedy zjawisko inflacji się przedłuża lub zwiększa się jej poziom, firmy zmuszone są do podwyższenia cen, uważając, że konsument bardziej zaakceptuje wzrost ceny niż spadek wagi produktu. A kiedy poziom inflacji zwiększy się jeszcze bardziej, to alternatywą dla drastycznych podwyżek cen staje się właśnie downsizing. – Jeśli inflacja jest znaczna, np. dwucyfrowa tak jak w Polsce, i dłuższy czas się utrzymuje, to będziemy mieli do czynienia z systematycznym wzrostem cen. Downsizing w takim bardziej radykalnym, przykrym dla konsumentów scenariuszu może być metodą na wolniejsze podwyżki, a nie tylko przytrzymanie

eprasa.pl 68bd3b792c

cen na tym samym poziomie – wyjaśnia dr Jasiński. Ale sytuacja części producentów może być też taka, że ich nie stać na wzrost wydatków, mogą mieć problemy z płynnością albo nie mieć dostępu do kapitału. Wtedy nie mogą nabyć większej ilości dóbr produkcyjnych i decydują się na zmniejszenie objętości czy wagi produktów. Choć z drugiej strony zastosowanie downsizingu również oznacza dla firm koszty, np. w postaci zmian w linii produkcyjnej.

Kiedy niektóre firmy podniosą ceny, a inne zamiast tego wprowadzą downsizing, to może dojść do zachwiania konkurencji rynkowej, bo jeśli konsumenci od razu się nie zorientują, to firmy, które wprowadziły downsizing, więcej sprzedadzą niż te, które go nie zastosowały. – To działa tylko w pierwszej fazie. Generalnie konsumenci są świadomi, że takie rzeczy się zdarzają. To jest od wielu lat praktykowane. Można sobie wyobrazić, że po jakimś dłuższym okresie względnie stabilnych cen przyjdzie inflacja, część producentów stosuje downsizing i w krótkim okresie popyt na ich produkty nie spada. Ale prowadzenie przedsiębiorstwa to proces długofalowy i na kondycję przedsiębiorstw w długim terminie downsizing u konkurencji nie wpłynie – tłumaczy dr Jasiński.

Alternatywą dla wzrostu cen i downsizingu jest spadek jakości produktów. Kiedy klient zauważa wzrost cen albo to, że w wyniku downsizingu jego waga jest niższa, może zrezygnować z produktu czy usługi na rzecz tańszej opcji. Jedna z sytuacji może być taka, że producent zastosuje surowce gorszej jakości, aby utrzymać cenę na tym samym poziomie i dzięki temu klienci przerzucą się na jego produkt. Na przykład używa tańszego oleju palmowego zamiast droższego słonecznikowego. Może to mieć różnorakie konsekwencje, także zdrowotne.

Liczba tabletek w opakowaniu zbiorczym leku jest niższa, a opakowanie kremu tak zmodyfikowano, by zmieściło się w nim mniej kosmetyku. Liczba herbat w opakowaniu została zmniejszona ze 100 do 88 sztuk, a waga słoiczka dżemu z 300 g do 280 g. Produkty zaczynają mieć dziwne wagi i objętości. Nie są to okrągłe wartości. Opakowanie chipsów zmieniono ze 150 g do 125 g czy 135 g. Wafelek nie ma już 50 g, tylko 48,5 g czy 47,5 g. W przypadku niektórych produktów, np. w przemyśle spożywczym czy kosmetycznym, downsizing bardzo łatwo zastosować, ale w wielu branżach może to być znacznie trudniejsze lub nawet niemożliwe. Na przykład trudno sobie wyobrazić, by salon sprzedawał 80 proc. samochodu i jeszcze nie było tego widać na pierwszy rzut oka. Oczywiście swego czasu sprzedawane były zubożone wersje różnych marek, aby auta były tańsze, ale teraz z powodu unijnych regulacji nie można nie montować wielu niepotrzebnych systemów. To uderza w biedniejsze warstwy społeczeństwa, bo z powodu regulacji auta są droższe. A w stosunkowo krótkim czasie ceny samochodów niemal się podwoiły. To pokazuje skalę zjawiska – zarówno inflacji, jak i zubożenia ludzi. Na ten drugi problem wskazują też policyjne statystyki. W 2022 r. odnotowano 31-proc. wzrost liczby kradzieży w sklepach.

W niektórych przypadkach, np. w przemyśle spożywczym czy kosmetycznym, łatwo jest zastosować downsizing

CZY TO OSZUSTWO?

Według GUS w 2022 r. inflacja w Polsce wyniosła 14,4 proc. Była najwyższa od 1997 r., czyli od ćwierćwiecza. W lutym br. inflacja CPI, czyli wskaźnik zmiany cen towarów i usług konsumpcyjnych, sięgnęła 18,4 proc. Tu tkwi problem, a nie w zachowaniach firm, które muszą utrzymać się na konkurencyjnym rynku. Ale downsizing może być reakcją producentów nie tylko na inflację, lecz także na wzrost podatków. „Producenci reagowali póki mogli na PiS-owskie »zabawy«. Np. podatek cukrowy sprawił, że litr słodzonego napoju czasem teraz bywa 0,9, a czasem 0,85, a akcyza na alkohol zmniejszyła objętość małpek" – zauważa na portalu społecznościowym poseł Dziambor. To politycy zarówno podnoszą podatki, jak i wywołują inflację. To ich fatalna polityka jest praprzyczyną stosowania przez producentów downsizingu.

Downsizing nie jest oszukiwaniem klientów. Już prędzej można by tak nazwać zjawisko inflacji. – Czasami spotykam się z takimi stwierdzeniami, że jeśli konsument odkrywa, że waga czekolady nie wynosi już 100 g, tylko 95 g czy 90 g, a cena jest taka sama, to tak jakby producent go oszukał. To jest mylenie pojęć. Oszukanie klienta jest wtedy, kiedy kupuje tabliczkę czekolady, na której napisane jest 100 g, wraca do swojego mieszkania, waży tę czekoladę i okazuje się, że jest 95 g. Czyli jest celowe wprowadzenie w błąd konsumenta. To jest oszukiwanie – i takie rzeczy trzeba piętnować. Natomiast jeśli na opakowaniu jest podana waga 95 g, to klient może czuć pewne zażenowanie, ale to nie jest oszukiwanie, tylko jedna z konsekwencji inflacji – mówi dr Jasiński. – Jeżeli już mamy mówić o poszkodowaniu klienta, to jest on poszkodowany przez inflację, a nie przez producenta. Ludzie często sobie wyobrażają, że to producent chce ich oszukać. Gdyby tak było i gdyby to miało być skuteczne, potencjalnie działałoby to też w innych warunkach. Dlaczego producenci czekali na inflację? Nie dzieje się tak dlatego, że konkurencyjny rynek powoduje to, iż takie bezrefleksyjne podniesienie ceny jest zaproszeniem konkurencji. Jeżeli downsizing to nie jest przypadek jednostkowy, tylko dotyczy większej ilości produktów, które kupujemy, to znaczy, że takie są ogólne uwarunkowania rynkowe. Producenci nie mają wyboru i uważają, że przycięcie produktu łatwiej rozejdzie się po kościach. To dla nikogo nie jest łatwa sytuacja. I konsument, i producent cierpią przez inflację.

Być może są też producenci czy handlowcy, którzy wykorzystując sytuację inflacyjną, nadmiernie podnoszą ceny czy zmniejszają produkt, by generować wyższy zysk. Takie jednak zachowanie rynek szybko zweryfikuje spadkiem popytu. Oszustwem jest natomiast to, na co wskazał poseł Zandberg: reklamowanie na billboardach przez sieć handlową masła 200-gramowego i jednoczesne układanie na półkach sklepowych masła w identycznym opakowaniu, ale o wadze 170 g. W takiej sytuacji poseł słusznie się domaga, by sprawą zajął się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, i w tym celu złożył odpowiedni wniosek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tak banki łupią w Polsce

Polskie banki – a raczej banki obecne w Polsce, bo przecież nie wszystkie są polskie – są jednymi z najbardziej łupiących klientów w UE. Dokładnie rzecz biorąc, w całej UE tylko banki na Cyprze i w Grecji obdzierają ze skóry jeszcze bardziej niż „nasze".

Łatwo dojść do takiego wniosku, studiując zaprezentowane przez „Dziennik Gazetę Prawną" – a przygotowane na podstawie danych Europejskiego Banku Centralnego – zestawienie marż banków działających w państwach członkowskich Unii, czyli różnic między oferowanym przez nie oprocentowaniem kredytów i depozytów. To właśnie pod tym bowiem, kluczowym w tej sprawie, względem – żarłoczności – banki w Polsce niemal nie mają sobie równych w UE, bo wyprzedzają je tylko te z Cypru i Grecji. To polscy bankierzy niemal najwięcej wyciskają z kredytobiorców i niemal najmniej dają zarobić ludziom lokującym u nich oszczędności.

Owa marża banków – czyli różnica między oprocentowaniem oferowanych kredytów a depozytów – najniższa jest (dane z 30 kwietnia 2023 r.) we Francji, gdzie wynosi 0,43 punktu procentowego. We Włoszech sięga 1,54 p.p., w Niemczech – 1,69 p.p., w Hiszpanii – 1,93 p.p., w Czechach – 2,12 p.p., na Węgrzech – 3,2 p.p., a w Polsce – aż 3,5 p.p. Czyli osiem razy więcej niż we Francji i ponad dwa razy więcej niż w Niemczech. Dla porządku – w wyprzedzających Polskę w tym rankingu Grecji i na Cyprze wynosi kolejno 3,91 p.p. i aż 4,68 p.p.

Na domiar złego sytuacja Polaków się pogorszyła. Z przygotowanego przez „DGP" porównania wyników marż banków z 31 grudnia 2020 r. wynika, że marża banków w Polsce wynosiła wówczas 2,26 p.p., co dawało nam w UE miejsce ósme – ex aequo z Estonią.

Czy można się dziwić? To przecież po prostu – jak mawiał Kisiel – rezultat. Rezultat populizmu rządzących. W końcu gdyby władze Polski, zamiast za wszelką cenę walczyć o przychylność wyborców, w porę przykręciły bankom kurek z kredytami frankowymi (w latach 2005–2008 – a kto wtedy rządził Polską, w tym nadzorem bankowym?), gdyby niedawno nie dopuściły do masowego udzielania hipotecznych kredytów złotowych o zmiennej stopie procentowej (w latach 2017–2022 – a kto wtedy rządził Polską, w tym nadzorem bankowym?), gdyby nie przesadziły z osłabianiem banków nadzwyczajnym podatkiem w 2016 r., gdyby nie oferowały wyborcom wakacji kredytowych i hipotecznych kredytów „2 proc.", a wkrótce być może nawet „0 proc." – to działające w Polsce banki nie musiałyby zawiązywać aż tak gigantycznych rezerw na te wydatki i byłyby w o niebo lepszej sytuacji. I nie musiałyby aż tak windować swej marży. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Niedzielski spadnie na cztery łapy

Adam Niedzielski przestał być ministrem zdrowia. Niektórzy się cieszą, w tym i ci, którzy doskonale pamiętają jego „zasługi" z okresu pandemii. A warto je przypomnieć. To przede wszystkim rozwalenie służby zdrowia, skutkujące jej zapaścią i potraktowaniem osób niechorujących na COVID jak śmieci. Zapaść diagnostyki, zwłaszcza nowotworowej. Patologia wynikająca z dodatków covidowych. Patologia zdalnych „badań". Trwające blisko 300 dni zamknięcie szkół i wynikające z tego niemożliwe często do nadrobienia deficyty uczniów oraz ich problemy psychiczne. Wszystkie lockdownowe nonsensy i absurdy, skutkujące niszczeniem polskich firm oraz wpompowaniem do systemu 200 mld zł, co napędziło inflację. Zakup absurdalnie wielkiej liczby szczepionek, za które Polska wciąż musi zapłacić. Łamanie prawa przez organy państwa, działające na podstawie bezprawnych rozporządzeń. A to tylko najważniejsze z przewin pana Niedzielskiego.

> **To nie jest żadna sprawiedliwość. To taktyczny manewr zrzucenia z wozu problematycznego urzędnika**

Dlatego ja się nie cieszę: Adam Niedzielski został zmuszony do odejścia nie z powodu tamtych wyczynów – za które zresztą odpowiedzialność polityczną ponosi również pan premier, wszak niezliczone rozporządzenia covidowe on podpisywał – ale dlatego, że nastąpił przed wyborami na odcisk lekarskiemu establishmentowi. Temu samemu, który w czasie pandemii klaskał uszami na wieść o kolejnych restrykcjach i siedział cicho, inkasując dodatek covidowy.

To nie jest żadna sprawiedliwość. To najczystszy taktyczny manewr zrzucenia z wozu problematycznego urzędnika, który nie miał w obozie władzy żadnych pleców – był człowiekiem do wynajęcia.

Często przypominano, że Ala Capone'a także nie posadzono za zlecanie zabójstw i gangsterkę, ale za niezapłacone podatki. Ale jednak gangster z Chicago siedział. Skończył zresztą smutno. Wypuszczono go warunkowo w związku z zaawansowanym syfilisem i degeneracją umysłową, która sprowadziła go do poziomu 12-latka. Obawiam się, że Adam Niedzielski, nawet jeśli nie znajdzie się na listach wyborczych, i tak spadnie na cztery łapy. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

Pierwsza najpiękniejsza

Radosław Wojtas

Spoczywa na francuskim panteonie polskiej emigracji. Jej urodą i talentem zachwycano się w Polsce, Europie i USA, ale zamiast kariery wybrała rodzinę. Skromna urzędniczka, agentka, pierwsza Miss Polonia. Władysława Śliwińska

P. WŁADYSŁAWA KOSTAKÓWNA, „MISS POLONIA”, laureatka konkursu na najpiękniejszą Polkę w toalecie z firmy Bogusław Herse

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA, BIBLIOTEKA CYFROWA KUL, JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Po wylądowaniu na paryskim lotnisku Charles'a de Gaulle'a trzeba przejechać nieco ponad 20 km, by dotrzeć do miasteczka Montmorency. W średniowieczu miasto to wyrosło na ważny regionalny ośrodek handlowy i rzemieślniczy. W 1257 r. osiedlili się tu templariusze. Od odrodzenia zaczęły się tu rozwijać uprawa winorośli i sadownictwo, a od XVII w. Montmorency zyskiwało popularność jako miejscowość wypoczynkowa. Oddech łapali tu najzacniejsi paryżanie i zagraniczni goście. Bywała tu rodzina Bonapartów, bywała rozchwytywana przez mężczyzn – i absolutnie od tego niestroniąca – aktorka Rachel Félix, bywał niemiecki kompozytor Richard Wagner.

Miasteczko to stało się w XIX w. popularnym celem polskiej emigracji, po upadku powstania listopadowego schronienia szukało tu wielu Polaków. Podparyski kurort przyciągał największych, w tym Mickiewicza czy Chopina. Odkąd na miejscowej nekropolii złożono na wieczny spoczynek ciało zmarłego w 1841 r. Juliana Ursyna Niemcewicza, na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency przybywało nagrobków z polskimi nazwiskami. Mickiewicz, Norwid, Piłsudski (Bronisław, brat Józefa), Sosnkowski, Niemcewicz, Boznańska… Lista jest długa i liczy ponad 270 zachowanych do dziś grobów. Les Champeaux to największa polska nekropolia we Francji.

W

Panie, o których mówi stolica:

Władysława Śliwińska

Wybierzmy się zatem na spacer alejkami cmentarza. Przejdźmy do kwatery B, by w pobliżu nagrobków Olgi Scherer oraz Anieli i Ludwika Lewandowskich zatrzymać się na dłużej przy dużym, granitowym pomniku, na którym złotymi literami wypisano nazwisko: Władysława Śliwińska. Ta opowieść jest o niej.

PANNA Z POCZTÓWKI

Życie Władysławy od najmłodszych lat naznaczone było podróżami, by nie napisać – tułaczkami. Córka rzeźbiarza Stanisława Kostaka oraz Marii Antoniny przyszła na świat 20 grudnia 1908 r. w Warszawie. Ma zaledwie sześć lat, gdy pierwsza wojna światowa zmusza ją i jej matkę do emigracji. Wyjeżdżają na Krym. Jednak i tam robi się niebezpiecznie, gdy wybuchają walki o niepodległość Krymskiej Republiki Ludowej, więc w roku 1920 Władysława trafia do Warszawy. Jak się okazuje – nie było do czego wracać. Dawne mieszkanie Kostaków zajął już ktoś inny, bezpardonowo pozbywając się całego wyposażenia.

Stanisława wyjeżdża z córką do Francji, by powrócić do ojczyzny po trzech latach. Wydaje się, że kobiety wreszcie zakotwiczą w jednym miejscu na dłużej. Władysława kończy kursy i znajduje zatrudnienie w Miejskiej Kasie Oszczędności. Pewnie

eprasa.pl 68bd3b792c

pracowałaby spokojnie jako urzędniczka, gdyby nie pewien konkurs piękności. Nie jest to pierwszy w Polsce plebiscyt piękności, ale – jak się miało okazać – zapoczątkuje on wieloletnią tradycję i stanie się najbardziej prestiżowym tego typu konkursem w kraju. Tadeusz Boy-Żeleński wymyśla dla niego nazwę – Miss Polonia.

Jest rok 1929, Władysława ma wówczas 22 lata i postanawia w nim wystartować, mimo że jest tylko skromną urzędniczką, a rywalizować będzie z arystokratkami. Może to właśnie dlatego, a może z powodu wrodzonej skromności występuje w konkursie pod pseudonimem – Limba. Wysyła swoje zdjęcia zrobione przez młodego fotografa Jerzego Dorysa, które są przepustką do półfinałów konkursu. Ostatecznie zdobywa serca jurorów i publiczności śledzącej plebiscyt w prasie i zostaje pierwszą w historii Miss Polonia. Urzędniczka, która z dnia na dzień zdobyła dużą rozpoznawalność, którą interesowała się cała Warszawa, mówi na łamach prasy, że wynik ją zaskoczył i że jest nim oszołomiona. Ludzie ją pokochali za skromność. Prasa pisała o niej: „Z pensji 200 zł opłaca jednopokojowe mieszkanie i utrzymuje chorą matkę. Sama spełnia w domu rolę gosposi. Życie jej jest ciężką walką z losem. Miss Polonia jest dzielną dziewczyną".

Sukces ma bardzo wymierne efekty. Miss i jej matka dostają nowe mieszkanie, przenoszą się z Pragi do Śródmieścia. Jednak oprócz poprawy warunków materialnych, oprócz sławy, rozpoznawalności i idących za tym benefitów, tytuł Miss Polonia to przede wszystkim przepustka do Paryża. Władysława reprezentuje Polskę na najstarszym międzynarodowym konkursie piękności – Miss Europe. Polka co prawda nie wygrywa, ale zostaje pierwszą wicemiss. Popularność Kostakówny wychodzi poza granice Polski, jej zdjęcia pojawiają się w europejskiej prasie, trafiają na pocztówki z podobiznami laureatek Miss Europe.

DZIEWCZYNA Z ZASADAMI

Kariera skromnej Władysławy przyspiesza jeszcze bardziej. Kolejnym przystankiem mają być Stany Zjednoczone i udział w konkursie Miss Universe. Wysoka lokata w tym plebiscycie mogła otworzyć przed Polką drzwi do Hollywood i prawdziwej międzynarodowej kariery. Jednak Władysława postanawia się wycofać. Dlaczego? Traktuje bardzo poważnie list, który został wysłany do wszystkich uczestniczek Miss Universe przez bp. Christophera Edwarda Byrne'a. Teksański biskup pisał, że dziewczęta – przynajmniej te porządne – nie powinny paradować skąpo odziane przed jurorami, a co gorsza – przed publicznością.

Kostakówna wraca do Polski, a siedem miesięcy później nosi już nazwisko Śliwińska. Mimo że z konkursu Miss Universe się wycofała, dostaje propozycje aktorskie. Wszystkie konsekwentnie odrzuca. Poświęca się roli żony i matki – choć przyszywanej – dla syna swojego męża, wdowca, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, warszawskiego adwokata Leona Śliwińskiego. Prasa nadal się nią interesuje. Relacjonuje prozaiczne rzeczy z jej życia, jak to, że Władysława zapisała się na kurs prawa jazdy albo że zrobiła patent żeglarski, albo że przygarnęła do domu psy. À propos zwierząt, ich los leży jej na sercu, Śliwińska wykorzystuje swoją popularność, by działać na rzecz zwierząt.

Nagrobek Władysławy Śliwińskiej

FOT. ARCH. PLAINE VALLÉE TOURISME/INSTYTUT POLONIKA

Udziela się również charytatywnie, zwłaszcza w Towarzystwie Opieki nad Głuchoniemymi. I prowadzi dom.

Po wybuchu drugiej wojny światowej Śliwińscy opuszczają Warszawę, schronienia szukają w okolicach Zaleszczyk, z których także wyjeżdżają po wkroczeniu Armii Czerwonej. Docierają do Francji. Tu się rozdzielają. Leon wyjeżdża do Londynu, gdzie służy w Marynarce Wojennej, a Władysława i Leon junior kotwiczą w Nicei. Kiedy i tu docierają Niemcy, miss i jej pasierb tym razem nie uciekają. Zaczynają działalność w wywiadzie. Władysława przyjmuje kryptonim Maria i zostaje szyfrantką. Za swą konspiracyjną działalność odmawia przyjmowania wynagrodzenia. Awansuje do stopnia podporucznika.

Wykazuje się odwagą, by nie powiedzieć – brawurą. Gdy Niemcy aresztują Leona juniora, była miss pozbywa się notesu pasierba, obawiając się, że zapiski mogą obciążyć jego lub inne działające w konspiracji osoby. W jaki sposób? Zjada go! Za swą działalność w czasie drugiej wojny światowej odbiera King's Medal for Courage in the Cause of Freedom oraz Legię Honorową. Inne jej odznaczenia to m.in. Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Croix de Guerre i Médaille en Vermeil.

Cała rodzina przeżywa wojnę, ale nie decyduje się na powrót do Polski oddanej w łapska Stalina i Rosji. Wyjeżdżają do Maroka, gdzie zarządzają kopalniami rud metali, pomagając i dając zatrudnienie innym działaczom antyniemieckiej konspiracji. Po śmierci męża pierwsza Miss Polonia wraca do Francji. Umiera 1 marca 2001 r. w Aix-en-Provence. Zostaje pochowana na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency.

SPACER PO MONTMORENCY

Spacer alejkami „panteonu polskiej emigracji" warto przedłużyć o kilkanaście minut i skierować swe kroki do kolegiaty św. Marcina, gdzie zachowała się rzeźba epitafijna polskich emigrantów – Juliana Ursyna Niemcewicza i Karola Ottona Kniaziewicza dłuta Władysława Oleszczyńskiego z 1848 r. Kolejnym znakiem obecności Polaków jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 68bd3b792c

ŠKODA ENYAQ COUPÉ RS iV

Gdyby szukać samochodu czeskiego producenta, który ma najwięcej dobrej energii, byłby to właśnie model Enyaq Coupé w usportowionym wariancie RS i najwyższym wariancie wyposażenia (MAXX) z podświetlanym grillem i panoramicznym dachem.

Auto przykuwa uwagę. I nie jest to tylko zasługa reflektorów Full LED Matrix czy grilla Crisal Face, w którym 131 diod LED nie tylko przyjaźnie wita i żegna użytkownika, lecz także po zapadnięciu zmroku tworzy unikalną wizytówkę najfajniejszej jak dotąd e-Škody. Enyaq Coupé RS iV uwodzi zgrabną sylwetką z opływowym zejściem dachu, odważnymi kolorami lakieru oraz świetnie dobranymi alufelgami.

Zaskakująco przestronna kabina została wykończona minimalistycznie z użyciem bardzo dobrych materiałów. W centralnym miejscu kokpitu znajduje się 13-calowy wyświetlacz dotykowy do obsługi systemu multimedialnego. Jakość obrazu jest znakomita. Szkoda jednak, że nawet klimatyzację trzeba obsługiwać z poziomu ekranu, co np. podczas jazdy na autostradzie nie sprzyja koncentracji na drodze.

Przednie, kubełkowe fotele są komfortowe i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Dużo miejsca mają również pasażerowie siedzący na tylnej kanapie. Bagażnik w wersji Coupé ma zaś 570 l pojemności, która po złożeniu tylnej kanapy zwiększa się do 1610 l. Zarówno w bagażniku, jak i w kabinie rozlokowano wiele praktycznych schowków, uchwytów (jak przystało na Škodę jest też schowek na parasol w drzwiach).

Napęd 4 x 4 (silniki elektryczne są umieszczone przy obu osiach) oraz nisko położony środek ciężkości sprawiają, że autem jeździ się tak, jakby było przyklejone do drogi. Moc aż 299 KM i moment obrotowy wynoszący 460 Nm pozwalają rozpędzić się od zera do 100 km/h w 6,5 s. Nieźle, choć typowo sportowi konkurenci w tej rubryce mają wpisane jeszcze niższe wartości. Auto jest jednak bardzo dynamiczne i podczas testu czułem, że zawsze mam jeszcze pod pedałem gazu odpowiedni zapas mocy. Kierowca może wybrać tryb pracy układu jezdnego: od ekonomicznego przez komfortowy do sportowego, dzięki czemu autem można podróżować niczym wygodną limuzyną lub usportowionym „hot coupé" ze świetną trakcją i z bezpośrednim układem kierowniczym.

Zasięg maksymalny podawany przez producenta wynosi ok. 520 km. W naszym teście auto było w stanie na pełnym akumulatorze przejechać nieco ponad 400 km. Średnie zużycie energii w cyklu mieszanym (miasto, droga krajowa, autostrada) wyniosło 17,9 kWh/100 km. Zaletą tego modelu jest możliwość korzystania z szybkich ładowarek, co pozwala skrócić czas „tankowania" do ok. 30 minut.

Auto jest naszpikowane technologiami zwiększającymi komfort jazdy (aktywny tempomat) i bezpieczeństwo (Turn Assist pozwala uniknąć zderzenia podczas skrętu w lewo na skrzyżowaniu; jest też monitorowanie martwego pola lusterek etc.). Nieco irytujący jest tylko asystent pasa ruchu, który czasem głośno strofuje nawet prawidłowo jadącego kierowcę.

Najbardziej usportowiony wariant Škody Enyaq to wydatek co najmniej 295,9 tys. zł. Wersja najdroższa kosztuje ok. 330 tys. zł.

SŁUCHAWKI JABRA ELITE 7 ACTIVE

Wodoodporność klasy IP57, bardzo dobra jakość dźwięku, minimalistyczne wzornictwo, niska waga, możliwość ładowania bezprzewodowego – to największe zalety bezprzewodowych dokanałowych słuchawek renomowanej duńskiej firmy Jabra.

Elite 7 Active to jeden z najbardziej zaawansowanych modeli tego producenta. Minimalistyczny, skandynawski design to jedna z zalet Jabry. Niewielkie słuchawki wyglądają elegancko, dzięki czemu można je zakładać nie tylko na jogging czy na siłownię, lecz także do biura czy na narady on-line na najwyższym szczeblu. „Pchełki" pokryte specjalną powłoką ShakeGrip – czyli płynną gumą silikonową – ważą zaledwie 5,5 g i są jednymi z najmniejszych na rynku słuchawek dousznych dla sportowców. Są także odporne na pot czy jesienne deszcze w sierpniu (stopień ochrony IP57). Mimo niewielkich gabarytów Jabra Elite 7 Active dobrze trzymają się w uszach i nie wypadają nawet przy gwałtownym wyciskaniu siódmych potów.

Słuchawki są kompatybilne z Bluetooth 5.2, obsługują też popularne kodeki, takie jak AAC czy SBC. Jakość dźwięku jest bardzo dobra. Brzmienie jest czyste, a basy podbite tak, aby podpasowały popularnym gustom większości użytkowników, których niskie tony motywują do jeszcze większego wysiłku. Dostosowanie brzmienia do osobistych preferencji umożliwia equalizer w bezpłatnej aplikacji Jabra Sound+. Sterowanie głośnością, przełączanie utworów, odbieranie/odrzucanie połączeń czy aktywowanie asystenta głosowego jest wyjątkowo intuicyjne. Fajnie, że można też szybko się przełączyć z trybu redukcji hałasu na tryb, w którym wyraźnie słychać dźwięki otoczenia (co przydaje się, gdy nagle ktoś coś do nas mówi, a nie chcemy wyjmować słuchawek z uszu).

Elite 7 Active nie są co prawda nowe na rynku, ale ostatnie aktualizacje oprogramowania sprawiają, że słuchawki można już śmiało polecić wszelkim aktywnym użytkowników. Nie ma bowiem już zgłaszanych wcześniej przez użytkowników kłopotów ze sporadycznym zrywaniem połączeń. Poprawiona została również jakość działania systemu redukcji hałasu (ANC), choć przy niskich tonach i włączonym ANC nadal można się nieco czepiać brzmienia basów. Czas pracy słuchawek na jednym ładowaniu wynosi ok. 30 godzin. Cena: 609 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 68bd3b792c

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Czy w Birczy bieda skwirczy?

JACEK KOMUDA

Bircza na Pogórzu Przemyskim, mniej więcej w połowie drogi między Sanokiem a Przemyślem, to dawne miasto znane przede wszystkim z bitwy we wrześniu 1939 r., walk z UPA i trzech krwawych ukraińskich ataków – na przełomie lat 1945 i 1946. Do dziś uważa się, że wojna skończyła się tutaj dopiero po 1948 r. Starsi pamiętają także zabawny reportaż z końca lat 80.: „Czy w Birczy bieda skwirczy?". Tymczasem staropolska historia tego miejsca jest równie ciekawa co współczesna, sięga bowiem XV w.

Herb Birczy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jak podaje Grzegorz Jawor, Bircza już w 1418 r. pojawia się w źródłach jako wieś na prawie wołoskim należąca do Iwana i Jakuba. Jej nazwę pisano przez całe stulecie bardzo różnie – również jako „Byercza", „Byrcza", „Byrczha". Wsie lokowane na prawie wołoskim miały inną organizację niż zwyczajowe – osadzane według zasad prawa magdeburskiego zwanego niemieckim. Były to zwykle osady pasterskie, nastawione na hodowlę owiec, kóz i bydła.

Dlatego w 1446 r. Birczą zarządzał kniaź Maksym, który był odpowiednikiem magdeburskiego sołtysa. Już jednak rok później wieś nabył za 800 grzywien Jerzy Matiaszowic ze Zboisk, który zresztą w 1459 r. uzyskał godność podczaszego przemyskiego. Wcześniej uzyskał przywilej lokacyjny na założenie miasta. Posadowił je na gruntach Birczy, w miejscu obecnej zabudowy, i nazwał Nowobród (Novibród). Już jednak w pierwszej połowie XVII w., jak podaje Stanisław Kryciński w „Pogórzu Przemyskim", nazwa zaniknęła, nową miejscowość zaczęto nazywać Birczą, a oddzieloną od niej wieś „Starą Birczą", która przetrwała do dzisiaj. Obok kniazia zasiadającego we wsi pojawił się zatem sołtys Nowobrodu, a osada rozwinęła się w miasteczko. Synowie Matiaszowica – Jan i Rafał – ufundowali w 1478 r. parafię łacińską i kościół w sąsiedniej wsi – Boguszówce, która dopiero w XIX w. została częścią Korzeńca. Być może istniał tutaj także klasztor, o którym wspomina Jan Porembalski.

RYS. MART

Z kolei w samej Birczy działał prawosławny monastyr z cerkwią pod wezwaniem św. Mikołaja.

W 1643 r. parafia łacińska została przeniesiona z Boguszówki do Birczy – uczynił to jeden z kolejnych właścicieli: Andrzej Birecki. Ród ten wywodził się od Jakuba Humnickiego, syna wspomnianego Jerzego Matiaszowica ze Zboisk. Bireccy utrzymali okoliczne dobra do połowy XVII w., potem uległy one rozdrobnieniu.

Koniec XVI w. to okres rozwoju miasteczka. Bircza otrzymała przywileje na organizowanie trzech jarmarków rocznie i jednego targu w tygodniu, ukończono budowę ratusza, który się nie zachował, drewnianego kościółka i szkoły. Dziś możemy tylko się domyślać jak wyglądała zabudowa. Zapewne rynek tworzyły drewniane domy podcieniowe; klimat takiego miasteczka pokazuje dobrze Galicyjski Rynek w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

Bireccy pod koniec XVI w. zbudowali w Birczy potężny dwór otoczony ziemnymi fortyfikacjami. Prawdopodobnie został rozbudowany przez kolejnych właścicieli do postaci drewnianego zamku. Znacznie później, bo na początku XIX w., kolejni właściciele – Humniccy – wybudowali w tym miejscu murowany pałac, wielokrotnie przebudowywany m.in. przez rodzinę Kowalskich, którzy nabyli posiadłość w 1841 r. Na uwagę zasługuje to, że pięć lat później Adam Anzelm Kowalski z pomocą okolicznej szlachty i mieszczan pobił w czasie rabacji galicyjskiej uzbrojone bandy chłopstwa i powstrzymał przed rozszerzaniem się powstania. Upaństwowiony po 1945 r. zamek został zrujnowany w czasie walk z UPA i obecnie jest restaurowany i odnawiany.

W okolicy Birczy znajduje się też wzniesienie zwane „kocim zamkiem", które według niepotwierdzonych przekazów związane jest być może z pobytem w tych stronach czeskich Husytów, konkretnie zaś ich odłamu zwanego Taborytami. Jak podaje Stanisław Kryciński, miejsca, w których zataczali obronne tabory, zwane były właśnie „koczymi" lub „kotczymi" zamkami. Nazwa za wywodzi się jednak nie od kota, ale od koczy lub kotczego, czyli węgierskiego wozu; podobnie nazywano zresztą dobrego konia pociągowego, podczas gdy woźnicę określano jako kotszysza.

W XVII w. Bircza przeżyła dwa wielkie najazdy tatarskie – w latach 1624 i 1672 – kiedy torhaki zapuściły się w głąb Bieszczadów, paląc wsie i uprowadzając w niewolę tłumy jasyru. Większość uwolnił później w czasie błyskotliwej kampanii hetman Jan Sobieski, przyszły król Polski. Z czasów tych zachowała się zresztą legenda o bireckim duchu, czyli strażniku, który ostrzegać miał przed atakiem Tatarów, jednak nie udało mu się zaalarmować mieszkańców, pokutuje zatem pod postacią upiora pokazującego się na wałach otaczających pałac. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Złoto Bułgarii

Każdy z nas ma swoje wakacyjne miejsce na ziemi. Także i my często wracamy do słonecznej Bułgarii. Mamy swoją przystań w Obzorze. To całkiem niedaleko, bo zaledwie dwie godziny bezpośredniego lotu z Polski. Tu czujemy się wspaniale, beztrosko, tu odpoczywamy, a tutejsza kuchnia smakuje nam szczególnie. Jest prosta, bardzo aromatyczna, smaczna, taka od serca. Mamy tu zaprzyjaźniony targ w miasteczku, gdzie kupujemy świeże lokalne produkty od rolników, pachnące pomidory, soczyste brzoskwinie i obłędnie słodkie arbuzy. Zajadamy się wspaniałymi serami, jogurtami, które jako jedyne na świecie uznawane są za wyjątkowe, bo zawierają niepowtarzalne i spotykane tylko w tym regionie szczepy kultury bakterii lactobacillus bulgaricus. Nie dość, że bułgarski jogurt jest przepyszny i wykorzystywany do wielu potraw i dań w tutejszej kuchni, to dodatkowo jest bardzo zdrowy – pomaga w leczeniu stanów zapalnych, wspiera pracę jelit i układ odpornościowy, działa odtruwająco na organizm. To właśnie jogurt i przetwory mleczne są sekretem długowieczności Bułgarów.

Co ciekawe, bułgarski jogurt to ulubiony napój nie tylko tu, w Bułgarii – przede wszystkim w Japonii. Japończycy docenili bułgarski jogurt tak, że jest on bardziej popularny niż powszechnie nam znane napoje chłodzące. Japończycy jedzą go codziennie na śniadanie z różnymi dodatkami na słodko lub jako dodatek do świeżych warzyw. Bułgarski jogurt w Japonii powstaje z tradycyjnych bułgarskich zakwasków sprowadzanych do Japonii. Ale bułgarskie jogurty znane są na całym świecie.

Słodkie i wyjątkowo soczyste arbuzy araszan to odmiana, która również podbiła nasze serca. To wyjątkowy owoc – składa się w 90 proc. z wody, zawiera dużo witaminy C oraz A i bardzo cenny potas. Jest niskokaloryczny i wspomaga odchudzanie, doskonale nawadnia organizm. W sierpniu na tutejszych bazarkach kupić możemy figi oraz słodkie i aromatyczne brzoskwinie, które w połączeniu z jogurtem stanowią duet idealny.

Eliksir długowieczności

• 1 opakowanie jogurtu naturalnego gęstego (bułgarski byłby idealny) • słodka dojrzała brzoskwinia • 1 łyżka miodu • 1 łyżka orzechów włoskich

Wszystkie składniki przekładamy do misy blendera i blendujemy do uzyskania jednolitej konsystencji. Pijemy na zdrowie schłodzone.

Deser z jogurtu i fig

• 1 opakowanie jogurtu naturalnego • 2 dojrzałe figi • garść orzechów włoskich podprażonych na złoto na suchej patelni • 1 łyżka płynnego miodu • listki mięty

Na jogurcie układamy pokrojone figi, posypujemy orzechami i polewamy płynnym miodem. Przyozdabiamy listkami mięty. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jako ratownik

Jako babcia wnucząt w wieku środkowej i późnej podstawówki podjęłam się bohaterskiej misji spędzenia z nimi części wakacji na wsi nad jeziorem. Wyjazd poprzedziły prelekcje rodziców i dziadków, jak należy zachowywać się w wodzie. Słuchali znudzeni, bo cała trójka świetnie pływa, przeszkolona na licznych szkolnych i pozaszkolnych kursach, licytowano się tylko w zapewnieniach, kto lepiej. Kto ile się utrzyma pod wodą, z jakiej wysokości skoczy oraz ile piruetów zrobi po drodze. Wszyscy ci olimpijscy sportowcy dmuchane zabawki, rękawki, koła ratunkowe i tym podobne dziecinne gadżety mieli w głębokim poważaniu. Jedno, co udało się wymusić: na głębokiej wodzie należy obowiązkowo mieć na sobie kamizelkę ratunkową. Koniec, kropka. Obwieszczenie przyjęto z ponurą rezygnacją.

Stałam bezradna wobec przechwałek. Nasze jezioro jest dzikie, głębokie i niestrzeżone, zatem odpowiedzialność za życie nieletnich spoczywała na doraźnym opiekunie, czyli na mnie. Czytaj: kimś, kogo trudno byłoby uznać za najmarniejszego ratownika. Raczej sama mogłabym wymagać pomocy, jako że wody boję się panicznie. Moje dzieciństwo upłynęło w czasie, kiedy basen można było oglądać (z rzadka) w filmie z Hollywood, ewentualnie posłuchać o nim na transmisji z zawodów, raczej radiowej… Pokoleniowo moi rówieśnicy i ja jesteśmy marnymi wodniakami. Mężczyźni może lepszymi niż kobiety. W Warszawie miało się dostęp do pływalni, w Milanówku była tylko glinianka, gdzie od czasu do czasu ktoś się topił.

Pływać, i to marnie, nauczyłam się sama jako nastolatka, spędzając wakacje u przyjaciółki na Mazurach. Najpierw w kapoku, potem bez. Daję sobie radę w wodzie, ale pilnowanie trojga szalejących na głębinach dzieci to co innego.

W dodatku mieli SUP. Urządzenie to, wymyślone dość niedawno, zaskakująco szybko stało się popularne na polskich wodach. Stand Up Paddle, czyli deska do pływania na stojąco, teoretycznie służy do tego, żeby majestatycznie sunąć po powierzchni wody. Ale jeśli użytkują ją dzieci w wieku lat 12 i 11, to bynajmniej nie służy do tego, żeby sunąć, o majestacie nie mówiąc. Deskę należy przewracać, kotłować w wodzie, spadać z niej, spychać z niej innych i próbować wdrapać się samemu. Wszystko w akompaniamencie wrzasków. W czasie tych harców zawsze jedna z trzech głów, albo więcej, jakiś czas znajduje się pod wodą. Potem wypływa, niekoniecznie w tym samym miejscu, gdzie się zanurzyła.

No cóż, jako opiekunka kolonii przetrwałam. Stan pogłowia nie został zmniejszony. Jednak babciom z podobnym potomstwem zalecałabym wakacje na lądzie stałym. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pandemia hipokryzji

Były już minister Niedzielski (przypomnę, że kandydat PiS w okręgu pilskim, nr 38 – ciekawe, czy i z kandydata go zdymisjonują) wkopał się dziwną aferą. Postąpił jak niedźwiedź od Wojskiego, któremu lepiej było w mateczniku siedzieć, ale ten coraz to wyłazi z pocovidowych chaszczy i robi się afera. Obecna polega na tym, że w wyniku kłótni w medycznej rodzinie minister ujawnił, iż jakiś lekarz sam sobie zapisał lekarstwo, o którym pisał wcześniej, że jest niedostępne. Pan minister znowu skłamał manipulacyjnie, licząc na swój kapitał, czyli niewiedzę odbiorców – ale nie to jest tu ważne. Ważna jest hipokryzja.

Otóż odezwały się media i… środowisko izb lekarskich, o politykach nie wspominając. Jako żywo są to podmioty, które jeszcze rok temu jak jeden mąż (stanu covidowego, dodajmy) żądały nie tylko segregacji, lecz także wprowadzenia procedur, nad którymi roni dziś kompleks medyczno-medialny krokodyle łzy. Minister bowiem popełnił delikt główny, ujawniając szczegóły terapii konkretnej osoby, co jest naruszeniem podstawowej zasady prywatności tego rodzaju danych wrażliwych. Wszczął się rwetes, że jak to tak, ale to przecież „podmioty rwetestowe" jeszcze niedawno śpiewały na masową skalę sanitarystyczne pieśni odwrotne.

Na ich podstawie byle kelner w knajpie mógł cię skutecznie dopytać na okoliczność twej jak najbardziej prywatnej decyzji o zaszczepieniu. Było to wymagane w co bardziej wyrywnych sklepach, teatrach (vide: Pierwsza Zaszczepiona Janda) czy w trakcie podróży. A przecież poddanie się terapii lub niepoddanie się jej jest jak najbardziej prywatną sprawą każdego, co gwarantuje mu (okazało się, że czasowo do zawieszenia) tajemnica lekarska. Mało tego, w COVID-19 mieliśmy do czynienia z tchórzostwem państwa, które w dodatku – bojąc się egzekwować własne obostrzenia – cedowała tę przykrą czynność na obywateli. W świetle proponowanych ustaw (które przepadły dzięki m.in. dzielnej postawie stransferowanej obecnie od Ziobry do Konfederacji posłanki Siarkowskiej) to przedsiębiorcy mieli dysponować wiedzą o zaszczepieniu pracownika i wyciągać z tej wiedzy feudalne konsekwencje, ze zwolnieniem włącznie.

Takie to były czasy, a my tu teraz, mając do czynienia z wilkami sanitaryzmu przebranymi za Katonów, emocjonujemy się jakiś formalnym trikiem. Szybko przechodzi, jak widać, nie tylko chwała tego świata, lecz także pamięć o czasach niedawnych, kiedy media i instytucje zdrowia publicznego robiły z nami, co chciały. Gdzie byliście wtedy, wy, przebrani dzisiaj w fałszywe togi walki o pryncypia, spod których wystają kopytka hipokryzji? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Patroni prawdy

Siatka pamięci utkana jest z dat, rocznic, jubileuszy. Niektóre okrzepły w pamięci zbiorowej i mają miejsca w kalendarzach, inne ożywiane są przy okazji jubileuszy, jeszcze inne pielęgnowane są w środowiskach, inne zaś tlą się tylko w naszych osobistych wspomnieniach.

Pisząc tekst, na wyświetlaczu komputera widzę datę 9 sierpnia, tygodnik zaś ukaże się 14 sierpnia. Obie daty prowadzą mnie do postaci nawykłych świętych. Łączy je nie tylko miejsce męczeństwa, osoba kanonizującego, lecz także oprawcy. Myślę o św. Teresie Benedykcie od Krzyża i św. Maksymilianie Kolbem.

Edith Stein, żydówka z Wrocławia, mając 14 lat, porzuca judaizm i deklaruje się jako ateistka. Potem przez studia artystyczne i psychologię dochodzi w końcu do filozofii. W czasie pierwszej wojny światowej zgłasza się na ochotnika do szpitala wojskowego, mając poczucie zobowiązania wobec narodu, który umożliwił jej studia, w którego języku i kulturze realizowała naukowy rozwój. Zwrotem było poznanie wdowy po przyjacielu poległym na froncie. Kobieta mimo straty ukochanego nie rozpacza. Wie, że życie jest w ręku Boga, i oczekuje spotkania w wieczności. To wydarzenie rozpoczyna w Edycie proces uporczywego poszukiwania prawdy, którą w końcu odnajduje w osobie Jezusa Chrystusa. Kosztem zerwania relacji ze swoją matką, wierzącą Żydówką, Edyta przyjmuje chrzest, potem wstępuje do karmelu, przyjmując imię Teresa Benedykta od Krzyża. Jan Paweł II beatyfikuje Edytę Stein w czasie, gdy pracuje na encykliką „Veritatis splendor". Jej historia dowodzi, że blask prawdy dostępny jest na drodze rozumowego poznania. Edyta dokonuje wyboru. Potem jako siostra Teresa Benedykta w pismach rozwija myśli św. Pawła, pisząc: „Kto wybrał Chrystusa, umarł dla świata, […] krzyż jest naszą jedyną chlubą". Swoją śmiercią – 9 sierpnia 1942 r. w niemieckiej komorze gazowej w Birkenau – potwierdza to, co pisała: „Aby stać się członkami ciała Chrystusa, musimy wraz z nim znosić cierpienia i umrzeć".

Rok wcześniej, również w Auschwitz, 14 sierpnia, zastrzykiem fenolu został uśmiercony o. Maksymilian Kolbe. On również radykalnie wybiera prawdę. Tak jak dla Teresy Benedykty, również dla Maksymiliana Kolbego prawdą jest Chrystus, i to Chrystus ukrzyżowany. Tę prawdę urzeczywistnia wyborem oddania życia za bliźniego. Jan Paweł II, przewidując, że syty Zachód wraz z apostazją zakwestionuje prawdę aż do negacji rzeczywistości, ustanawia Teresę Benedyktę patronką Europy.

Smutnym paradoksem jest to, że owo zanegowanie rzeczywistości i prawdy najszybciej postępuje właśnie w narodzie oprawców wspomnianych męczenników. Również w niemieckim w Kościele. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie było miejsca dla Mazguły

Niewysłowioną przykrość wyrządzono bojownikowi o wolność z demokracją, członkowi jak najbardziej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, płk. Adamowi Mazgule. Stop. Mężnie, brutalnie i jak prawdziwy oficer Ludowego Wojska Polskiego walczył Mazguła latami na ulicach i w Internecie z reżimem PiS-owskim, nawet selfiaka uczynił z przewodniczącym Tuskiem, na którym to selfiaku pręży się w koszulce z gwiazdami Unii Europejskiej. I co? Stop. „Władze KO nie znalazły dla mnie miejsca na liście. Widać są na Opolszczyźnie bardziej aktywni, merytoryczni, narażający się na represje, ale walczący 8 lat na ulicach i w sieci z PiS. A może nie chodzi o walkę? Powodzenia Wodzu!" – napisał rozżalony czerwoniak, do niedawna marzący o posłowaniu. Stop. Przytulmy Mazgułę. Stop.

Huraganowe wrażenie uczyniła posłanka PO Kinga Gajewska w trakcie zapowiadania wystąpienia Donalda Tuska. Stop. Trawestowała fragment książki Krystyny Siesickiej „Ludzie jak wiatr", robiąc przy tym miny dość odpowiednie i pełne napięcia. Stop. Nie przedłużając: według tejże koncepcji ludzie są jak wiatr, przy czym jedni wieją za mocno, inni za słabo, a w finale swej wypowiedzi pani Kinga powiedziała: „Przed nami ten, który wieje idealnie – Donald Tusk". Stop. Potęgę tej metafory widać było w oceanie interakcji internautów, którą wzbudziła. Stop. Zaczęły się merytoryczne dyskusje o wiatrach w ogóle i o wianiu w szczególności, i czy Tusk wieje idealnie, i czy już wiał, i czy wiać będzie, literatura to potęga, proszę państwa. Stop. Potęga.

Upraszam, aby się ze mnie nie natrząsać, ale ja byłem przekonany, że to całkiem niemożliwe. Stop. Że niemożliwe jest odwołanie ministra zdrowia Adama Niedzielskiego, bo wydawał się on bytem z wgrywanymi informacjami, które sprawnie odtwarzał publicznie – no tak myślałem po obserwacjach. Stop. Po co i na co kogoś takiego odwoływać? Stop. Okazuje się, że jednak odwołali i że załatwili go lekarze, co zdaje się pasować do sentencji: „Zdrów i szczęśliw jest człowiek, dopóty, dopóki nie spotka doktora". Stop.

Znany i częściowo szanowany dziennikarz Piotr Najsztub poinformował, jak będzie wyglądać przyszłość, gdy skończy się obecny model cywilizacji. Stop. „Nie będziemy już mogli ignorować wiedzy o moralności zwierząt, mądrości, różnorodności, rodzinności i opiekuńczości drzew. Nauczymy się z nimi komunikować lub one z nami. Uznamy równorzędne z naszymi prawa innych istot – zwierząt i roślin" – powiedział. Stop. Ludzie nikczemni komentowali, że wizja ta może być efektem wejścia w interakcje z ekstraktem z liści pewnego drzewa. Stop. Człowiek i liście – jedność. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Barbie, ratuj!

Gorzkiej, a na dodatek zaskakującej dawki rozrywki dostarczył przed kilkoma dniami Brytyjczykom były minister zdrowia Zjednoczonego Królestwa Matt Hancock. Udostępnił on na TikToku kilkunastosekundowe nagranie, w którym ubrany w obcisłą jasną koszulkę i kremowe krótkie spodenki przechadza się po plaży, nieudolnie śpiewając piosenkę Kena z cieszącego się powodzeniem filmu „Barbie". Większość komentatorów ocenia występ byłego konserwatysty jako pokaz w najwyższym stopniu żenujący. Pamiętać trzeba, że Ken jest w filmie sportretowany jako całkowity idiota, którego jedyną pasją jest bycie pozbawioną mózgu dekoracją, najchętniej umieszczaną na plaży. Dokładnie w taką rolę wciela się dzisiaj polityk odpowiedzialny za wyjątkowo uciążliwe dla Brytyjczyków lockdowny, które w ocenie coraz liczniejszych ekspertów doprowadziły do narastającego kryzysu w służbie zdrowia, edukacji i poziomie zdrowia psychicznego całego pokolenia dzieci i młodzieży.

Można założyć, że postępowanie Matta Hancocka jest częścią przyjętej przez niego strategii PR. Już w listopadzie ubiegłego roku zdecydował się on na występ w nagrywanym w tropikach programie telewizyjnym „Jestem celebrytą". Nagrania kolejnych odcinków tego pozbawionego jakichkolwiek intelektualnych ambicji show miały miejsce podczas sesji parlamentu, co zdawało się posłowi zupełnie nie przeszkadzać. W trakcie programu nie tylko wygadywał on zawstydzające bzdury, lecz także paradował przed kamerami z egzotyczną żabą na głowie. Zapewniał jednocześnie telewidzów, że występując w roli ministra, nigdy nie złamał prawa i nie żałuje decyzji podejmowanych w czasie trwania pandemii. Za swoje występy otrzymać miał wynagrodzenie w wysokości 400 tys. funtów, którego niewielką część przeznaczył na walkę z dysleksją. Choroba ta, na którą Hancock cierpi, utrudniała ministrowi naukę szkolną.

Udawanie otępienia albo choroby psychicznej to taktyka nieobca najwybitniejszym mężom stanu. Zastosował ją nawet Józef Piłsudski, co pomogło mu w spektakularnej ucieczce z carskiego więzienia. Mimo takich tradycji trudno spodziewać się, by w ślady Hancocka poszedł dziś któryś z polskich polityków. Udawanie Kena ma bowiem sens w społeczeństwie, które zmęczyło się bądź znudziło nieustannym straszeniem. Na Polaków straszenie wciąż działa, więc nasi politycy nie muszą jeszcze przebierać się w pastelowe ubranka. Widok polskiego „męża stanu" śpiewającego a cappella przebój Jana Kobuszewskiego „Cyganek" jest zapewne atrakcją, na którą przyjdzie nam jeszcze nieco poczekać. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dlaczego Chrystus nie napisał książki?

Pytanie dlaczego, zamiast wędrując po Palestynie z grupą niepiśmiennych rybaków i niewiast oraz nauczając w przypowieściach, Jezus Chrystus nie pozostawił po sobie sygnowanej przez siebie książki, jest ważne dla tych, którzy nie tylko rozważają dylemat, kim był rabbi z Nazaretu, lecz także to, jak dociec prawdy o naszym świecie i ludzkiej kondycji. Tytułowe pytanie rzadko przychodzi do głowy uczonym.

Książka o nieistniejącej książce Chrystusa jednak powstała, a jej autorem jest ks. Paweł Rochman. Jedyna wzmianka o takiej „boskiej" książce pochodzi od św. Augustyna z początku V w. Doszły do niego pogłoski o istnieniu takiego dzieła, zawierającego rzekomo jakieś opisy sztuk magicznych, ale gdy zażądał on pokazania go, nikt się na to nie odważył, zapewne starając się uniknąć kompromitacji w oczach filozofa. Ksiądz Rochman przytacza potoczne odpowiedzi na tytułowe pytania, które mogą brzmieć poważnie, tylko jeśli wyklucza się doktrynę chrześcijańską. Są to odpowiedzi w rodzaju „pewnie nie umiał pisać" lub „może próbował, ale mu się nie udało" albo „tak po prostu wyszło". Odpowiedzi te wskazują, że jeśli o Chrystusie chce się mówić jedynie jak o wybitnej postaci historycznej, jak Aleksander Wielki czy August, to niewiele ciekawego z tego wynika poza dużą ilością zagadek.

Czyżby Chrystus nie cenił słowa pisanego? Można sądzić, że zależało mu na tym, by ktoś zapisał i rozpropagował dla potomności Jego słowa wśród tych ludzi, którzy nie byli Jego świadkami. Uczynili to ewangeliści. W słowa musiał wierzyć, gdyż były i są najważniejszym medium, przez które przekazujemy treści.

Ksiądz Rochman nie zajmuje się prostą odpowiedzią na zadane pytanie, ale głównie kwestią przekazu i wiarygodności. Książka jest dlań obiektem zawierającym przekazy treściowe, które różni czytelnicy interpretują w różnych okolicznościach. Czytelnicy są jednak ludźmi, a okoliczności stwarzają nieraz sprzeczne motywy interpretacyjne. W tym kontekście powstanie „boskiej książki" Chrystusa traciłoby sens. Objawienie pełnej prawdy musiałoby być dokonane bez ludzkiej mediacji, jakimś językiem, którego nikt by nie zrozumiał. W ewangeliach znajdujemy wiele sformułowań alegorycznych czy metaforycznych, które kryją głębszy sens, ale są to środki ludzkie, a więc możliwe do pojęcia przez ludzi. Boski Absolut starał się przybliżyć ludziom pewne prawdy tak, żeby mogli je zrozumieć. Czy zapisanie ich w książce i opatrzenie odręcznym podpisem coś by zmieniło? Nic. Jesteśmy bowiem zawsze skazani na ludzkie słowa, które i tak zawsze podlegają różnym interpretacjom.

W tym miejscu autor nasuwa analogię między wiarą w Boga a matematyką. Otóż można oczywiście stworzyć matematykę alternatywną, opartą na kłamliwych przesłankach i wadliwych metodach rozumowania, jednak maszyny i konstrukcje oparte na takich obliczeniach nie przyniosłyby efektów praktycznych. Podobnie jest z interpretacjami prawdy. Można uznawać za prawdę o świecie i ludzkiej kondycji słowa kompletnie irracjonalne, ale w praktyce społecznej okażą się one zawsze szkodliwe.

Można się zastanawiać, jaki byłby cel napisania takiej „boskiej książki". Oczekując ujawnienia pełnej prawdy o istocie Boga, bylibyśmy naiwni. Trudno sobie wyobrazić, by mógł On opisać swoją pełnię w ograniczony ludzki sposób. Słowa zapisane przez ewangelistów muszą nam wystarczyć choć – jak to ludzkie słowa – pozostawiają margines dowolności interpretacyjnej. Słowa te wymagają od czytelnika pewnego słuchu, który zawodzi, gdy przykładamy do słów Chrystusa z ewangelii proste miary dosłowności lub bardziej zawiłe miary złej wiary.

Dotyczy to nie tylko warstwy ontologicznej przekazu ewangelicznego, lecz także przekazu etycznego. W „boskiej książce" Chrystus nie opisałby bowiem niczego innego niż tego, co Mojżesz poznał na górze Synaj i poniósł Żydom na 10 tablicach w postaci trochę podobnej do twierdzeń matematycznych, których gwałcenie rujnuje materialne konstrukcje. Złe interpretacje etycznej „boskiej książki" tak samo szkodziłyby ludziom jak gwałcenie Dekalogu. „Boska książka" jeszcze bardziej niż przekaz ewangeliczny groziłaby interpretacjami sceptycznymi lub fanatycznymi, nie ma bowiem – jak pisze autor – „szczepionki chroniącej przed podstawianiem pod ludzkie doświadczenie teorii dorobionej" do ludzkich ułomności, tym bardziej że teorie te głoszone są najczęściej przez „najsprytniejszych" i „najbrutalniejszych". Zamknięcie boskiego Absolutu w jednej książce, która stałaby się materialnym idolem, byłoby więc szkodliwe, nawet gdyby było możliwe – a możliwe nie jest. Biblia wystarcza... ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

ZOOM

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W domu, gdzie mieszka Joe Biden, znaleziono kokainę.

W domu Baracka Obamy znaleziono trupa.

W domu Nancy Pelosi (szefowa demokratów) znaleziono męską prostytutkę.

W domu Clintonów znaleziono nielegalne serwery pełne tajnych dokumentów.

Ale…

FBI najechało dom Trumpa i to on ma procesy o wszystko.

***

Trup na posesji Obamy: wyłowili go z sadzawki przy rezydencji. Ciało kucharza, który gotował u Obamy. Tuż przed śmiercią pływał z kimś na paddle board (deska z wiosłem zamiast żagla) i się utopił. Ta sprawa jest bardzo dziwnie omawiana, czyli coś kryją, kogoś kryją, coś knują lub kamuflują. Policja utajniła wszystko bez podania powodu. Nadal nie wiemy, kto był tą drugą osobą, obecną przy tym, jak się kucharz topił, ale wiemy, że był jakiś drugi uczestnik zdarzenia.

Kucharz miał ze sobą deskę, no to pytam: Jak się utopić, gdy masz przy sobie coś, co pływa (deska, koło ratunkowe)? A do tego miał przy sobie drugą osobę do pomocy.

Początkowo mówili, że kucharz nie umiał pływać. Ludzie w sieci znaleźli info, że kucharz pływał super, są stare filmy, gdzie widać, jak pływa. No a kilka dni potem widziano Obamę z podbitym okiem i podrapanymi rękami (są zdjęcia). W mediach kompletna cisza, więc krążą plotki. Jest zupełnie jak za komuny, gdy wiadomości zdobywało się z plotek, a nie z telewizji. Mówiliśmy o tym „propaganda szeptana".

Czy Obama bił się z własnym kucharzem, zabił go lub utopił? Chcący czy niechcący? Za „niechcący" pójdzie siedzieć. Za „chcący" pójdzie siedzieć na dużo dłużej. Ale i tak wiemy, że nie pójdzie siedzieć, nawet gdyby porżnął kogoś piłą tarczową.

***

W normalnych warunkach dziennikarz lub naukowiec, lub policjant… lub kontroler urzędu skarbowego jest zobowiązany sprawdzić i potwierdzić uzyskaną wiadomość w przynajmniej dwóch niezależnych źródłach. Nie dajemy wiary „na słowo honoru" pierwszej osobie, która nam coś opowiada. Ta osoba (źródło informacji) może się mylić lub kłamać. Dlatego sprawdzamy w innych źródłach. Dziś ta procedura sprawdzania jest niepewna. Co z tego, że sprawdzisz kilka źródeł, skoro wszystkie kłamią? COVID nas tego nauczył. Wklepujesz w wyszukiwarkę hasło „badania skuteczności szczepień" i wyskakują setki opcji, ale… badania inne niż narracja rządowa WHO nie wyskakują wcale, bo wyszukiwarka oszukuje.

Z powyższych powodów za komuny nie szukaliśmy wiadomości w gazetach, bo wszystkie gazety cenzurowała jedna władza. Po informacje szło się do „propagandy szeptanej" i dopiero gdy usłyszeliśmy coś wyszeptanego na ucho, czytaliśmy propagandowe gazety – w poszukiwaniu potwierdzenia, że to, co usłyszeliśmy szeptem, zdarzyło się naprawdę.

Żaden kłamca nie jest w stanie ukryć wszystkiego na 100 proc. Jeżeli więc znasz prawdę lub masz podejrzenia, co się stało, wówczas czytając oświadczenia władzy, znajdziesz znaki, sygnały, potwierdzenia… Prawda wycieka pomiędzy wierszami najbardziej zakłamanej gadzinówki.

Ludzie przychodzący na moje stoisko na Jarmarku Dominikańskim (właśnie się skończył) po autograf proszą często: „Niech mi Pan poza autografem dopisze coś inspirującego". Wówczas wpisuję taki oto znak: [----]. Za komuny był to znak, że w tym miejscu cenzura coś usunęła. I był to znak mocno inspirujący do myślenia. Urządzaliśmy sobie całe debaty na temat: co oni mogli usunąć w miejscu, gdzie znajdujemy „[----]", a jednocześnie mamy przed sobą nie poezję, nie wywód polityczny, lecz Uniwersytecki Podręcznik Matematyki. Czy usunęli wzór matematyczny czy nazwisko twórcy, który popadł w niełaskę, czy co?

***

Nie jestem w stanie potwierdzić informacji, która krąży od tygodnia po moim podwórku „propagandy szeptanej", ale… Z propagandą szeptaną było tak, że przekazywaliśmy sobie pewne grypsy DO SPRAWDZENIA. I potem każdy sam sprawdzał, czy informacja prawdziwa czy to jednak tylko plotka.

Podaję więc dalej coś, co ktoś podał do mnie i powiedział mi „podaj dalej".

Posłuchajcie…

ZOOM (internetowy komunikator) jest chiński.

ZOOM (identycznie jak TikTok) jest kontrolowany przez Komunistyczną Partię Chin, czyli bardzo, bardzo złych ludzi nastawionych na zniszczenie nas razem z całą cywilizacją Zachodu.

ZOOM pojawił się znikąd. Tego typu narzędzia, np. Skype, dotychczas nie pojawiały się znikąd – zaczynały powoli od dobrego i nowego pomysłu, a ZOOM to była udoskonalona wersja Skype'a i WhatsAppa, która czekała na stosowny moment i wystartowała znikąd. Z dnia na dzień. Tyle serwerów gotowych do akcji na gwizdek? Gotowe i przetestowane algorytmy i infrastruktura gotowa z dnia na dzień? To podejrzane. I wszystko w zasadzie takie samo jak Skype i Whatsappy, ale… sformatowane na sytuację, gdy nagle MILIARDY ludzi nie mogą wychodzić z domu, więc szukają jakiegoś sposobu komunikacji, który zastępuje wychodzenie z domu.

ZOOM pojawił się razem z chińskim wirusem COVID.

Bingo! Lockdown. Wszyscy stosują ZOOM – szkoły, firmy, rządy, konferencje naukowe, medyczne, ONZ… Wszyscy weszli na ZOOM, a to narzędzie kontrolowane przez Komunistyczną Partię Chin.

***

W ostatnich dniach ZOOM zmienił zasady. Darmowa platforma dopisała w regulaminie, że każdy materiał przesyłany przez ciebie w ramach ZOOM może być zawsze i w nieskończoność wykorzystywany i przetwarzany przez ZOOM. Czyli jeżeli twoja córeczka bierze lekcje przez zoom i widać tam jej twarz, i słychać jej głos, możemy wykorzystać tę twarz i głos w dowolnym filmie pornograficznym w przyszłości. Regulamin ZOOM tego nie zabrania, a sztuczna inteligencja to umożliwia. ©℗

eprasa.pl 68bd3b792c

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

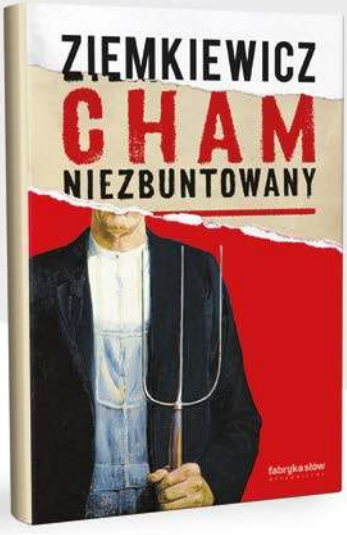

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ „CHAM NIEZBUNTOWANY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~919~~ ZŁ

343,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 576ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 68bd3b792c

eprasa.pl 68bd3b792c